



NATASZA SOCHA

Apteka marzeń

*Lektura obowiązkowa dla każdego.
Poruszająca, napisana z wyczuciem,
wrażliwością i empatią.
Czytałam i płakałam...
A gdy przyjdzie nam do głowy
ponarzekać na codzienność, deszcz,
brak podwyżki, wróćmy do tej książki
i pomyślmy o tym, co naprawdę ważne.*

Katarzyna Bujakiewicz



Pascal

Dla Oli Gref

Ta historia wydarzyła się naprawdę.
To opowieść o matce, która nie poddała się do samego końca.
I o dziewczynce, której lekarze dawali dwanaście procent szans na przeżycie.
O lekarzach, siostrach i pielęgniarkach. O psie, chociaż ten prawdziwy miał
nieco inaczej na imię i chyba był suczką.
O płytkach krwi i niedobrych komórkach.
O Karolinie, którą wymyśliłam, choć, jak się okazuje, nie do końca.
O marzeniach zamkniętych w czerwonych balonikach.
I o Drużynie Szpiku, która rozdziela kroplówki życia.

MAGDALENA

Szósty zmysł, którego zabrakło

Są miesiące, które kocha się miłością szczególną. Taki maj na przykład. Zieleń aż razi w oczy, słońce flirtuje ze skórą i pachnie zapowiedzią jeszcze cieplejszych dni. Krzewy bzu bezwstydnie wydzielają intensywny zapach, od którego aż kręci się w głowie i który tylko konwalie potrafią przebić.

Kiedy kupowałam ostatnio bukiet u starszej pani, przyznałam się, że zawsze je stawiam koło łóżka w sypialni, choć wiem, że są trujące.

– Co jest trujące? – spytała groźnie babcia.

– No, konwalie – odpowiedziałam niepewnie.

– To proszę ich nie jeść.

Przystaję na moment w parku i zamykam oczy. Łapanie chwil ma w sobie jakąś magię. Coś, co trwa wiecznie, z czasem zaczyna nudzić, dlatego tak piękne w życiu są pojedyncze momenty. Gdyby się jeszcze dało zamknąć je w słoiku i oglądać zawsze wtedy, gdy akurat brakuje wsparcia... Gdy zamiast słońca chlupie w butach. Albo gdy ptaszek wypadł z gniazda.

– Boli – mówi Ola i ciągnie mnie za rękę.

Moja mała, niespełna dwuletnia córka stoi pochylona i wskazuje na ptaszka palcem. Raczej nic go już nie boli, ale przecież nie możemy go tak tu zostawić. Zawijam więc ptasie truchełko w chusteczkę, starając się na nie nie patrzeć (dzieci jakoś nie mają z tym problemu), a potem razem kopujemy dołek i zasypujemy ptaszka ziemią. Pamiętam, jak kiedyś w dzieciństwie w podobny sposób chciałam pochować zwłoki dżdżownicy, ale moja mama nie pokonała własnego obrzydzenia i oznajmiła, że dżdżownica nie będzie mieć pogrzebu.

Chyba byłam zawiedziona.

– Boli – mówi znowu Ola.

– On teraz śpi i pewnie niewiele czuje.

– Ale mnie boli.

– Brzuszek?

Mała wzrusza ramionami.

– Nóżki?

– Też.

Patrzę na nią w milczeniu. Ola od jakiegoś czasu szybko się męczy. Spacerzy nie sprawiają jej już takiej przyjemności, nawet jeśli towarzyszy im smak i zapach lodów truskawkowych. A wszystkie pomysły na wspólne zabawy kończą się tak samo...

stemplowanie na papierze

odrysowywanie wzorów

malowanie na gazecie
rysowanie kredą na ciemnym papierze
układanie kompozycji ze sznurka i kolorowych włóczek
kolorowa wydzieranka
zabawy z plasteliną

– Nie chcę – powtarza Ola, a jej usta wyginają się w podkówkę.

Klękam wtedy przed nią, pocieram nos i patrzę prosto w oczy. I Ola też patrzy, ale nie chce już ani kolorowej wydzieranki, ani plasteliny, ani nawet malowania bez pędzelka, całą sobą, rękami, nogami i brzuchem. Stoi tylko, taka milcząca i nieobecna.

Nie lubię poczucia bezradności. Zwłaszcza wobec dziecka, które najwyraźniej czeka, aż rozwiążę jego małe dylematy i znajdę sposób, by znowu chciało mu się śmiać.

– Przynies kamyczki, trochę listków, patyki, to pobawimy się w sklep – próbuję dalej. Dziecko nie będzie smutne i apatyczne w nieskończoność, po prostu czasem wyładowują mu się baterie. Trzeba poczekać, posiedzieć na ławce, pomasażować plecki i kupować kamyki, zupełnie jakby to były owoce.

– Trzy jabłka, dwie gruszki i dwie śliwki poproszę – mówię stanowczym tonem i Ola w końcu się śmieje, podając mi wszystkie kamyki, listeczki, a nawet dwa ślimaki, które akurat spacerowały po ławce.

– Bardzo panią przepraszam, ale ta śliwka się rusza.

Ola chichocze.

– To nie śliwka.

Marszczę brwi.

– Ma pani rację, to ślimak! Śliwka-ślimak, nic dziwnego, że odrobinę się pomyliłam. Czy on jest jadalny?

– Nie!

– A ma jakieś imię?

– Mati.

– Tak jak twój brat?

Ola kiwa głową.

– To weźmy Matiego do domu i przedstawmy mu jego imiennika. A po drodze zjemy jeszcze lody. Matiemu też damy, żeby nie czuł się gorszy – puszczam oko do córeczki i jednocześnie myślę, że to bardzo smutne być na przykład takim listopadem. Czy ktoś w ogóle kocha taki miesiąc? Bez lodów, ślimaków i słońca? Kiedy chlupie, wieje i pachnie smutkiem? Z drugiej strony to chyba głupie obrażać się na miesiące. To nie ich wina, że przyroda wybrała im taką, a nie inną oprawę.

Pod wielkim drzewem stoi grupa starszych kobiet i śpiewa piosenki. Ot tak, po prostu. Zamiast siedzieć na ławkach i karmić gołębie, zamiast machać drutami lub czytać jakieś kolorowe pisemka, stoją i śpiewają. Sipińską i chyba Czerwone

Gitary. I Skaldów, za którymi jakoś nie przepadam. Trzęsący się pan z wielką grzywą, śpiewający o tym, jak gonić króliczka, zawsze mnie przerażał. Ale w wykonaniu tych starszych kobiet brzmi to nawet zadziornie. Uśmiecham się pod nosem i proponuję Oli, żebyśmy też razem coś zanuciły. Kręci przecząco głową, więc postanawiam zaśpiewać sama. Czy ja znam jakąś piosenkę o ślimaku?

Siedział w trawie w wysokim ogrodzie,
poziomkowy na obiad jadł krem,
oranżadę z konwalii pił co dzień,
a na deser, jak Francuz, jadł ser.

(Fasolki, *Kolega ślimak*)

Był początek maja. Jedna z legend mówi, że podobno to właśnie w tym miesiącu nastąpiło stworzenie świata. Ciekawe, czy wtedy też pachniało bzem?

Następnego dnia ciągle jeszcze był początek maja. A dokładnie piątego. Rok dwa tysiące czwarty. Data, który wypaliła znamię niemal na każdej części mojego ciała. Jeszcze wczoraj świeciło słońce. Jeszcze wczoraj owoce miały smak, a kawę piłam z prawdziwą przyjemnością, choć tak naprawdę to wcale za nią nie przepadam.

Kto ukradł zwyczajne życie?

Kto zdecydował, że nie wolno mi już beztrudnie pić kawy i cieszyć się smakiem truskawek?

Chyba każdy zna to uczucie, kiedy najchętniej schowałby się pod kołdrą i udawał, że go nie ma? Ola jest dzisiaj znowu taka męcząca. Apatyczna, marudna, bez chęci na cokolwiek. Od kilku dni chce koniecznie ze mną spać i ciągle każe sobie masować plecki. Oczywiście, że to robię, masuję, głaszczę i przytulam, ale czasem jestem trochę zła. Czy matkom wolno się złościć na swoje dzieci?

– Oluś, zmykaj do siebie – szepczę jej do ucha, ale ona nie chce. Wtula się we mnie jeszcze bardziej i popiskuje.

Był kiedyś taki film *Szósty zmysł*. Kiedy oglądasz go po raz drugi, to już wiesz, o co chodzi, a kolejne sceny rozumiesz wyjątkowo dobrze. Wiesz, że główny bohater nie żyje i dlatego to, co było wcześniej, układa się w logiczną całość. Ale kiedy widzisz film po raz pierwszy, jesteś ślepa. Nie słyszysz żadnych niedomówień, nie dopatrujesz się podstępów, nie zastanawiasz się nawet, że może chodzić o coś zupełnie innego. Po co zwracać uwagę na szczegóły, skoro cały przekaz jest stosunkowo prosty?

Kiedy Ola powiedziała mi, że nie chce jej się chodzić i że mam ją cały czas nosić na rękach, pojechaliśmy dla świętego spokoju do lekarza. Ponaciskał jej brzuszki, osłuchał, obejrzał z każdej strony i stwierdził, że to wątroba. Chyba.

– Jest trochę powiększona, może po tej stronie leży przyczyna. Zróbcie małej

USG i będziecie mieć pewność. Czasem, kiedy dziecko rośnie, bolą je różne rzeczy. Kości, mięśnie, stawy. To normalne, ale sprawdźcie to.

Ilu z nas sprawdza?

Kto biegnie z każdym bólem do lekarza?

Piątego maja. Termin prywatnej wizyty. Słońce wstało o czwartej pięćdziesiąt cztery. Imieniny Gotarda, Waldemara, ale też Anioła... Ironia losu. Swoją drogą nie miałam pojęcia, że Anioł to imię. Raczej... zawód? A czy anioł pisany małą literą też ma swoje imię, czy po prostu dopisuje mu się wielką i w ten sposób zostaje nazwany?

W radiu powiedzieli, że dzisiaj obchodzimy bardzo nietypowe święta. Międzynarodowy Dzień Położnika oraz Dzień Walki z Dyskryminacją Osób Niepełnosprawnych. I jeszcze, że będzie bardzo gorąco. To z jednej strony dobrze, ale z drugiej tak sobie, bo podobno „jeśli w maju deszcze na dworze, to jesienią chleb w komorze”. Nie wiem, czemu to zapamiętałam, ale wydaje mi się, że z tego dnia pamiętam każdy szczegół. Dźwięki ulicy, dotyk słońca, Olę, która prawie w ogóle się nie odzywa, mojego męża, który nuci coś pod nosem i Mateusza, który upiera się, że nie będzie jechał z nami na wizytę.

– Odstawcie mnie od razu do babci, to zjem więcej ciasta. – Oblizuje łakomie usta. – I lodów – dodaje, puszczając do nas oko. Mój syn ma w swoim życiu trzy pasje – samochody, flagi i jedzenie lodów. Albo w ogóle słodczy.

Patrzę na dwa gołębie, które zawzięcie skubią skórkę chleba, na kobietę w białych kozakach, która z każdym krokiem wygląda coraz żałośniej, a ludzie pod nosem śmieją się z tych kozaków w taki upał. Ja też się trochę podśmiechuję i to jest chyba ostatni raz, kiedy świat wydaje mi się normalny. Godzinę później białe kozaki stają się tak nieistotne, tak głupie, błahe i niewarte wspomnień, że paradoksalnie znowu chcę je zobaczyć. Bo są dowodem na to, że można się śmiać. I że życie to również straszliwe bzdury, które ułatwiają nam poruszanie się po tym wszystkim co poważne, trudne i skomplikowane.

– To nie wątrobą – mówi pani doktor, a ja myślę sobie, że wolę lekarzy, którzy się uśmiechają.

„Uśmiechnij się” – proszę ją w duchu, ale jej twarz jest tak spięta, że żaden grymas nie ma prawa przeciąć tego skupienia i rozładować gęstniejącej z każdą minutą atmosfery.

W oddali zegar wybija dwunastą. Dwanaście mocnych, stanowczych uderzeń, z których każde jest coraz bardziej złowrogie. Być może komuś innemu zegar wybija je zwyczajnie, ale ja już wiem, że dla mnie tym razem brzmią inaczej.

Powiem to szybko i bez zbędnych epitetów. Bo taka była diagnoza.

Neuroblastoma, guz, przerzuty, krwotok, ból, onkologia, pęknięcie, przeszczep, chemia, szpital, nowotwór, czas.

Policzyliście? Dokładnie dwanaście wyrazów, jak dwanaście uderzeń zegara.

Niczego nie można już zmienić. A wskazówki zaczynają nagle biec coraz szybciej i szybciej, zupełnie jakby czas właśnie zaczął się z nami ścigać. Nie mamy na nogach sportowych butów, nie mamy kondycji i nie znamy trasy. Czas ma nad nami przewagę.

I wyrywa mi Olę z rąk.

KAROLINA

Lustro odbija dość szczupłą twarz czternastolatki. Dwa pryszcze, z czego jeden na samym środku czoła. Przypomina trochę hinduską kropkę i bardzo ciężko go czymś zamalować. Im więcej fluidu, tym większe skojarzenie z bindi, a przecież do Hinduski jest jej daleko. Co prawda, ma ciemne włosy, ale raczej kręcone i zdecydowanie zbyt jasną cerę. Kropka w tym miejscu czoła podobno chroni przed ucieczką wewnętrznej energii, więc Karolina ma nadzieję, że pryszcz też odgrywa jakąś rolę.

Zresztą nie to jest teraz najważniejsze. Bo właśnie przyszedł list. E-mail w zasadzie. I chociaż wiadomości od nieznanymi osób zazwyczaj lądowały w spamie, tej akurat udało się jakoś przedrzeć do normalnej poczty i postawić świat na głowie. Karolina nigdy nie lubiła brazylijskich tasiemców, w których nikt nie pyta o nic wprost i potem przez dwieście odcinków szlocha, że coś nie wyszło. Ona zawsze pytała od razu. I tak też zrobiła tym razem. Zaraz po odczytaniu wiadomości, po której odrobinę skrzywiła jej wnętrze.

– Mamo, czy ja mam brata?

Wzrok mamy zastygł i naprawdę nie trzeba było być geniuszem, żeby to jednoznacznie zinterpretować.

– Nie mogłaś mi powiedzieć?

– Jak się dowiedziałaś?

Karolina westchnęła. Niegrzeczne odbicie piłeczki, bardzo w stylu rodziców. Najpierw wypadałoby odpowiedzieć, ale nie, mama musi zyskać na czasie. No dobrze. Powie jej pierwsza.

– Od tegoż brata właśnie. Napisał do mnie e-mail, wiesz? Ciekawe, skąd miał adres. Ma dziewięć lat, a za chwilę dziesięć, jak mnie poinformował, i gacie do kolan, przynajmniej na zdjęciu, którego nie omieszkał mi wysłać. Ma na imię Wiktor i mieszka we Wrocławiu, i tu mnie zaskoczył, bo mówiłaś, zdaje się, że tata uciekł do Australii i słuch po nim zaginął. Wszelki słuch.

Mama milczała głośniejsz, niż gdyby wrzasnęła.

– Ale może to jakaś pomyłka? Może ten pajac nie jest moim bratem, a tata spod Wrocławia nie jest moim tatą? – Karolina próbowała jakoś uratować to milczenie.

Chwilowe zawirowanie rzeczywistości, zaraz wszystko wróci do normy.

Niewielka kropelka nadziei wyparowała natychmiast, gdy zobaczyła, jak mama zagryza dolną wargę.

Mowa ciała. Już przedszkolaki o niej wiedzą.

– Wiesz co, chyba nie chcę o tym na razie rozmawiać – powiedziała, patrząc na matkę.

– Ale może właśnie teraz jest dobry moment...

– Obawiam się, że żaden nie będzie dobry, a już na pewno nie ten. Muszę to przetrwać, zanim chlusnę wulgaryzmami.

– Ty nie klniesz przecież – zdziwiła się mama.

– Teraz mam powód. Ale spróbuję się opanować – powiedziała Karolina i wróciła do swojego pokoju.

Sprawdzić skrzynkę?

Odruchowo zerknęła w komputer.

Hej, odezwij się. Ja wiem, że ty to ty, ustaliłem wszystko, mama potwierdziła. Tata jeszcze nie wie, bo go nie ma. Wyślesz mi swoje zdjęcie? Na pewno jesteś trochę do mnie podobna. I może nawet lubimy te same rzeczy? Mama mówi, że to dobrze, że chcę cię poznać. A Ty nie udawaj, że mnie zlewasz.

– Zlewam cię, bucu. Zlewam cię totalnie. Sikam na ciebie z każdej strony kwasem siarkowym, solnym i Bóg wie jakim jeszcze, tak żebyś się rozplątał w zupie niechcianych znajomości – powiedziała głośno Karolina, patrząc w ekran komputera i wystawiając język. A potem znowu poszła porozmawiać z mamą.

Tak, to jednak był ten moment.

Jak można coś takiego ukrywać? W końcu to pół brata i nawet jeśli nigdy w życiu go nie spotka, bo nie ma absolutnie takiego zamiaru, to jednak ten fakt jest dość istotny. I mama powinna ją o tym poinformować.

Dlaczego dorośli mają taki problem z komunikacją? Mówieniem prawdy? Chodzą i do znużenia powtarzają, że kłamstwo ma krótkie nogi, a potem sami się na tym wykładają. Gdzie tu logika?

Twarz mamy zdołały małe punkciki wyrzutów sumienia. To pokrzepiające, że jednak gryzło ją od środka i nie dawało spokojnie spać. W końcu oszukała córkę, nawet jeśli zrobiła to w tak zwanej dobrej wierze. Nie powiedziała, bo... bo ojciec niestety okazał się szuja. Uznał, że dwuletnie dziecko potwornie go męczy, więc wsiadł w samolot i zrobił fru. Ale potem zrobił fru w drugą stronę i wrócił z tej Australii. I musiał się z mamą kontaktować.

– Z pewnością dumnie poinformowałaś go, że ma spadać. Ile wtedy miałam lat? Czy byłam już na tyle duża, że mogłam się pod to „spadaj” podłączyć? W jaki sposób rodzic ocenia, czy ma wtajemniczyć dziecko w pewne sprawy? Rzuca moneta? Idzie do wróżki? A może do *Rozmów w toku*?

Mama wyglądała tak, jakby zapomniała, do czego służy alfabet. Karolina mówiła więc dalej.

– Nie, pewnie próbuje monologu z własną intuicją. Tak będzie lepiej... To było jedyne wyjście... Tylko wiesz, mam, wyjścia zawsze są dwa. I rodzic zawsze wybiera to gorsze.

– Nie bardzo wiem, jak mogłabym się usprawiedliwić. Mówisz strasznie dużo i nawet z jakimś tam swoim nastoletnim sensem. Ale ja też mam swoją rację.

Ojciec rzeczywiście się ze mną skontaktował, ale w zasadzie sama nie wiem po co. Poinformował mnie, że wraca do Polski i jakby co, to przynajmniej wiem, gdzie go szukać.

– Jakby co?

Wzruszyła ramionami.

Jasne.

Karolina machnęła tylko ręką i znowu wróciła do swojego pokoju. Ściągnęła zdjęcie Wiktora na pulpit i karykaturalnie je powiększyła. Ziarno wielkości piłeczki pingpongowej, w ogóle nie wiadomo, co przedstawiała fotka. Bohomaz. Abstrakcja. Mazy. Ale kiedy cofnęła ustawienia, znowu wyskoczyła jej zadziorna mina brata (pół).

– Czy on ma coś ze mnie? – spytała głośno.

Uszy, nos, brodę? Wbiła wzrok w ekran. Absolutnie nic. Równie dobrze ktoś inny mógłby do niej napisać i przedstawić się jako brat.

Nieprawda. Uszy, broda i nos były podobne.

Cholera.

– Hej, kotku – mama nie dawała za wygraną. Karolina zatkała sobie uszy, ale jak ma się czternaście lat, to to już nie działa. Trzeba w końcu się odezwać. Wysłała z pokoju i stanęła w drzwiach kuchni.

– Pewnie będziesz się tłumaczyć. – Zaśmiała się bynajmniej niewesoło.

Mama cicho westchnęła.

– Problem polega na tym, że sama się jeszcze nie oswoiłam z jego powrotem. Wiem od jakiegoś czasu, ale...

– Ale wiedziałaś, że ma syna.

– Kitek, on zadzwonił kilka lat po swoim wyjeździe, spytał co słyhać, czy nie potrzebuję pomocy, ale na wszelki wypadek od razu zaznaczył, że ma sporo wydatków, bo założył nową rodzinę i ona się powiększa. I że może będzie lepiej, żeby zostało tak, jak jest dotychczas. A jak tylko się odkuje finansowo, to na pewno da mi znać.

– Ale dupek – zawyla Karolina, poruszona nadgniłym charakterem własnego ojca.

Mama była na tyle w porządku, że jej nie uciszyła i nie powiedziała czegoś w rodzaju: „Ależ kochanie, to w końcu twój ojciec”. Pewnie w myślach obrzuciła go znacznie dosadniejszym słowem niż „duppek”.

– Kiedy wrócił?

– Rok temu.

Karolina podskoczyła.

– Mogłaś powiedzieć wcześniej!

Mama spuściła głowę.

– Ale ja naprawdę nie wiedziałam jak. I co. I w jakim kontekście. W takich

sytuacjach człowiek głupieje. Odsunęłam ten problem na bok, bo myślałam, że może jakoś sam się rozwiąże.

– No i się rozwiązał.

– Nie wzięłam pod uwagę Internetu.

Karolina machnęła ręką.

– Mamo, ja mam czternaście lat! Owszem, jestem bachorem w wieku dojrzewania, ale chyba na tyle mnie znasz, że wiesz, że nie ucieknę z domu, nie przegryzę sobie żył, ani nie łyknę ecstasy, żeby lepiej zrozumieć świat. Nie wysadzę też mieszkania na złość tobie.

Mama podniosła głowę i krzyknęła. Nawet dość głośno.

– PRZEPRASZAM! Ty masz czternaście lat, a ja trzydzieści dziewięć i prawo do pomyłek. Mam nawet prawo do bycia głupią, bo wiek nie ma tu nic do tego. Powinam ci powiedzieć, ale się wystraszyłam, okej?

Karolina popatrzyła na nią zdumiona. Po co ten krzyk?

– Dobra. Idę się przejść i przewietrzyć myśli – powiedziała spokojnie i sięgnęła po kurtkę.

A potem poszła.

Po powrocie znowu usiadła przed ekranem. Uzależniła się czy co?

Matko, co za nachalny dzieciak.

Lubię Twoje imię. Można je zmienić na Rolka. Wiesz, Karolina – Rolina – Karolka – Rolka. Podoba się?

Idiota.

MAGDALENA

Mucha spacerująca po suficie

Chyba po raz pierwszy w życiu wpadłam w histerię.

Patrzę przed siebie, a moje ciało zaczyna wypełniać strach. Czuję go dosłownie wszędzie, jakby był rtęcią, która przepływa przez kostium ze skóry i dociera do najmniejszych zakamarków, do miejsc niewidocznych dla oka.

Na stoliku stoi filiżanka z niedopitą kawą, leżą rozrzucone długopisy, jakieś kartki i puszka z miętowymi cukierkami. Mózg zaczyna odnotowywać coraz mniej znaczące szczegóły. Muchę spacerującą po suficie, gwizd wiatru, przypominający jakąś melodię, odgłos odpalanego samochodu, który najwyraźniej ma problemy z akumulatorem, tupot dziecięcych nóg na korytarzu. Na moment zawieszam się w czasoprzestrzeni, zupełnie jakbym nie wiedziała, co mam dalej robić. Krzyczeć? Płakać? Odciągnąć learkę od mojego dziecka? Schować się w ramiona męża i kazać mu stanowczo zaprotestować? Ale Aleksander też patrzy na mnie nieprzytomnym wzrokiem, jakby uwierzył w to, co usłyszał, i jakby się z tym pogodził. Podchodzi do mnie i mocno przytula. Gdyby nie on, pewnie osunęłabym się na podłogę i została tam jak rozlane mleko. Jak garść piasku, którego nie można zebrać.

Mózg ludzki ma dziwną skłonność do odsuwania od siebie przerażającej prawdy. Szuka innych wyjść, innych wytłumaczeń, jakiejś pomyłki, błędu, wreszcie makabrycznego żartu. Przecież istnieje coś takiego jak błędna diagnoza lekarska. I każdy wie, że to się zdarza. Nie, nie będziemy występować o odszkodowanie, wystarczy, że learka wszystko odwoła i przyzna, że jej wiedza medyczna po prostu spletała figla. Kazała wyolbrzymić problem i wystraszyć nas, rodziców.

– To nie jest powiększona wątroba. To guz.

– Nie! – krzyczę i chwytam filiżankę z niedopitą kawą. Robię zamach, zupełnie jakbym chciała rozbić ją o ścianę, ale zimny płyn tylko ochlapuje mi sukienkę.

– Muszą państwo jechać do szpitala. Teraz, od razu, nie jutro, nie za tydzień. Na onkologię. Nie ma już czasu.

Ściskam rękę męża tak mocno, że prawie syczy z bólu. A potem bierze głęboki oddech, kiwa głową i mówi:

– Jedziemy.

I bierze mnie za rękę, a ja czuję wdzięczność, że jest ktoś silniejszy ode mnie. Ktoś, kto zamówił taksówkę, wziął Olę na kolana, jednocześnie cały czas głaszcząc mnie po głowie.

Onkologia. Dziedzina medycyny zajmująca się schorzeniami nowotworowymi. Rakiem. Jeśli listopad jest najmniej lubianym miesiącem, to rak wygrywa w kategorii najbardziej znieawidzonych słów. Każdy chciałby żyć tak, żeby nigdy nie

zahaczyć o to słowo, nie otrzeć się o nie, a już na pewno nie wymawiać go w kontekście kogoś najbliższego.

– Mała ma wewnętrzne krwotoki, stąd ten ból, bo guz... On się po prostu rozlał. – Wiem, że lekarka musiała to powiedzieć, a jednak nie mogłam zrozumieć, jak można tak bezceremonialnie... Tak wprost, bez żadnego „będzie dobrze”.

I wtedy zaczynam krzyczeć.

Wrzeszczę tak bardzo, że przerażam samą siebie. Nie wiem, ile razy używam słów „pomyłka”, „bzdura”, „absurd”. Świat zlewa się do jednego krzyku, którym próbuję zagłuszyć strach. Podobno o histerii mówi się w kontekście gwałtownego zdenerwowania, wzburzenia albo irracjonalnego lęku. U mnie skumulowało się wszystko naraz. Panika, szał, wściekłość.

Bo który normalny człowiek jest w stanie spokojnie odebrać słowa, które wyrzuca z siebie lekarka? Chociaż stara się to robić taktownie i z dużym współczuciem, to jednak wydaje wyrok na moje dziecko! Nie mogła powiedzieć, że Ola przejadła się słodyczami?

Że ma wzdęcia?

– Guz ma dwanaście na osiem centymetrów.

Ile, ile? Przecież jej brzuszek jest za mały na takiego bydlaka!

– Czy córka ostatnio upadła?

Nie wiem! Każde dziecko upada, przewraca się, potyka. Nie wiem!

– Możliwe, że podczas upadku guz pękł i się rozlał. Doszło do wewnętrznych krwotoków.

A gdybym rzuciła jej się do gardła i zatkała usta? Czy gdyby te słowa nigdy nie zostały wypowiedziane, guza by nie było?

Szósty zmysł.

Apatyczność Oli. Bóle pleców. Bóle brzucha. Płacz bez powodu. „Mamo, chcę z tobą spać”...

Jak można być tak ślepa? Jestem matką! Matki widzą wszystko, wyczuwają najdrobniejsze wahania nastrojów swoich dzieci, wiedzą, co im jest, jeszcze zanim ktokolwiek inny to wie. To dlaczego ja byłam ślepa?

Nie mam ani szóstego zmysłu, ani żadnego innego.

Chcę krzyczeć.

Otwieram usta i... nie wydobywam z siebie żadnego dźwięku. Po ataku histerii tracę mowę. Przez całą drogę do szpitala nie odzywam się słowem. Patrzę na Ołę, a słowa więzną mi w gardle. Kotłują się w nim, próbują wydostać na wolność. Zamykam oczy.

To jest moje dziecko. Moje. Nikt, absolutnie nikt mi go nie odbierze.

KAROLINA

To chyba było w październiku ubiegłego roku.

Jakiś wtorek, bo miała tego dnia basen. Nie lubiła tych zajęć, bo nigdy nie udawało jej się wytrzeć do sucha i zawsze naciągała na mokre nogi skarpetki i spodnie.

Fuj.

Chyba każdy zna to uczucie. Klejąca się do ciała odzież, nieprzyjemna wilgoć i unoszący się wszędzie zapach chloru. A najgorsze, kiedy kilka kropelek z włosów dostaje się pod bluzkę i ścieka wzdłuż pleców aż do pupy.

Basen o tej porze roku powinien być zabroniony. Człowiek nie jest rybą, foką, nie jest też pingwinem ani krokodylem. I lubi być suchy, kiedy na dworze wieje jesienią.

Po powrocie do domu zamknęła się w swoim pokoju, co ostatnio zdarzało jej się wyjątkowo często. Mama postanowiła to ignorować, zresztą dyskusje z nastolatkami są równie skuteczne jak przekonanie szerszenia, że jest niepotrzebny.

Karolina usiadła na łóżku i zaczęła skubać rękaw swetra. Wyskubała już całkiem fajną dziurę. „Mogą przez nią wejść złodzieje albo w uszy nam nawieje” – to z jakiejś bajki, ale pasowało. W końcu zerwała się, podeszła do biurka i sięgnęła po zeszyt. Nigdy wcześniej nie pisała pamiętników, dzienników ani żadnych innych „złoty myśli”, ale tym razem czuła potrzebę naskrobania kilku słów. Żeby zapamiętać te emocje, które nią teraz targały. I żeby w przyszłości nie powtórzyć błędów mamy. Bo nigdy przecież nie wiadomo, co się wydarzy. A jak jej mąż też gdzieś zwieje?

„Spróbujmy schować emocje do słoika, zakręcić go i odstawić na półkę. Zostaje czyste powietrze i niezmacony niczym spokój. Świeżo wyprasowane prześcieradło. Naciągnięta siatka w cyrku. No to co, że mam brata? Zresztą co to za brat, przyrodni? Półbrat. Od pasa w górę czy w dół?

Ojciec też mnie niewiele obchodzi. To nawet nie jest półojciec, bo zwiął, jak miałam dwa latka. Co mnie tak męczy? W dupie mam więzy rodzinne i układanie zdjęć w albumach. I podrzucanie liści w parku, trzymając tatusia i mamusię za rękę.

W dupie to mam.

Mama znowu próbowała ze mną rozmawiać, ale poinformowałam ją, że nie mam ochoty. Koniec tematu, brat wyparował, tata też. Wróćmy do stanu sprzed kilku tygodni. Nie było może idealnie, ale za to spokojnie...”

Odłożyła zeszyt i zaczęła obierać pomarańczę tak dokładnie, że nie było na niej nawet grama białej błonki. Nic. Tylko sok zamknięty w kuli. Wbiła zęby w miąższ i pozwoliła, by ciekło jej po brodzie, szyi, aż do brzucha.

Będzie klejąco-chlorkowa.

Dlaczego życia nie można przeżyć na własnych warunkach? Wybrać sobie kilka opcji i, lawirując między nimi, mieć radość z tego, że przez kilkadziesiąt lat człowiek bierze udział w jakiejś fajnej imprezie. Rzucanie sobie kłód pod nogi, podejmowanie wyzwań, mnożenie bezsensownych problemów to kompletne zaprzeczenie filozofii epikureizmu, o której ostatnio uczyli się w szkole. Wierzyć świadectwu zmysłów, cieszyć się życiem i korzystać z jego radości. Dobro to przyjemność, czyli brak bólu, jak głosili epikurejczycy.

A ją właśnie boli świadomość, że mama ją oszukała, tata olał, a młodszy półbrat zaczepia, chociaż ona nie ma na to najmniejszej ochoty. Zdjęła z półki album z dzieciństwa i dokładnie przyjrzała się swojemu ojcu, który zwiął do Australii, gdyż zapewne poczuł zapach przygody, oczywiście z kangurem w roli głównej. Na zdjęciach wyglądał całkiem miło i nawet sprawiał wrażenie, że rodzina mu się podoba. Najwyraźniej do czasu.

Krzysztof.

Tam zapewne był Chrisem. Ciekawe, jak mówią do niego we Wrocławiu? I czemu nie odzywał się przez tyle lat? Niewiarygodne, jak łatwo jest wykreślić z własnego życia córkę i zastąpić ją synem.

– Zjesz coś? – mama zajrzała do pokoju, ale widząc minę Karoliny, zaczęła się wycofywać.

– Mielone z koali – odburknęła jej córka i rzuciła albumem w kąt.

Mama westchnęła.

– Wiem, że to dla ciebie przykre, ale czasem już tak jest, że jedni mogą chodzić we wszystkich butach, a drugich wszystkie buty obcierają.

Karolina wydeła usta.

– Ale masz porównania! Poza tym nie wiem, co mnie bardziej wkurza – fakt, że tatuś mnie wymienił na inne dziecko, czy to, że mnie okłamałaś. Nawet jeśli niczego by to nie zmieniło, powinnam wiedzieć, że mam brata. Znaczący pół.

– Wiem. – Mama skinęła głową. – Tylko chyba urosłaś za szybko i ja nie zorientowałam się, że nie jesteś już dzieckiem. Za długo to odkładałam – spuściła głowę.

No, dobrze.

Zobaczymy jeszcze, co wyniknie z tej znajomości, bo brat (pół) najwyraźniej nie zamierzał odpuścić. Pisał do niej przynajmniej trzy, cztery razy w tygodniu i koniecznie chciał wszystko wiedzieć. Natręt jakiś. Musiał się potwornie nudzić w tym Wrocławiu. I na dodatek zaczął zaprzętać jej myśli. Zamiast skupić się na czymś innym, automatycznie poświęcała mu coraz więcej uwagi. Główną rolę w jej zeszyto-pamiętniku odgrywał właśnie on – młodszy, dopiero co odnaleziony brat. Półbrat.

Co się ze mną dzieje? – myślała. Chciała o nim zapomnieć, ale się nie dało. Tak jak wtedy, gdy się ma słabą gumkę do ścierania, która nigdy nie usuwa błędów

do końca. Choćby się tarło i tarło, i tak widać, co się wcześniej zapisało.

„Uszy chyba jednak moje. Ten sam kształt, lekko spiczasty na końcach. Jakby nas ktoś zaraz po porodzie za te uszy na klamerkach powiesił”.

A potem dalej.

„Wiktor.

Wiktorek-traktorek. Ma rozpięty rozporek.

No i po co ja się w niego wpatruję? Raczej nie uda mi się przez ekran komputera wycisnąć rodzinnych więzi i pokochać półbrata. W zasadzie szkoda, że nie mam żadnego chłopaka. Mogłabym mu się wyżalić w rękaw, a on by obiecał, że w razie czego kopnie mojego ojca w tyłek. Niestety, chyba jestem samotna. Znaczący, pewnie mam czas na chłopaka, choć, patrząc na moje koleżanki, to raczej jestem opóźniona w tym temacie. Co gorsza, mam spore szanse wpaść w dekadenski dół, tak przynajmniej napisano w jakimś babskim piśmie.

Już w latach 80. ubiegłego wieku po raz pierwszy wykazano, iż izolacja społeczna jest jednym z czynników ryzyka przedwczesnej śmierci.

Bardzo zachęcająca notka. Zdaje się, że mój półbrat pozna mnie dopiero na pogrzebie, ale wtedy raczej nie pogadamy. Mam nadzieję, że chociaż ojcu zrobi się głupio i zeżrą go wyrzuty sumienia”.

Listopad, środa, godzina 18:09. Koniec wpisu.

– Kupiłam wędzony ser, ten, który lubisz, żurawinę i świeże bułki. – Mama zajrzała do pokoju i próbowała się uśmiechnąć.

Bez vice versa.

Kiedy wyszła, Karolina podrapała się po brodzie i włączyła komputer.

Ciekawe, czy tatuś też się gdzieś zalogował?

Wpisała imię i nazwisko.

A, nie. Nie ma gada. Pewnie ze strachu się ukrywa. Kto wie, ile jeszcze zostawił dzieciatych panienek, zanim wybrał romans z kangurem? Może po Polsce biega pół tuzina półrodzeństwa spokrewnionego z jego pierwородną córką? Gorzej, jeśli nawet nie jest pierwородna.

Zrobiła kanapkę z wędzonym serem i posypała ją obficie słodką papryką w proszku. Zjadła też kilka łyżek konfitury z żurawiny, aż ją w końcu zemdlilo. A potem, kierowana jakimś dziwnym impulsem, odpisała Wiktorkowi.

Spadaj.

Może niegrzecznie, ale za to zwięźle.

Po jakimś czasie zaczęła rozmawiać z mamą jak dawniej. Starła się unikać tematu tatusia, ale udało jej się wytrzymać niecałe dwa dni.

Potem w końcu zaryzykowała.

– Mamo, czemu on wtedy zwał? Z tego co wiem, małe dzieci są słodkie, zwłaszcza małe dziewczynki z kokardkami we włosach. Gdybym była starsza, pytkowała, podważała jego zdanie – no to co innego. Ale tak?

Mama zamyśliła się przez chwilę.

– Nie miał pracy. Był tak sfrustrowany, że nawet nie otwierał drzwi sąsiadom. Twierdził, że jest beznadziejny, że nie nadaje się na ojca, męża, a już tym bardziej na głowę rodziny. Snuł się całymi dniami po domu i nawet ty nie potrafiłaś go rozbawić. A potem pojawił się niejaki Tomasz, jego kolega ze studiów. Zaczął namawiać ojca na wspólny wyjazd do Australii. Mieli tam pracować w jakiejś małej firmie komputerowej, która pilnie potrzebowała specjalistów. A ponieważ obaj skończyli informatykę i znali dobrze angielski, uznali, że idealnie się nadają. Tyle że Tomasz nie miał wtedy jeszcze rodziny, a twój ojciec – owszem. Ale i tak się spakował, obiecał, że zarobi grube miliony, a potem wróci z kontenerem lalek Barbie dla ciebie.

– To trochę mu się ten powrót przeciągnął, nie sądzisz? Poza tym nie wspominał o bracie.

Mama uśmiechnęła się cierpko.

– O drugiej żonie też nie. To znaczy przysłał papiery rozwodowe, a ja je chętnie podpisałam, bo w końcu po co ci mąż, który ma cię w dupie.

Karolina uniosła brwi. O, mama się „wyraża”. Czyli ciągle ją to wkurza.

– A co myślisz teraz?

Wzruszyła ramionami.

– Chyba nic. Nie czuję ani żalu, ani złości, ani nawet nie jestem ciekawa tego twojego brata. No, może trochę. Szkoda mi tylko, że tobie namieszali w głowie.

Karolina napełniła szklankę wodą i wypila ją jednym haustem.

– Spotkałabyś się z nim na moim miejscu?

– Z kim? – Mama spojrzała na nią z niepokojem. – Z ojcem?

Córka parsknęła śmiechem.

– Ojca mam w dupie. Z Wiktorkiem.

Mama zastanowiła się przez chwilę.

– Wiktorek najmniej tu zawinił.

Dobra. Czego konkretnie chcesz ode mnie? Pobawić się w Jasia i Małgosię? Bo nie bardzo rozumiem...

Wiktorek, jak przystało na prawdziwego dziesięciolatka, nie robił zapewne nic innego, jak tylko siedział w sieci. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że odpisał Karolinie w ciągu minuty?

No, nareszcie jakiś ludzki odruch. Jeszcze nie wiem, czego chcę, ale myślę, że fajnie mieć starszą siostrę. Bo ja jestem jedynak, znaczy byłem do niedawna. Ale potem podsłuchałem jakieś strzępki rozmów, trochę sobie pogłótkowałem, a na koniec spytałem mamę prosto z mostu. Dorosłych w ogóle należy pytać prosto z mostu, bo inaczej daje im się niepotrzebnie czas do namysłu. A tak – trafieni w sam środek – z wrażenia gadają prawdę.

No i powiedziała.

Że tata kiedyś miał rodzinę w Polsce, ale nic z tego nie wyszło, znaczy oprócz córki. Czyli ciebie.

– Nic z tego nie wyszło! Pewnie moja matka za mało przypominała kangurzycę – wrzasnęła Karolina i ze złością wyłączyła komputer. Dobra, może Wiktor sam w sobie nie zawinił, ale jeśli odziedziczył przynajmniej jeden procent genów tatusia, to i tak należało go skreślić. Prędeż czy później zrobi komuś podobne świństwo.

– Nie potrzebuję takiego brata – zamruczała.

Półbrata, znaczy.

Ej, co jest znowu? Grypę masz czy ci komputer siadł?

Znowu on. Oczywiście.

Zgadłeś. Mam grypę. Kangurzą.

Wyślij.

To jakaś aluzja?

O, nieźle kombinuje. Niegłupi nawet, choć ma spieprzone DNA.

Dygresja, były jedynaku.

A potem postanowiła nie odzywać się do niego nigdy więcej i zapomnieć, że w ogóle istnieje. Nie otwierała poczty, nie reagowała na wirtualne zaczepki. Trudno. Tyle lat radziła sobie bez brata, to teraz też może. Na dodatek on za bardzo przypomina jej ojca, któremu się znudziła. A nawet najbardziej twardy i wyrachowany nastolatek, zwłaszcza płci żeńskiej, nie czuje się komfortowo z poczuciem odrzucenia. Wiktor niech żyje swoim wrocławskim życiem, z mamą i tatusiem podłym tchórzem, a ona skupi się na sobie. Są ważniejsze rzeczy, niż sklejanie potłuczonych skorup.

MAGDALENA

W dupie mam wszystkie statystyki

Oczywiście, że nie rozumiałam ani słowa z tego, co do mnie mówili. A mówili dużo, mądrze, naukowo i bardzo poważnie.

Neuroblastoma.

Stadium czwarte, przeżywalność kilkanaście procent. Możliwe przerzuty do węzłów chłonnych, wątroby, kości, skóry, szpiku, płuc i mózgu. Leczenie: chemioterapia, radioterapia, połączone z zabiegami chirurgicznymi oraz przeszczepem szpiku.

Powtórzyć?

Neuroblastoma.

Lity nowotwór, guz lub masa, który wywodzi się z cewy nerwowej będącej częścią współczulnego układu nerwowego. Każdy z tych wyrazów jest okropny, a w połączeniu brzmią jeszcze gorzej. Podobno część tego układu odpowiada za reakcje organizmu w sytuacjach stresowych, gdy trzeba walczyć lub uciekać. Jego nerwy biegną wzdłuż kręgosłupa i łączą się z różnymi organami. Najczęściej neuroblastoma atakuje nadnercza, choć czasem wybiera sobie tkanki nerwowe znajdujące się w szyi, jamie brzusznej lub w obrębie miednicy.

Patrzę na lekarza, który mówi do mnie tak, jakby tłumaczył mi, skąd się biorą plamy na ubraniach.

Jak też tak umiem, tylko nie znam tylu medycznych określeń. Zresztą przy plamach to nie do końca istotne. Chcę coś wtrącić, ale czuję się jakaś głupia.

– „Neuro” wskazuje na komórki nerwowe, a „blast” na niedojrzałe. „Normalne” neuroblasty, czyli niedojrzałe komórki nerwowe, powstają w tkance embrionalnej i tam wzrastają. Neuroblastoma oznacza więc niedojrzałe komórki, które uformowały masę przekształcającą się w prawidłowe komórki nerwowe. „-Oma” to końcówka, którą dodaje się, tworząc nazwę nowotworu.

Prawidłowe komórki?

Chyba coś mu się pomyliło!

Prawidłowe komórki nie zabijają człowieka, a ten guz nie daje nam dużych szans. Ola jest taka mała. Drobna. Nie ma nawet dwóch lat!

– Bo na neuroblastomę przeważnie chorują małe dzieci. – Czy ten człowiek ma na wszystko gotową odpowiedź?

– Połowa nowotworów u maluchów to właśnie ten guz. Średnia wieku pacjenta w momencie diagnozy wynosi dwa lata. U wielu dzieci choroba jest wykrywana po drugim roku życia, ale liczba diagnoz z wiekiem jest coraz mniejsza.

W dupie mam te wszystkie statystyki. I wiadomość, że nie do końca wiadomo, co jest przyczyną. Że to przypadkowy rozrost komórek. Nie prosiłam o przy-

padkowość w życiu. O niespodzianki i gwałtowne zwroty akcji też nie. Chciałam mieć rodzinę.

Już jako nastolatka wiedziałam, że moja córka będzie miała na imię Ola. Tak jak moja przyjaciółka z dzieciństwa. Uwielbiałam to imię, bo można było je dowolnie zmieniać. Ola, Olena, Aleksandra, Olunia, Olcia.

Marzyłam o mądrym, bystrym, mądralińskim synku w okularach i córeczce, która będzie taka tylko moja. Nie przypominam sobie, żeby w moich marzeniach pojawiały się hasła związane z funkcjonalnymi komórkami nerwowymi, z guzem wieku dziecięcego, z przypadkowością wreszcie. Nigdy nie chciałam skoczyć na bungee.

Lekarz podchodzi do mnie i kładzie mi ręce na ramionach.

– Będziemy walczyć.

Myślami jestem gdzie indziej. Czy rodzice czekają na nas z obiadem? Czy będzie mizéria? Uwielbiam mizerię. Świeże ogórki, śmietana zmieszana z jogurtem, trochę soli, koperek.

– Czy będzie mizéria? – Patrzę na Aleksandra, a on tylko przytakuje. Od razu mnie rozumie. Nie ucisza, nie macha zniecierpliwiony ręką, nie lekceważy.

– Będzie na pewno. Wiesz, że mama zawsze robi dla ciebie mizerię.

– Musimy zacząć od silnego uderzenia. – Lekarza nie obchodzi nasz obiad.

Może nie lubi ogórków?

– Zoperujecie ją? – pytam.

Kręci przecząco głową.

– Guz jest wszędzie. Nie można go wyciąć, bo nie stanowi jednolitej masy.

Musimy zaatakować chemią.

Chemią?

Moje maleństwo, mój skarb największy chemią?

– Najpierw zrobimy biopsję, ale nie będziemy czekali na wyniki histopato.

Ja wiem, że to neuroblastoma, a czas w tym przypadku nie działa na naszą korzyść. Liczą się godziny. – Spogląda na nas i pociera ręką podbródek.

Nie pamiętam zapachu ogórków.

– Niech go pan wytnie – szepczę, a Olek patrzy na lekarza z tą samą prośbą w oczach.

– Mała wykrwawi się na stole.

Chciałabym umieć zemdleć na zawołanie. Zanurzyć się w nicość, odpłynąć gdzieś tam, gdzie nie trzeba podejmować żadnych decyzji, a potem obudzić się i kiwnąć głową w podziękowaniu, że wszystko się udało.

– Chemia – zgadzam się. – Proszę pana... dlaczego ja niczego nie zauważyłam?

Próba uśmiechu, ale też jakaś taka nieudana. Czy w tym szpitalu ktoś czasem

się uśmiecha? A może nawet całkiem głośno śmieje? Wiem! To się nazywa geloterapia. Terapia śmiechem, która pozwala zwalczać choroby, a nawet uśmierzać ból! Dlaczego więc nikt się tutaj nie śmieje? Czytałam kiedyś o pisarzu, który cierpiał na jakąś dziwną chorobę autoimmunologiczną. Nie mógł się ruszać, bo ból dosłownie ścinał go z nóg. Leżał godzinami w łóżku i oglądał „ukrytą kamerę”. I pomogło! Naprawdę pomogło! Wszystko się cofnęło, znowu zaczął chodzić.

Łzy stają mi w oczach. A przecież miałam się śmiać...

– Często nawet dobrzy pediatrzy nie potrafią postawić prawidłowej diagnozy – mówi tymczasem lekarz. – Objawy mogą być różne: nadpobudliwość, złe samopoczucie, gorączka, bóle stawów. Początki choroby przypominają przeziębienie czy grypę. Objawy pojawiają się najpierw tam, gdzie nowotwór się rozwija. Guz w jamie brzusznej powoduje na przykład u dziecka obrznięcia brzuch, zaparcia, wymioty lub biegunkę. Guz przy kręgosłupie może być przyczyną problemów z raczkowaniem lub chodzeniem. A przez guz w klatce piersiowej mogą pojawić się problemy z oddychaniem. Ale to wszystko zdarza się czasem nawet i bez guza, dlatego tak ciężko jest cokolwiek zauważyć.

– Ale ja jestem matką...

– To nie twoja wina! – gwałtownie protestuje mój mąż. – I nigdy nie wolno ci tak pomyśleć.

– Ola jest już u nas. Zawalczymy o nią, a ja bardzo lubię mieć dodatkowe życie na plusie. Nawet w grach komputerowych zawsze staram się mieć kilka zapasowych egzystencji, żeby nie dać się zaskoczyć. – Uśmiecha się lekarz i trwa to dłużej niż dwie sekundy.

Ten uśmiech odbija się od szpitalnych ścian i siada mi na dłoni. Zaciskam mocno pięści, żeby go nie wypuścić. Jest jak wróżba, że nie wszystko jeszcze stracone.

Tylko jak w to wierzyć, kiedy twoje dziecko patrzy na ciebie z przerażeniem, nie rozumiejąc tego całego zamieszania wokół jego osoby, tych wkłuc, zastrzyków, tego bólu, który trzeba zadać, żeby zrobić kolejne badania. Patrzy na mnie i płacze. A ja płaczę razem z nią.

KAROLINA

Karolina tak naprawdę bardzo chciała być Karolem, choć to imię akurat nie specjalnie jej się podobało. Karolina brzmiało zdecydowanie lepiej, a Karol głupio. W wieku piętnastu lat sytuacja nieco się zmieniła i Karolina po raz pierwszy poczuła, że przynależność do płci żeńskiej wcale nie jest tak okropna, jak jej się wydawało. W wieku piętnastu lat w ogóle wiele się zmieniło. A nawet trochę wcześniej. To wtedy uświadomiła sobie, że jednak będzie dziewczyną, a potem kobietą, a w zasadzie to kobietą właśnie się stała, bo w końcu dostała pierwszą miesiączkę.

Późno.

Ostatnia w klasie. Najgorsze zaś było to, że dziewczyny opowiadały o tym tak swobodnie, jak o zakupach w markecie.

Mam okres. Leci ze mnie.

Karolina nie potrafiła tego zrozumieć. To jednak było coś intymnego, coś, co należało do niej, i zupełnie nie widziała potrzeby dzielenia się z całym światem wiadomością, że właśnie krwawi. Poza tym czuła się nieco opóźniona w tym całym akcie budzenia się kobiecości. Na szczęście coś drgnęło.

Co prawda, nadal nie potrafiła się przekonać do noszenia sukienek lub odsłaniających brzuch kusych koszulek, ale ponieważ biust zaczął powoli dawać o sobie znać, wybrała się do sklepu po biustonosz.

– Miseczka AA? – spytała ją sprzedawczyni, patrząc intensywnie na to, co zakwitało właśnie pod bluzką Karoliny.

Zaczerwieniła się. Trzeba było przyjść z mamą, ta zachłanność na bycie dorosłą tym razem się nie sprawdziła. Kontakt ze sprzedawczynią staników wytrącił Karolinę z równowagi i zachwiał jej poczuciem własnej wartości. Czy AA to normalny rozmiar w tym wieku, czy jednak rodzaj obelgi? Niektóre jej koleżanki miały większe piersi niż ich matki. Czy jest też miseczka AAA? Oraz AAAA?

– Poproszę. – Skinęła głową, udając, że zakup AA zbliżony jest do zakupu kilograma marchewki. Prosty i zwyczajny. A potem poszła do przymierzalni i z dziką satysfakcją odkryła, że potrzebuje rozmiar większy. A może nawet dwa? Z AA biust wyskakiwał frywolnie, ciut oburzony faktem, że ktoś chciał go ścisnąć białym, miękkim materiałem w cenie dwunastu złotych.

– Za mały – oznajmiła Karolina i dumnie uniosła podbródek. Wróciła jej pewność siebie i poczucie własnej wartości.

Rozmiar A pasował idealnie. Piersi schowały się w nim, uroczym zanurzone w mięciutkich miseczkach, a dziewczyna doszła do wniosku, że jednak chce być kobietą. W zasadzie to można być jednym i drugim. Kobiecość trzymać na szczególne okazje, a na co dzień zachowywać się po męsku. Być twardym, nie mazać się bez powodu, nadal chodzić po drzewach i omijać Barbie szerokim łukiem. Ostatni rok dał jej niezłe w kość. Co prawda, wszystko zmierza ku szczęśliwemu zakoń-

czeniu, ale to nie zmienia faktu, że trochę emocjonalnie oberwała.

Po wymazaniu Wiktoraka z pamięci (przynajmniej częściowym), Karolina odczuła chwilową ulgę. Ulga przeobrażała się jednak niczym kokon w motyla i z czasem przestała być tak zwyczajnie obojętna. Nie była już spokojem, raczej wyrzutem sumienia, czymś, co drapało Karolinę coraz częściej i mocniej.

– Do diabła – powiedziała głośno, budząc się w dniu swoich piętnastych urodzin i czując, że ten dzień jest do dupy, choć jeszcze dobrze się nie zaczął.

Nie odczarowały go ani prezenty, ani życzenia kolegów z klasy, zwłaszcza osobiste od Pawła, ale o Pawle na razie postanowiła w ogóle nie myśleć, ani zaproszenie od mamy na jakiś tam koncert.

Wzięła głęboki oddech i otworzyła skrzynkę, a potem spam, do którego przekierowywała wszystkie wiadomości od Wiktora.

Siedemdziesiąt dwa e-maile.

Siedemdziesiąt dwa elektroniczne listy, w których on ciągle pyta o to samo. Dlaczego? I argumentuje też podobnie – przecież jesteś moją siostrą! Piętnastoletni człowiek nie jest jeszcze może tak prawdziwie dorosły, ale przestaje już być idiotą. Nie wyje jak dziecko, któremu odmówiono cukierka, tylko zastanawia się nad powodami odmowy. Zaczyna rozważać za i przeciw, zaczyna myśleć przyczynowo-skutkowo i nie obraża się na śnieg, który spadł w maju. Człowiek staje się dojrzały nie wtedy, kiedy potrafi sam zasznurować buty czy też ugotować obiad, ale kiedy powoli uwalnia się od własnego egoizmu. Kiedy oprócz „ja” pojawiają się również inni ludzie.

Trudno powiedzieć, czy urodziny do czegoś zobowiązują, ale Karolina poczuła, że właśnie dzisiaj musi zrobić coś, czym udowodni sobie, że staje się mądrzejsza.

Przepraszam. Może spróbujemy raz jeszcze?

I wysłała dodatkowo swoje zdjęcie.

I tak zaczęli do siebie pisać, opowiadając o wszystkim i o niczym, dzieląc się nawet prognozą pogody oraz stopniem uwielbienia czekoladowych ciast. Podejściem do zwierząt oraz wstrętem do pajaków. Kolorem kangurzego futra i problemem z trądzikiem.

Wiktor był wprawdzie młodszy, ale i tak świetnie się z nim rozumiała. Ostrożnie zaprosiła go w wakacje do siebie, a mama nawet się zgodziła. Choć oczywiście nie obyło się bez dyskusji, że może to jeszcze trochę za wcześnie. Mama Wiktora też podobno uznała spotkanie za dobry pomysł, choć ciągle nie była przekonana, czy dobrze robią, nie informując jej męża, a ojca Wiktora i Karoliny, że jego dzieci nawiązały ze sobą kontakt.

Nie, proszę, jeszcze nie... – pisała Karolina.

Niech będzie. Krzysztof i tak ciągle wyjeżdżał do Australii, żeby pozamykać ostatecznie wszystkie interesy i to zamykanie stale się przedłużało. Poza tym

to przecież nie takiego... Brat odnalazł siostrę, piszą do siebie, może się spotkają... Mama Wiktora postanowiła, że na razie o niczym mężowi nie wspomni, a życie może samo podsunie jakieś rozwiązanie.

I tak mijały kolejne tygodnie.

Karolina uśmiechnęła się, poprawiła stanik, spojrzała w lustro i pomyślała, że to bardzo dziwne. Zamiast swojego odbicia widzi wielką czarną plamę. I ta plama płynie w jej stronę tylko po to, by za chwilę otulić ją całkowitą ciemnością.

I ciszą.

Dwie godziny później, siedząc w poczekalni szpitala, zobaczyła małą dziewczynkę, która z wielkim smutkiem w jeszcze większych, ciemnych oczach szła korytarzem. Mama co chwila ją przytulała. Zanim weszły na badanie, Karolina doliczyła się siedmiu dłuższych przytuleń i czterech krótszych. Puściła nawet do tej dziewczynki oko i zrobiła zęza. Mała zatkała sobie dłonią usta, jakby wstydziła się parsknąć na cały szpital. Na pewno jednak nawiązały jakąś nić porozumienia, możliwą wyłącznie między osobami niepełnoletnimi. Dorośli nie mają już wstępu do tego świata, a to dlatego, że do wszystkiego podchodzą zbyt racjonalnie. Nie wierzą we wróżki. W elfy. Boją się pajaków. No dobrze, pajaków to ona akurat też nie lubiła. Ale u dorosłych wszystko jest na serio i na poważnie. I zawsze, ale to zawsze przypominają, żeby umyć ręce po przyjściu do domu. Ciekawe, czy ktoś kiedyś umarł od nieumycia rąk?

– Lepiej ci? – spytała Karolinę mama i nerwowo poprawiła apaszkę na szyi.

– Mamo, nie jest ci za ciepło w tych chusteczkach?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– No nie wiem po prostu, teraz martwię się tym, że zemdlałaś. – Mama pogłaskała ją po twarzy i zastukała obcasami. Czasem nerwowość objawia się naprawdę w śmieszny sposób. Ludzie wykonują serię dziwnych ruchów, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. Co chwila pocierają nos albo drapią się za uchem, nadmiernie się pocą i powtarzają w kółko te same słowa.

– Lepiej ci?

Karolina roześmiała się. To tylko omdlenie. Trochę głupio wyszło, że tak gruchnęła w przymierzalni, dobrze chociaż, że miała na sobie stanik. Pierwszy samodzielnie kupiony biustonosz, biały w zielone kokardki. Ciut infantylny, ciut za duży jednak, ale przecież nikt nie miał go oglądać. Niestety, jako pierwszy ujrzał go lekarz karetki. Karolina zaczerwieniła się na samo wspomnienie ostatniej godziny. Na szczęście lekarz gdzieś zniknął, krew pobrał ktoś inny, a teraz czekają na kolejne badania. Chociaż jeśli o nią chodzi, to wszystko jest już dobrze.

– Lepiej ci? – mama najwyraźniej zacięła się niczym płyta w gramofonie dziadka. Swoją drogą pierwszy raz widzi ją aż tak zdenerwowaną. Nawet wtedy, kiedy na jaw wyszła prawda o Wiktorku, mama zniosła to jakoś lepiej. A teraz sie-

dzi, stuka tymi obcasami, ciągle drapie się za uchem i przetyka nerwowo ślinę. To tylko szpital. Fakt, nie pachnie tu zbyt ładnie i ogólnie panuje dość ponura atmosfera, ale trudno, żeby ludzie tańczyli ze szczęścia, dowiadując się o różnych chorobach. Hurra, mam grypę! Niech żyje mięśniak macicy! Cieszy mnie świadomość polipów!

– Karolina Majewska – usłyszały głos lekarki i obie wstały niemal jednocześnie.

Białe drzwi numer siedemnaście. Karolina stanęła przed nimi w białym staniu w zielone kokardki, ukrytym pod niebieską bluzą, i otrzepując się z pyłków zdenerwowania (wystarczy, że mamę dopadło), weszła do gabinetu.

Seria pytań wystrzeliwanych niczym race z pistoletu hukowego. Punkt kulminacyjny – raca w górze, czas na odpowiedź i powolne opadanie, aż lekarka wszystko zanotuje i zada kolejne pytanie.

– Uczucie zmęczenia?

No, owszem.

Zbyt mało czerwonych krwinek.

– Obniżona odporność?

Możliwe.

Zbyt mało białych krwinek.

– Siniaki lub krwawienia?

Zdarzyło się.

Zbyt mało płytek krwi.

Ciekawe, ile osób w tym szpitalu lubi wiosnę, a ile zimę? To pewnie zależy od tego, kiedy tu trafiły. Kiedy zapadł wyrok. Ciekawe, ile z nich już nie doczeka ani wiosny, ani zimy. Karolina pomyślała, że te pytania jakoś dziwnie ją atakują. Jak małe nożyki, którymi cyrkowiec rzuca w kobietę stojącą nieruchomo przy drewnianej ścianie. I nie wiedziała, czy powinna raczej zrobić unik, żeby nie zostać trafioną, czy stać bez ruchu i udawać, że wszystko jest w porządku.

Próbowała się uśmiechnąć i wtedy jeden z nożyków trafił ją boleśnie w szyję. Godzinę później nożyków było już znacznie więcej.

MAGDALENA

Naleśniki z dżemem

Tajemnicą dobrych naleśników jest ciasto o konsystencji kremowej, które nie jest ani zbyt gęste, ani zbyt rzadkie. Niektórzy na początku wlewają do miski mleko, tymczasem lepiej jest najpierw wbić jajka, potem dodać mleko, a na końcu mąkę i dokładnie wszystko wymieszać. Nie powstaną wtedy grudki. I warto dodać do ciasta dwie łyżki oleju, dzięki czemu nie trzeba wylewać go za każdym razem na patelnię. Naleśniki idealnie smakują z prawdziwymi powidłami śliwkowymi.

Stoję w kuchni i smażę osiemnastego naleśnika, nie czując jego zapachu, nie patrząc na konsystencję ciasta i nie podjadając co chwila, jak mam to w zwyczaju. Zwyczaje bowiem zostały zaburzone, rzeczywistość zamknęła się w szpitalnych ścianach, a wszelkiego rodzaju odczuwanie było na ten moment wyjąłowane z emocji.

Ola jest tam, karmiona chemią, nie naleśnikami.

Kiedy powiedziałam jej, że musi zostać w szpitalu, popatrzyła na mnie ze strachem w tych wielkich, ciemnych oczach. Nic nie mówiła, tak jakby nie wiedziała, o co spytać.

– To tylko na jakiś czas. Musisz mieć zrobione badania, ale potem wszystko będzie już dobrze. To będzie taka zabawa w szpital.

Przytuliła się do mnie z całej siły, a ja wiedziałam, że nie mogę jej teraz tak zostawić.

– Proszę poczekać, aż zaśnie. Większość mam tak robi. I wraca nad ranem. Czas snu jest zawieszeniem, jakby ktoś nacisnął pauzę i wtedy dziecko nie odczuwa strachu, że jest samo – uśmiechnęła się do mnie jakaś pielęgniarka.

Siedziałam i śpiewałam Oli kołysanki. Śpiewałam tak długo, aż zmęczenie zamknęło jej oczy i oddaliło lęk, że mama zniknie.

Ale teraz muszę wracać.

– Jadę do szpitala – mówię i rzucam ostatni naleśnik na talerz.

Jest szósta rano.

– Byłaś tam całą noc. Teraz jest mama, a ty odpocznij trochę. – Aleksander patrzy na mnie z delikatnym uśmiechem. Wygląda tak, jakby zastanawiał się, czy naleśniki mają prawo mu smakować. Bo pachną naprawdę obłądnie. Nie mam siły zrewanżować mu się nawet lekkim grymasem twarzy.

– Idę – mówię tylko, myję ręce i chwytam torebkę.

Wybiega za mną na klatkę i niezdarnie całuje we włosy.

Taki niby zwykły gest, ale czuję, że nie jestem sama. I że oboje walczymy z tą samą siłą, nawet jeśli to ja częściej jeżdżę do szpitala.

Po drodze, przechodząc koło starych kamienic ustawionych wzdłuż wąskich

uliczek, stoję na moment za plecami jakiegoś artysty, który ze zdjęcia odtwarza portret dziecka. Fajną ma kreskę, prostą, ale zdecydowaną. Niczego nie poprawia, nie zmazuje, nie ulepsza. Po piętnastu minutach z kremowej kartki bloku łypie na mnie pięcioletni chłopczyk, śmiesznie marszcząc nos, zupełnie jakby coś go tam łaskotało.

– Czemu nie rysuje pan tam, gdzie jest więcej ludzi? – pytam nagle. – Tu pana nikt nie znajdzie.

Odwraca się do mnie i wzrusza ramionami.

– Ale ja nikogo nie szukam. Mam swoją uliczkę, zdjęcia i kredki. A pani jednak mnie znalazła.

Tym razem to ja wzruszam ramionami.

– Zupełnie przypadkiem.

– Chce pani jakiś obrazek? – Spogląda na mnie zielonymi oczami.

W portfelu mam zdjęcie Oli, ale sprzed pół roku, nieaktualne. Jeszcze z uśmiechem na buzi i z błyszczącymi oczami. Bez bólu, bez pytań, co się właściwie z nią dzieje. Zwykle zdjęcie dziewczynki w błękitnej sukience.

Mężczyzna zerka na Olę.

– Chciałabym, żeby pan ją namalował starszą – mówię nagle.

Podnosi na mnie wzrok, zabarwiony zdziwieniem, ale i ciekawością.

– O ile?

– Pięć, sześć lat – zaryzykowałam.

Pokręcił przecząco głową.

– To zbyt trudne. Narysuję ją o rok starszą, może być? A za rok znowu pani przyjdzie, z aktualnym zdjęciem, i zobaczymy, czy miałem rację.

Uczepiłam się tej myśli, zupełnie jakby to miała być jakaś wróżba. Oczywiście, że przyjdę za rok. I wtedy on znowu narysuje Olę o rok starszą i tak będziemy to ciągle i ciągle powtarzać. Przecież nie może nic złego się wydarzyć, skoro będziemy umówieni na portret...

W szpitalu rozmowy są mniej artystyczne i brzmią nieprzyjemnie. Czy to dlatego, że lekarze niemal zawsze uciekają wzrokiem? A może to te statystyki? Może liczby, od których boli głowa, i które są przerażające, nawet jeśli to tylko puste cyferki. Neuroblastoma wraz z pokrewnymi guzami to czwarta choroba pod względem występowania, po guzach mózgu, białaczkach i chłoniakach. Co roku wykrywa ją się u nieco ponad dziewięciorga na milion dzieci do piętnastego roku życia, co stanowi ponad siedem procent wszystkich nowotworów dziecięcych i od trzydziestu do pięćdziesięciu procent wszystkich guzów występujących u noworodków.

Dziewięć, piętnaście, siedem, trzydzieści. Brzmi jak liczby wybrane w totołotku. A wygrana? Biorę głęboki oddech. Jak w ogóle noworodek może mieć guza? Patrzą na ordynatora, który mówi dalej, bez zawahania, bez zastanowienia, zupeł-

nie jakby opowiadał bajkę. Tyle że dla dorosłych.

Według danych epidemiologicznych, w Polsce rozpoznaje się rocznie do osiemdziesięciu nowych zachorowań.

Czy osiemdziesiąt to jest dużo? Na tyle dzieci? To przecież tyle co nic, więc dlaczego Ola...

– Nie ma odpowiedzi na pytanie „dlaczego?” – tłumaczy lekarz. Czyżbym zapytała głośno? A może po prostu każdy rodzic pyta dokładnie o to samo?

– Lubi pan naleśniki z dżemem?

Kiwa głową.

– A ja nie pamiętam, jak smakują. To znaczy spróbowałam dzisiaj jednego, ale zupełnie nie wiem, jak smakował.

– Wiele rzeczy pani zapomni. Na chwilę zamknie się przed panią jeden świat, a otworzy drugi. Potem oba zaczną się przenikać, a na końcu to znowu będzie jeden świat.

– Bez Oli? – pytam tak cicho, że ledwo sama słyszę swój głos.

Kręci przecząco głową.

– Nawet jeśli mamy tylko jeden procent szansy, to ciągle nie jest to bezwzględne zero. Nawet wtedy trzeba walczyć.

Osuwam się na krzesło i zamykam oczy. Chyba trzeba powoli zacząć zbierać rozsypane kawałki samej siebie i znowu stanąć na nogi. Każda matka ma w szafie zbroję, która czeka na specjalne okazje. I właśnie teraz przyszedł czas, żebym założyła moją.

KAROLINA

Leżała w szpitalnym łóżku i starała się przypomnieć sobie definicję epikureizmu. Jak to było? Życie bez bólu? Najwyraźniej żaden z epikurejczyków na nic nie chorował, a już na pewno w życiu nie dostał chemii.

No dobrze, może wtedy chemii nie było, ale nowotwory z pewnością jakoś ich atakowały. I co? Wtedy nadal uważali, że życie jest pasmem szczęścia?

Karolina doszła do wniosku, że zdecydowanie bliższa jest jej ta druga filozofia. Eudajmonizm? Jakoś tak. Szczęście w życiu ziemskim jest trudno osiągalne i trzeba się sporo napracować, żeby je zdobyć.

I tego się trzymajmy.

Zwłaszcza nocą w szpitalu, gdzie nikt nie odczuwa szczęścia, za to każdy pachnie strachem.

Podobno każdego dnia w Polsce umiera na raka ponad dwieście osób. Ciekawe, ile umiera właśnie w tym momencie. W tym szpitalu...

Trzeba napisać do Wiktora. Ale na razie bez żadnych szczegółów. Ten pobyt tutaj to może jednak jakieś nieporozumienie, chwilowe wyczerpanie baterii, co po-

dobno w okresie dojrzewania jest bardzo normalne. Wprawdzie padło słowo „rak”, a zaraz po nim „chemia”, ale na razie tylko jako ewentualność. Diagnoza nie jest jeszcze ostateczna. Ciało nastolatki rządzi się przecież swoimi prawami. Nagle rośnie apetyt, choć u niej ostatnio raczej zmalał. Ale to chyba też jest naturalne. Człowiek szybciej się męczy, co jest logiczne, bowiem w okresie dorastania rozwijają się układy oddechowy, nerwowy, trawienny oraz układ krążenia. Skoro tyle rzeczy naraz przechodzi ewolucję, to chyba normalne, że można mieć problemy z kondycją?

Wstała z łóżka i postanowiła wsłuchać się w swoje ciało. Kto jak kto, ale to ona chyba wie najlepiej, co się z nim dzieje? Zatoczyła się przez ułamek sekundy, ale potem już całkiem normalnie poszła w kierunku drzwi i wyszła na korytarz.

Bardzo proszę.

Nic się nie dzieje.

Wieczorem mama przyniosła jej kilka ciuchów na przebranie, jakieś owoce i książkę. Cała się trzęsła, zupełnie jakby chodziło o coś poważnego.

– Mamo, daj spokój.

– Ale powiedzieli...

– Powiedzieli, owszem. Ale muszą jeszcze potwierdzić.

I pomyśleć, że jeszcze rok temu życie wydawało jej się znacznie bardziej niesprawiedliwe. Szkoda, że nie wiedziała, jak bardzo można się pomylić. Nie miała wtedy okresu, mieszkała z mamą, a jej codzienność toczyła się dość spokojnie.

A potem pojawił się Wiktor i nagle okazało się, że świat stanął na głowie. Otóż, nic bardziej błędnego. Wtedy tylko ciut się zachwiał, za to teraz...

Teraz może się wydarzyć naprawdę wszystko.

– Przyniosłaś mi zeszyt z zieloną okładką?

Mama podała jej torbę.

Karolina otworzyła go na chybił trafił i zaczęła pisać. Obojętnie co, byle tylko zająć czymś głowę. I nie patrzeć na mamę, która udaje, że nie chlipie. Napisała więc, że bardzo łatwo jest być drzewem, bo drzewa wszyscy lubią. Czy istnieje na świecie człowiek, który z jakiegoś powodu nie lubi drzew? Ona miała zdecydowanie gorzej. Niewiele osób ją lubiło, ale nie przejmowała się tym. Zresztą nie zabiegała o popularność. Nie potrzebowała udawanego uwielbienia, pseudouśmiechów i całusków w policzki. Drażniły ją piszczące koleżanki, z tym swoim histerycznym śmiechem na widok kolegów z innej klasy.

Nie drażnił jej tylko niejaki Paweł, ale nie, to ciągle nie jest jeszcze ten moment, żeby zacząć o nim intensywnie myśleć.

Poza tym to, co czuła na jego widok, to były tylko nieznaczne tąpnięcia w żołądku, na pewno nie lewitacja. I nie pociły jej się też ręce na jego widok. Nie drżał głos i nie miękły nogi.

– Przyjdę jutro z samego rana, dobrze?

– Mamo, a może ja zadzwonię do ciebie, jak już będę wiedzieć nieco więcej?
Bo takie wspólne czekanie to tylko nas wykończy.

Mamie znowu zatrzęsa się broda.

Karolina ziewnęła i potarła oczy.

– Jestem okropnie zmęczona, widzimy się jutro. – Poklepała mamę po ręce i doszła do wniosku, że chyba rzeczywiście najlepiej będzie zasnąć. We śnie człowiek nie myśli, nie rozważa, nie zastanawia się nad wynikami. We śnie po prostu płynie z marzeniami, unosi się w powietrzu i potrafi skakać przez chmury.

I na pewno nie zaprzęta sobie głowy czymś takim jak...

...chłoniak.

Rolka, co jest? Bo zawsze odpisujesz niemal od razu, a teraz od wczoraj cisza. I komórkę masz wyłączoną. A ja właśnie dzisiaj dostałem szóstkę z referatu o lodach. Mieliśmy udowodnić, że warto je jeść, i napisałem, że lody (mimo zawartości cukru) to nawet zdrowy deser. W porównaniu z batonami, galaretkami czy słodkimi napojami. Mają dużo łatwo przyswajalnego wapnia (stugramowa porcja dostarcza go tyle samo, co sto gramów mleka), są dobrym źródłem białka i fosforu. Całkiem sporo w nich także witamin A i B2. Wiedziałaś o tym? Ja też nie, ale znalazłem w Internecie. Tu jest wszystko, wiesz? Chciałbym, żebyśmy kiedyś razem wybrali się na lody. Może jednak uda nam się spotkać trochę wcześniej?

Status: nieodebrane.

MAGDALENA

Tumor abdominis

Tej nocy nie mogłam spać, choć mój organizm błagał o wytchnienie. Wstałam cicho, żeby nie obudzić Olka, i zajrzałam do pokoju Mateusza. Światło księżycyca dotykało jego włosów, tworząc wokół głowy srebrzystą poświatę. Wyglądał bajkowo, choć pewnie obruszyłby go fakt, że błyszczy niczym syreni ogon. Pewnie wolałby wyglądać jak Batman lub inny superbohater..

Coś w tym jest, że na śpiące dziecko można patrzeć godzinami. Na ten spokój wymalowany na twarzy, na zamknięte powieki i uśmiech, który czasem towarzyszy snom. Na rozrzucone na poduszce włosy, zaciśnięte piąstki tulące pluszowego misia, na piżamkę pachnącą mydełkiem i pastą do zębów, która zawsze w zadziwiający sposób ląduje na ubraniach. Moja tęsknota za śpiącą Olą znowu zdjęła ze mnie zbroję. Znowu stałam się krucha, choć przecież obiecałam sobie, że będzie inaczej.

Popatrzyłam jeszcze chwilę na mojego syna, pocałowałam go chyba z dwadzieścia razy, aż zaczął się wiercić przez sen, i wreszcie poszłam do kuchni.

Parzę teraz kawę. Nie po to, by ją wypić, ale żeby powdychać jej zapach. To ciekawe, ale aromat kawy zawsze podobał mi się bardziej niż jej smak. Siadam przy stole.

Tak pewnie wyglądają poranki w większości domów. Dzieci jeszcze śpią, tata goli się w łazience, mama szykuje śniadanie. To jest tak zwykłe, tak nudne i codzienne, że zazwyczaj nikt o tym nie mówi. A ja tęsknię za taką zwyczajnością. Za Olą śpiącą nie w wielkim szpitalnym łóżku, ale w swoim pokoiku. W pościeli z kotkami. Wtuloną w swoje misie i lalki. Niech nawet będzie łysa. Włosy odrosną, rany się zagoją.

Czy włosy odrosną?

Czy rany się zagoją?

Kiedyś w każdej wolnej chwili, kiedy miałam ochotę zapomnieć o całym świecie, czytałam *Anię z Zielonego Wzgórza*.

Czy to nie przyjemnie, że jest tak dużo rzeczy, które jeszcze poznamy? To właśnie sprawia, że ja się tak cieszę życiem... świat jest taki ciekawy... Nie byłby taki ani w polowie, gdybyśmy wszystko o nim wiedzieli, prawda?1.

1 L.M. Montgomery: *Ania z Zielonego Wzgórza*. Przeł. A. Kuc. Wydawnictwo Literackie. Warszawa 2009.

Nie wiem, czy właśnie to chciałam poznać. Są w życiu piękniejsze rzeczy niż neuroblastoma. Leżą przede mną dwie kartki papieru, na których nie ma słowa o tym, że świat jest ciekawy, a życie to przygoda. Poszczególne wyrazy układają

się w zdania, których sens dociera do mnie każdego dnia coraz mocniej i dobitniej. Nie uodparnia, choć wiem, że z czasem nauczę się tych słów na pamięć, żeby je w sobie oswoić. Na razie są jak dzikie zwierzątko, które wystawia zęby. Ale ja będę cierpliwa. I spokojna.

Klinika Onkologii, Hematologii i Transplantologii Pediatricznej, Oddział III, SPSK nr 5

Rozpoznanie: Tumor abdominis. Infectio tractus urinarii.

Eipkryza: Dziewczynka przyjęta z powodu guza brzucha. W dniu jej przyjęcia w stanie ogólnym średniociężkim, apatyczna, cierpiąca, blada, asymetria brzucha, duży guz w prawej połowie brzucha, o średnicy około dziesięciu centymetrów, twardy, bolesny. Dziecko przekazano na oddział chirurgiczny celem pobrania wycinka z guza.

Nie ma chwili, żebym nie myślała o śmierci. Jest trzecia nad ranem, godzina, w której podobno umiera najwięcej ludzi. Bo nie ma żadnych świadków. Nocne marki poszły już spać, ci, którzy zrywają się o świcie, mają jeszcze trochę czasu. Końcówka nocy, ale jeszcze nie początek dnia. Coś pomiędzy. Nie wiadomo, czy powiedzieć „trzecia nad ranem”, czy raczej „trzecia w nocy”? Idealny moment, żeby kogoś zabrać tak, by nikt tego nie zauważył.

Czy Ola śpi?

Nerwowo wybieram numer szpitala i próbuję uspokoić dudniące serce.

– Ja wiem, że nic się nie dzieje, bo inaczej ktoś z państwa by do mnie zadzwonił, ale proszę iść do pokoju Oli, dosłownie na chwileczkę, proszę tylko tam wejść – mówię głośno do słuchawki, zaciskając pięści.

Jeśli śmierć miała jakiegokolwiek plany w stosunku do mojej córki, to przynajmniej ktoś ją zaskoczy. Przestraszy. I może pójdzie sobie na inne piętro i tam wybierze kogoś, kogo ja nie znam.

Wiem, że tak nie wolno myśleć, ale jest mi wszystko jedno.

Mam wrażenie, że nie oddychałam do momentu, w którym nie usłyszałam w końcu głosu siostry dyżurnej.

– Śpi. Bardzo spokojnie śpi.

Odkładam słuchawkę. Nie wiem, czy podziękowałam, czy w ogóle cokolwiek powiedziałam. Pochyliłam twarz nad dzbankiem kawy i zamykam oczy.

Świt powoli dobija się do nowego dnia. Na szaro-niebieskim niebie pojawiają się piękne, pomarańczowe smugi, a mrok osuwa się za horyzont. Wpatruję się w tę popielatość budzącego się dnia i powtarzam za Anią Shirley: *Pamiętaj, że wszystko można zacząć od nowa. Jutro jest zawsze świeże...2.*

2 L.M. Montgomery: *Ania z Zielonego Wzgórza...*

Znowu zamykam oczy.

Tylko na chwilę...

Aleksander znajduje mnie śpiącą przy kuchennym stole, z ręką zaciśniętą na uchu dzbanka. Nalewa sobie zimnej kawy do filiżanki i upija mały łyk.

– Słona. – Krzywi się, ale wypija do końca.

Podobno łyzy mają różny skład chemiczny, w zależności od emocji i nastroju. Moje były z kortyzolem, hormonem wydzielanym pod wpływem stresu.

Najwyraźniej smacznym.

– Muszę do szpitala – szepczę.

Kiwa głową, że oczywiście, a potem bierze mnie na ręce i zanosí do łóżka. Kładzie na boku i zaczyna głaskać po głowie. I głaszcze tak długo, aż w końcu zasypiam w poczuciu błogości, że wszystko będzie dobrze. I że wolno mi trochę po-
spać.

KAROLINA

„Wszystko, co mam, to teraz” – pomyślała Karolina, budząc się w szpitalnym łóżku i patrząc spod wpolprzymkniętych jeszcze powiek na krzątającą się siostrę. Leżała z dwiema innymi dziewczynkami, które ciągle chrapały w najlepsze.

– Wyspana? – dobiegł ją głos pielęgniarki, która przyszła z porannym zestawem dla szpitalnego pacjenta. Pytania o siusiu, kupkę, pomiar temperatury, ciśnienia i parę innych drobiazgów, które składały się na ogólną diagnozę.

Kiwnęła głową. Chyba się wyspała. Co prawda, zdecydowanie woli spać we własnym łóżku, ale najwyraźniej jej organizm potrzebował odpoczynku, bo nie pamięta nawet, czy się w nocy budziła. Ale na pewno skakała przez chmury.

– Dzisiaj biopsja.

Karolina poczuła, jak wszystkie mięśnie w jej organizmie sztywnieją. Owszem, pamiętała o wstępnej diagnozie, ale słowo wypowiedziane na głos zdecydowanie bardziej obnaża jego niepokojący wydźwięk. Natychmiast też w człowieku budzą się małe strachy i chociaż ogólnie czuje się dobrze, to jednak niepokój zaczyna robić swoje. Ręce się trzęsą, głos staje się jakiś nieswój, a widok pielęgniarki już nie jest tak bardzo obojętny.

No i te słowa. Tak jakby szpitalne powietrze wymuszało na pracujących tu ludziach porozumiewanie się językiem, którego pacjenci automatycznie się boją. Bo nawet jeśli człowiek sporo rozumie, rozróżnia poszczególne wyrazy, a alfabet przyswaja sobie już w przedszkolu, tutaj wszystko brzmi inaczej. Słowa są stanowcze, wyprane z emocji i nagie jak obgryziona kość.

Wystarczy posłuchać.

Podstawowym badaniem diagnozującym jest biopsja. Z obszaru zajętego przez nowotwór pobiera się wycinek tkanki, który następnie bada się w laboratorium. Najczęściej wycinki pobiera się z węzłów chłonnych, bo większość chłoniaków zaczyna się właśnie tam. Biopsja to zwykle niewielki zabieg, podczas którego usuwa się cały węzeł chłonny albo tylko jego część. Wykonuje się ją w znieczuleniu miejscowym lub ogólnym.

Nic dziwnego, że mama zaczęła od razu płakać, aż Karolinie zrobiło się jakoś głupio. Na moment postanowiła przejąć jej rolę.

– Mamo, spokojnie, wszystko będzie dobrze – powtarzała co chwilę, głaszcząc ją po głowie.

Czy nie powinno być odwrotnie?

Na szczęście miała w sobie wystarczająco dużo siły, żeby informację o chłoniaku wziąć na klatę. W końcu obiecała sobie, że tylko jakaś jej część pozostanie kobieca (z ciut za dużą miseczką B), a ta druga będzie twarda i dzielna jak Rambo. Odważnie popatrzyła w oczy lekarki i dała znak ręką, że może mówić dalej. Potem się to jakoś przełożyło na język nastolatki.

Na wyniki biopsji trzeba czekać zwykle około dwóch tygodni. Bo potrzebnych jest jeszcze kilka skomplikowanych badań. Czasami diagnoza jest z tego powodu później, ale lekarze muszą dokładnie sprawdzić, czy w wycinku znajdują się komórki nowotworowe, a jeśli tak, jakiego są typu.

No i dobrze. Poczekają sobie ze spokojem te dwa tygodnie, w końcu biopsja jeszcze niczego nie oznacza. Zawsze są możliwe różne warianty, tylko człowiek jest tak bardzo głupi, że od razu zakłada ten najgorszy. A przecież skoro istnieje szansa na dobrą wiadomość, to czemu się jej nie ucześć i nie pozwolić, by pod wpływem tej wiary stała się faktem.

Zadzwoń do Wiktorka? Powalić go informacją, że jest chora?

Chyba za wcześnie, żeby mu o czymkolwiek mówić. Nawet się jeszcze nie widzieli, a chyba trudno na początku drogi od razu wskakiwać do przerębla z lodowatą wodą. Tu trzeba krok po kroku, pomalutku, stopniowo. Fajnie im się pisze, fajnie rozmawia przez telefon. Po co to psuć jakimiś prognozami o tsunami?

Uśmiechnęła się do swoich wspomnień z zeszłego roku. Ależ była wtedy zacietrzewiona! Gdyby ktoś podszedł do niej z zapalką, zapłonęłaby niczym znicz olimpijski. Wszystko się w niej gotowało, absolutnie wszystko. Pamięta, że uderzyła wtedy dłonią o stół, a siniaki nie chciały zejść przez kolejnych kilka tygodni. Czy to właśnie te siniaki miała na myśli lekarka? Bardzo nieprzyjemnie odkrywa się, że to, co w człowieku siedzi, dawalo jednak jakieś znaki. Próbowano się ujawnić, ale Karolina nie potraktowała tych sygnałów jakoś specjalnie poważnie. Miała zresztą co innego na głowie.

Sięgnęła po telefon i wreszcie go włączyła. Osiemnaście nieodebranych połączeń. Wszystkie od Wiktora.

Trzeba zadzwonić, tylko najpierw uspokoić głos i kompletnie nie myśleć o biopsji.

– Przepraszam, jestem w plenerze ze szkołą i komórka mi padła. Zresztą nie mamy tu na nic czasu.

– Na jakim plenerze? – Chciał natychmiast wiedzieć, ale była na to przygotowana.

– „Wiosenne opowieści”, czyli lekcje natury dla nastolatków.

– Gdzie?

– W... Warszawie – zająknęła się na moment. – A dokładnie w Łazienkach. Wczoraj mieliśmy projekt „Zielone spiżarnie” i poznawaliśmy między innymi upodobania żywieniowe myszy przemykającej wśród bluszczu w łazienkowskich ogrodach – plotła trochę bez sensu. – I zobaczyliśmy też, jak niezwykle konstrukcje potrafi budować mały kowalik.

– Fajne! I co jeszcze?

Przełknęła ślinę. Że też akurat musiało go to zainteresować.

– A dzisiaj mieliśmy temat „Bajka w ogrodzie”. Wiesz, zwiedzaliśmy zaka-

marki królewskich ogrodów i szukaliśmy bohaterów bajek i mitów. Spotkaliśmy Zefira, Florę, Herkulesa, Tankreda i Kloryndę. Teraz będziemy zadawać pytania i szukać odpowiedzi.

– Na co?

Czy to na pewno chłoniak?

– Kim byli, jaką rolę odegrali w życiu swoim i innych.

– Rolka, ja bym chciał cię już zobaczyć.

Najpierw diagnoza. Najpierw ostateczny wynik. A co będzie potem, to ona sama jeszcze nie wie.

– Spokojnie, jakoś się umówimy. Muszę kończyć, bo mamy jeszcze w planach jakieś zajęcia artystyczne i będziemy poznawać techniki sztuki aktorskiej. Odezwę się, więc się nie denerwuj. Pa! – Rozłączyła się szybko.

Techniki sztuki aktorskiej miała już opracowane do perfekcji. Ale i tak nie udało jej się zachować kamiennej twarzy, kiedy jechała na biopsję.

– Możesz trochę popłakać. – Pielęgniarka pogłaskała ją po ręce. – Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Zawsze to mówią.

Zawsze.

MAGDALENA

Odporność

Nie wierzę, że minęło już tyle czasu od pierwszej diagnozy. Jakby ktoś zrywał kartki z kalendarza bez mojej wiedzy i zgody. Jedna za drugą, jedna za drugą, byle szybciej. Tygodnie zlały się w miesiące, miesiące w rok. Półtora. Kolejne pół. Ale wszystko trwało jakby kilka dni. Szpital, krótkie przepustki, tysiące badań. Dni utkane z chwilowych powrotów do domu, szpitalnego zapachu i ciągle nowych diagnoz. Huśtawka, która nigdy się nie zatrzymuje. Która wznosi się wysoko w górę, a potem gwałtownie opada, tylko po to, by znowu poszybować w powietrze. Na początku jest ci strasznie niedobrze, z czasem umiesz nad tym zapanować. Intensywnością naszych przeżyć mogłabym obdarować pół świata. W zamian chciałabym tylko odrobiny stagnacji. Zatrzymania się na jednym z biegunów.

Ale chaos, w którym się znaleźliśmy, powoli daje się oswajać. Jak dobrze, że nie muszę pracować. Jak dobrze, że mam dwie babcie do pomocy. W skrócie wygląda to tak:

Rano Olek zawozi mnie do szpitala, Mateusza do teściów, a sam jedzie do pracy. Potem przyjeżdża do szpitala, a ja jadę do synka, żeby z nim pobyc, pożyć trochę w innym świecie. I potem wieczorem znowu jadę do Oli, żeby ukołysać ją do snu. Czasem jeździmy razem. No i moja mama, na zmianę z mamą Olka. Niekończący się kołowrotek.

Przedszkole? Zadzwonili do nas z pytaniem, co się dzieje. Że przecież Mateusz jest zapisany. Nie ma przedszkola – odpowiadam. Jest rak. Na razie to on nas sobie podporządkowuje. Nie chcę Mateusza oddawać do przedszkola, wolę, żeby w tej sytuacji był przy nas. On też tego chce. Tęskni za Olą, za nami, za codziennością. Nie wiem, może zabawa z innymi dziećmi pozwoliłaby mu zapomnieć, odebrać się na chwilę. Ale nie potrafię go oddać. Przecież i tak ciągle w jakimś sensie go zostawiam.

Siadam przy stole i próbuję przypomnieć sobie ostatnie tygodnie. Miesiące. Dwa lata. Pamiętam z tamtego okresu każdy dzień. Każdą chemię, podczas której bolało mnie wszystko bardziej niż Olę. Rozpacz, kiedy przestała mówić. Bo nagle przestała. Jakby obraziła się na cały świat, na to, co jej zafundował. Mateusz próbował ją jakoś obudzić z tego marazmu, zmusić, żeby się do niego odezwała.

– Dziadek wziął mnie do salonu samochodowego i powiedział sprzedawcy, że jestem absolutnym fachowcem. I że mają mi dać wszystkie katalogi i pozwolić posiedzieć w samochodach. No i siedziałem w bmw E90. Granatowy metallic, model coupe. Brzmi jak kupa, nie? – zachichotał.

Ola uśmiechnęła się odrobinę, a ja od razu poczułam, jak szybciej płynie we mnie krew.

– Kiedyś sobie taki kupię i będziemy razem jeździć. Ale może wezmę cabrio, fajnie wtedy wieje.

– Cabrio – powtórzyła Ola. – Kupa.

Dwa tygodnie później znowu zaczęła z nami rozmawiać.

Człowiekowi wydaje się, że jest odporny na śmierć. Że jest objęty ochroną, chociaż inni przecież umierają. Pędzimy samochodami, skaczymy ze spadochronami, balansujemy na granicy życia, a jednak nigdy nic złego się nie dzieje. Nie patrzymy na śmierć z pokorą, bo przecież nas samych nie dotyczy.

Choroba Oli pokazała mi, że nie ma nic pewnego. Obudziła lęki tak straszne, że bałam się spojrzeć w lustro. To nieprawda, że wszystko można oswoić. Chwytasz się różnych myśli, żeby nie zwariować, ale nie masz żadnych szans w starciu z rzeczywistością. Wyobrażasz sobie, że jesteś tylko częścią kosmosu, kimś zupełnie nieznającym, kogo istnienia świat nie będzie pamiętał już za sto następnych lat. Wokół wirują planety, a twój maleńki dramat jest mniejszy niż ziarenko piasku na pustyni.

Próbujesz się uspokoić, wytłumaczyć sobie, że tak czasem jest. Ale to nic nie daje. Bo moim kosmosem jest Ola.

Kiedy nie mogę wytrzymać, chowam się w ramionach męża i płaczę tak długo, aż jego koszula jest całkowicie przemoczona. Ale on nie zwraca na to uwagi. Zawsze wolno mi przy nim płakać, choć staram się, żeby Mateusza nie było w pobliżu. On i tak sporo wyczuwa, ale nie chcę dodatkowo pokazywać mu swojej rozpaczy.

Ciągle uczę się nowych słów.

Mielogram: preparat dość bogaty w komórki. Upośledzona erytropoeza. Dla E/M jak 1:6. Granulopoeza z przewagą najdojrzałych. Komórek patologicznych, a także układających się w rozetki nie stwierdza się.

To teraz moja codzienna lektura, z której próbuję wyczytać nie tylko to, co napisano, ale i ślady nadziei, że te mądre słowa, będące skutkiem jeszcze mądrzejszych obserwacji i wreszcie badań, przyniosą wymarzony rezultat. Guz znacznie się zmniejsza. Znikać, usychać, ginąć.

Chemioterapia COJEC – dziesięć cykli.

Gdybym miała rybki albo chomiki, nadałabym im bardzo oryginalne imiona. Cyklofosfamid i etopozyd, a dla dziewczynek karboplatyna, winkrystyna i cisplatyna. Nikt by się nie zorientował, że to składniki chemii.

Jest wtorek.

Idę do najbardziej zatłoczonej kawiarni, jaką udaje mi się znaleźć w mieście, po to, by zagłuszyć własne myśli. Bo człowiek nie tylko nie jest odporny na śmierć, ale i na własny strach. Nie chcę, żeby usłyszała mnie moja podświadomość, która podobno nie ocenia tego, o czym myślimy, nie dzieli marzeń na dobre i złe, tylko próbuje je spełnić. Jeśli wypełnię całą siebie myślą o śmierci, o stracie i o braku

Oli, to...

Nawet tego nie powiem. Będę obserwować ludzi i co chwila powtarzać sobie „uda się”. Sugestia. Podszept podświadomości. Muszę nastrojać się pozytywnie. Zachęcać mózg do optymizmu. Człowiek jest tym, o czym przez cały dzień myśli. Nie wiem, kto to powiedział, ale na wszelki wypadek skupię się na czymś innym niż tylko szpital.

Kobieta w zielonym sweterku je trzeciego pączka. Najwyraźniej zagryza jego słodyczą coś gorzkiego, bo z trudem hamuje płacz. Może w innej sytuacji podeszłabym do niej i spróbowała jakoś pocieszyć, ale boję się, że za chwilę obie zaczniemy ryczeć i żaden pączek nic tu nie wskóra. Przenoszę wzrok na barmana. Jest niewiarygodnie cierpliwy.

– Nie wiem, czy wybrać na kawie wzór rozetki, czy raczej serduszka? – kietuje go młoda dziewczyna i chyba zazdroścę jej takich dylematów.

– To na co się pani decyduje?

– Serduszko? A może uśmiech na dzień dobry?

O Boże, idiotka.

Nie, nie wolno mi tak myśleć, po prostu ma dziewczyna sporo czasu i mało zmartwień, wobec czego zajmuje się wzorem na piance z mleka.

Barman mocno zaciska szczęki, ale ciągle się uśmiecha.

– A potrafiłby pan zrobić gwiazdeczki?

– Jak najbardziej.

– Albo nie, jednak serduszko.

A gdybym tak do niej podeszła i rozmazała łyżeczką te serduszka, gwiazdeczki i narysowała wieki guz z mlecznej pianki? „To neuroblastoma, podoba ci się?”

Odwracam wzrok i skupiam się na swoim ciastku. Jogurtowe z truskawkami. Zupełnie nie potrafię ocenić smaku, nie wiem nawet, czy wyczułam truskawki. Odnoszę dziwne wrażenie, że jestem wyjałowiona ze wszystkich zmysłów. Nie czuję smaków, zapachów, nie wiem nawet, czy coś jest ostre, czy mdłe. Muszę znowu odzyskać przynajmniej część siebie, wtedy będzie mi łatwiej ogarnąć rzeczywistość. Jest przecież jeszcze Mateusz. Nie mogę zapominać o starszym dziecku tylko dlatego, że młodsze ktoś próbuje wyrwać mi z rąk.

Stop.

Miałam nie myśleć o Oli.

Dobrze, skupmy się na dwóch kobietach, które siedzą za mną i chyba obgadują własne wnuki. To mi nawet pasuje. Posłucham, odetnę proces myślowy, skupię się na jogurtowym z truskawkami.

– Powiem ci, że komunია mojego średniego wnuka była dość nietypowa. Najpierw zaskoczył mnie ksiądz Marian, który z ambony przywitał piękne dziewczynki i przystojnych młodzieńców. Oraz piękne kobiety. A potem dodał, że prze-

cież wszystkie kobiety są piękne, tylko niektóre stare. Ale za to doświadczone.

Koleżanka parska śmiechem, a moje usta też odrobinę jakby drgnęły.

– Wszystkie kobiety w kościele zamarły, zastanawiając się, czy są tylko piękne, czy piękne i stare, czy też może i piękne, i stare, i doświadczone. A pod koniec mszy mój najmłodszy wnuk szarpie mnie za rękaw i mówi: „Jestem głodny. Dasz mi jabłko? Albo ten chlebek, co wczoraj upiekłaś i wiem, że masz w torebce”. Więc mu tłumaczę, że później, bo nie wypada jeść w kościele. A on na to: „A ja widziałem, że ksiądz coś zjadł! I nawet popił!”.

Śmieję się. Naprawdę się śmieję. A potem odwracam głowę w stronę tych dwóch kobiet i mówię: „Dziękuję”.

Idę do szpitala.

Wiem, że wyniki będą lepsze.

KAROLINA

Tym razem czuła, że musi porozmawiać z lekarką bez obecności mamy. Doktor Lucyna początkowo nie chciała o tym słyszeć, ale w końcu, w drodze wyjątku, zgodziła się. Od razu zastrzegła jednak, że mamę też będzie musiała o wszystkim poinformować i to natychmiast, jak tylko ta przyjdzie do szpitala. Ale Karolina chciała najpierw sama.

Wszystko przez ten płacz. Zamiast skupić się na tym, co mówią fachowcy i ewentualnie zadać kilka sensownych pytań, mama rozklejała się w pierwszej minucie dialogu i na tym w zasadzie dialog się kończył. Kiedy Karolina dostała informację ze szpitala, że są już wyniki biopsji, początkowo chciała od razu do niej pobic, ale po chwili rozmyśliła się.

Spróbuj najpierw sama. W końcu to jej ciało, jej choroba, jej rak (a może jednak nie?), jej prawo do pierwszeństwa. Nawet jeśli nie jest pełnoletnia.

Karolina usiadła w gabinecie na bordowym krześle i pomyślała, że trzeba być strasznie smutnym lub złośliwym, żeby projektować meble w takim kolorze. Jak rozgotowane buraki. Albo jak krew, która wypływa z wątróbki podczas smażenia. Wzdrygnęła się. Co siedzi w człowieku, który tworzy bordowy fotel? A w zasadzie bordowy z domieszką beżu omdlałego morszczuka.

– Naprawdę nie chcesz poczekać na mamę? – spytała doktor Lucyna, dość sensowna, konkretna i chyba nieściemniająca za bardzo. Gładko uczesana w kocyk. Karolina zawsze lubiła kobiety z kocykami, bo wydawały jej się jakieś szlachetne. Ona sama miała dość chaotyczną fryzurę, coś w stylu niesfornej miotły w kolorze świeżego kasztana. Takiego, którego dopiero co ktoś wyłuskał z zielonego domku i który jeszcze nie zmatowiał w kieszeni płaszcza.

Pokręciła przecząco głową i wyobraziła sobie siebie w kocyku. Zachichotała nawet, choć może to raczej z nerwów. Odchrząknęła więc ciut zawstydzona i powiedziała stanowczo:

– Ja przynajmniej nie będę płakać.

Doktor Lucyna kiwnęła głową, zupełnie jakby wiedziała, co Karolina ma na myśli. Upiła łyk herbaty z kubka i poprawiła dwa długopisy leżące na stole. To pewnie taki rytuał. Gra wstępna.

– Jak już wiesz, zdiagnozowaliśmy u ciebie chłoniaka. Biopsja to potwierdziła – zawiesiła głos.

Jasne, chyba wiadomo, co będzie dalej. Termin egzekucji?

– W ludzkim organizmie stare komórki nieustannie zastępowane są przez nowe. Z jednej komórki w wyniku podziału powstają dwie następne. Identyczne. Organizm reguluje ten proces, aby liczba komórek odpowiadała jego potrzebom. Gdy ta równowaga z jakiegoś powodu zostaje zakłócona i komórek jest zbyt dużo, może z nich rozwinąć się nowotwór.

– No i u mnie właśnie się rozwinął. Nie czuję się jakoś specjalnie wyróżniona – burknęła Karolina.

– Bo to nieszczególnie fajne wyróżnienie, ale dobra wiadomość jest taka, że wiemy, jak z nim walczyć.

– Chemią?

Doktor Lucyna przytaknęła.

– Dokładna nazwa twojego nowotworu to chłoniak anaplastyczny z dużych komórek.

– Bardzo wredny?

Doktor Lucyna zawahała się na moment, co Karolinę natychmiast upewniło w przekonaniu, że trafił jej się wyjątkowy skurwysyn.

– Cechuje go dość wysoki stopień złośliwości, ale i tak mamy na niego swoje sposoby. Jest też dobra wiadomość. Wbrew pozorom złośliwe chłoniaki lepiej się leczą niż te o niskim stopniu złośliwości, u których kolejne wznovy są niejako wpisane w naturalny rozwój choroby.

– Ale będę łysa?

– Będiesz. Choć czasem włosy nie poddają się tak łatwo.

– Kurwa – zakłęła Karolina. Lubiła swoje włosy i nawet jeśli jakiś czas temu chciała być Karolem, to jednak niekoniecznie łysym. Łysy Karol, to brzmi jak postać z kabaretu albo jak bohater jakiejś kiepskiej bajki dla dzieci. O chłopcu ofer-
mie. – Będę cały czas w szpitalu?

– Nie. Podamy ci leki cytostatyczne, które najlepiej radzą sobie z nowotworami układu chłonnego. Chemioterapię zastosujemy w trybie ambulatoryjnym, czasami to będzie tylko jeden lek przeciwnowotworowy, chociaż w ciągu jednego dnia podajemy też kombinacje dwóch lub więcej leków. Po zakończeniu cyklu następuje przerwa, podczas której organizm zazwyczaj regeneruje się i uwalnia od skutków ubocznych chemii. Po tym czasie podajemy kolejny cykl, jeśli będzie taka konieczność. Nie będziemy cię katować chemią bez powodu, ale na dziś to nasze jedyne wyjście. I wierzę, że terapia okaże się skuteczna.

– Wszystko brzmi dość normalnie. I nawet wszystko zrozumiałam.

– Karolino...

– Czy mogłaby pani mówić do mnie Rolka?

MAGDALENA

Zupa

Instytucja babci powinna być nagradzana nie tylko Dniem Babci, podczas którego dzieci recytują w szkołach i przedszkolach wierszyki, ale Świętem Narodowym z fanfarami i orderami. Hania i Krysia. Dwie babcie Oli, które stanęły na wysokości zadania niemal od pierwszego dnia. Kiedy już otarły łzy, kiedy polamentowały, każda w swoim stylu, w końcu poprawiły fryzury, przyoblekły twarze w uśmiech i ruszyły z odsieczą. Moja mama przyjeżdżała codziennie po pracy na dwie, trzy godziny do Oli. Bawiła się z nią, czytała książki, śpiewała nawet. Babcia i wnuczka miały też swój tajny układ, o którym dowiedziałam się zupełnie przez przypadek. Tego dnia miałam nic nie robić, ponudzić się trochę w domu, ale nogi same zaniósły mnie do szpitala.

– Mamo! – zawołałam zdumiona, widząc, jak moja mama zajada z apetytem zupę Oli.

Babcia Hania zmieszała się, ale tylko na moment.

– To sprawa między mną a Olą. Bo widzisz, ja strasznie lubię szpitalne zupy – przyznała odrobinę zawstydzona. – A najbardziej ogórkową i ziemniaczaną. I Ola załatwiła mi dolewkę. Znacząca załatwiła sobie, ale ja ją zjadam. Zresztą ona i tak woli parówki!

Moja córka zanurkowała pod kołdrę i śmiała się na cały głos.

– Ale ja ci mogę ugotować ogórkową w domu – powiedziałam, patrząc na moją mamę, która tylko wzruszyła ramionami.

– To nie to samo. Myślę, że sukces tego smaku tkwi w ilości. Jak gotujesz tylko dla kilku osób, to zupa smakuje zupełnie inaczej, niż kiedy przygotowujesz ją dla pułku wojska.

Nie mogłam nie wybuchnąć śmiechem.

– Babcia mnie dzisiaj wykąpie – oznajmiła Ola. – Ale ty zostań. Buziak na dobranoc.

Bo buziak na dobranoc zawsze należał do mnie.

Kiedy wracam wieczorem do domu, zaczyna padać drobny deszcz. Pachnący i ciepły.

– Znowu leje, co za gówno – mruży jakaś kobieta, potrącając mnie rozkładanym w pośpiechu parasolem.

Zamykam oczy.

Do wszystkich kobiet mających dylemat, czy lepsza jest na piance od kawy rozetka, czy może serduszko. Do wszystkich ludzi, których denerwuje padający deszcz, zbyt głośno szeleszcząca gazeta czy też spóźniający się tramwaj. Do tych, którzy kłócą się o nic. Lub o włosy kota na poduszce. O smak rosółu.

Raz jeden w życiu przejdźcie się korytarzem szpitala onkologicznego. Od-
dział dziecięcy.

Raz jeden...

KAROLINA

To niesamowite, jak w ułamku sekundy może zmienić się cały świat. Jeszcze wczoraj zastanawiasz się, czy podciąć odrobinę końcówki włosów i czy uda ci się naciągnąć mamę na nowe trampki, a już dzisiaj masz to głęboko w dupie. Patrząc na innych ludzi, zastanawiasz się, czy też są chorzy. A może byli? Może część z nich ma już na koncie swojego raka, odhaczonego i unicestwionego?

Karolina usiadła na murku fontanny i pozwoliła, by wodna mżawka co chwila skrapiła jej twarz. Co teraz? Zwolnić czy raczej rozpocząć bieg?

Nawet jeśli miała przed sobą perspektywę leczenia i nikt nie wydał wyroku, w tyle głowy już pojawiła się myśl, że może się nie udać. Czy w tej sytuacji należy przyspieszyć swoje życie i próbować zrobić jak najwięcej, czy wręcz przeciwnie? Zwolnić, bo i tak nic nie ma już sensu?

– Słuchaj, wydaje mi się, że odrobinę przesadzasz – dobiegło ją z prawej strony. Przerwa w medytacjach. Posłucha tych obok.

– Otóż nie, nie przesadzam, właśnie. Umówiliśmy się, że idziemy razem – dziewczyna próbowała nie wybuchnąć, ale Karolina wiedziała, że to tylko kwestia czasu.

Chłopak zaś co chwila wzdychał i chyba nawet z większym zaciekawieniem obserwował dwa kosy na trawie.

Chyba kosy. Czarne, z żółtymi dziobami.

– Ale mam trening, więc się trochę spóźnię. Pójdiesz sama, a ja dojadę.

– Otóż nie. Nie wejdę sama na imprezę.

– Bo?

– Bo to głupio wygląda.

Chłopak gwizdnął przeciągle, aż kosy spojrzały na niego z uznaniem.

– Dlaczego głupio?

– Od razu wiadomo, że coś jest między nami nie tak.

– Chyba nie zrozumiałem.

– Nic dziwnego.

– A czy między nami jest coś nie tak?

– Nie wiem, ty mi powiedz.

Karolina pomyślała, że w zasadzie dobrze się składa, iż nie ma jeszcze chłopaka. Po pierwsze, musieliby stanąć twarzą w twarz z jej chorobą, a po drugie, prawdopodobnie nie dałaby rady prowadzić tak fascynujących konwersacji o niczym. Do tego trzeba talentu.

– Myślę, że jest okej, po prostu spóźnię się na imprezę.

– No właśnie.

– Co właśnie?

– O tym mówię. Jeśli przyjdę pierwsza, sama, od razu wszyscy pomyślą,

że coś jest między nami nie tak.

„To już było” – pomyślała rozbawiona Karolina.

– A jest?

– Nie wiem, ty mi powiedz.

Nie wytrzymała i parsknęła donośnym śmiechem. Endorfiny uderzyły jej do głowy i przez moment poczuła się po prostu doskonale.

Tymczasem chłopak i dziewczyna, między którymi „chyba było coś nie tak, choć nie wiadomo co”, spojrzeli na nią bez cienia uśmiechu.

– Co jest? – pytali niemal jednocześnie.

– Nic. – Karolina pokręciła szybko głową. – Za trzy tygodnie mam chemię, więc teraz cieszę się po prostu z różnych rzeczy.

Odeszli szybciej, niż odleciałyby spłoszone kosy. Ale przynajmniej chwycili się za ręce.

Trzy tygodnie. Do tego czasu musiała trochę wzmocnić organizm, bo wyniki krwi nie były najlepsze. Ale wiedziała, że jakoś sobie poradzi. Najważniejsze to nie czytać zbyt dużo w Internecie, bo wtedy może okazać się, że człowiek w zasadzie już umarł. Na razie trzeba załatwić wszystkie formalności w szkole. Na szczęście do końca roku zostało zaledwie parę tygodni i nawet gdyby miała opuścić kilka testów czy sprawdzianów, to pewnie przymkną na to oko. Ominie ją dysocjacja jonowa kwasów, a z fizyki te straszne zagadnienia o składaniu sił o tym samym kierunku i zgodnym zwrocie oraz analiza ruchu jednostajnego prostoliniowego i jednostajnie przyspieszonego prostoliniowego. Fizycy zdecydowanie mają coś wspólnego z lekarzami: komplikowanie języka do tego stopnia, że człowiek czuje się półgłówkiem. Przynajmniej teraz nauczyciele jej odpuszczą.

Na początku ochroni ją współczucie, a po wakacjach się zobaczy. Może będzie wszystko na tyle dobrze, że po chłoniaku zostanie tylko wspomnienie.

Szkoła wydawała jej się zdecydowanie mniej brzydka niż jeszcze dwa tygodnie temu. Co prawda, nadal denerwował ją zapach płynu do mycia podłóg, ale cała reszta była naprawdę znośna.

Gablotka biologiczna łapała dość groźnie i ostrzegała przed brakiem odpowiedniej higieny. Tasiemiec uzbrojony, glista ludzka, salmonelloza, a nawet próchnica zębów. A wszystko dlatego, że człowiek często zapomina o myciu warzyw i owoców oraz rąk.

O, to jednak mama ma rację, domagając się częstych wizyt w łazience i dokładnego mycia rąk po przyjsciu do domu.

Usiadła na parapecie i popatrzyła przez okno. Zdecydowanie to jeden z najpiękniejszych miesięcy w roku. Świeża zieleń zdawała się przytłaczać wszystkie inne kolory, a zapach bzów przebijał się przez szyby szkoły i aromat płynu do mycia podłóg. Ciekawe, jaki będzie maj w przyszłym roku? Też taki gorący? Pachnący?

Czy w ogóle będzie jeszcze maj?

Trzeba w końcu napisać lub powiedzieć Wiktorowi prawdę. Nie może w nieskończoność jeździć na jakieś plenery, które nie istnieją, i rozmawiać o niczym. Tylko, że te rozmowy były takie fajne. Właśnie dlatego, że o niczym. Niezmałcone wizją chemii, kroplówek, wkłuć i wreszcie łysej głowy. Niezmałcone statystykami dotyczącymi chłoniaka, jego leczenia i rokowań. Nieprzerywane czytaniem broszurek.

Istnieją różne typy chłoniaków i taki chłoniak Hodgkina na przykład rozwija się zwykle bezobjawowo, jako powiększenie węzłów chłonnych śródpiersia. Niestety, w Polsce wykrywany jest znacznie później niż w krajach Europy Zachodniej, ponieważ mniej osób w naszym kraju uprawia regularnie sport.

Ona uprawia sport. Może nie wyczynowo, ale zawsze. Ale ona nie ma chłoniaka Hodgkina tylko inny. Równie wredny. Czy naprawdę chce o tym rozmawiać z Wiktorem? Jakże cudne są jego opowieści o tym, że ukłuł się w szkole kaktusem i przez trzy dni wyskubywał z palców niewidzialne igiełki. Albo jak jego mama zjadła niechcący papryczkę jalapeño, bo pomyliła ją z inną, i potem zionęła, tak, zionęła ogniem i moczyła język w misce z lodowatą wodą. Z nikim jej się tak dobrze nigdy nie gadało. Nie słuchało przez telefon muzyki. Nie zasypiało nawet, a rano budziło z odcisniętym telefonem na policzku.

To był bardzo fajny brat, choć w zasadzie pół.

MAGDALENA

Włosy

Początkowo byłam jakby obok normalnego życia. Ale wiedziałam, że muszę w nie znowu wejść i jakoś połączyć z tym szpitalnym. Nie mogę nie rozumieć, o co pyta mnie Mateusz. Nie mogę go nie słyszeć. To moje drugie dziecko, tak samo cudowne i tak samo ważne jak Ola.

– Tu, mamo, jest tajna baza Batmana, o której nie wie absolutnie nikt.

Kiwam głową, a jednak puszczam mimo uszu słowa „Batman” i „baza”, bo kiedy mnie znowu o coś pyta, nie mam pojęcia, o czym rozmawiamy.

– Mamo! – ta pretensja w głosie jest jak najbardziej uzasadniona.

Tak nie wolno. Muszę znowu przełączyć się na tryb mamy, która naprawdę wie, co jej syn buduje z klocków i dlaczego jest to tak bardzo ważne. Dopóki życie nie postawiło przede mną tabliczki z napisem „neuroblastoma”, mogłam wierzyć w mit o życiu idealnym. Lub chociażby udanym. Płynęłam przez kolejne dni, miesiące i lata, myśląc, że tak będzie już zawsze. Ale to przypadki, niespodziewane zdarzenia i nagłe zwroty akcji określają naszą rzeczywistość. Życie należy budować z różnych cegieł, a nie tylko wyidealizowanej wizji rodziny z dwójką cudownych, zdrowych dzieci, uśmiechniętym mężem, miłym pieskiem i niedzielnym ciastem. Trzeba wszystkie te dobre cegły przekładać gorszymi, żeby kiedyś nie stanąć w niemym krzyku, kiedy ten idealny świat zacznie się sypać niczym sucha choinka.

– Tu Superman, Batmanie, gdzie jesteś? – spytałam niskim głosem.

Mateusz początkowo unosi ze zdumienia brwi, ale szybko zapomina, że był na mnie obrażony, i daje się wciągnąć w dialog.

– Zamknij oczy i odwróć się. Nikt nie może znać tej kryjówki, nawet ty. To bardzo niebezpieczne.

– A kto obecnie zagraża nam najbardziej?

– Zły Pingwin. Umie oddychać pod wodą.

Kiwam poważnie głową.

– Ja też.

– Mamo, Superman? – Mateusz patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Czekaj... – szepczę. – Skonstruowałem specjalną maskę, dzięki której mogę przebywać pod wodą co najmniej cztery godziny. Dopadnę Pingwina – kończę głosem Supermana.

Jak dobrze jest czasem odpłynąć...

Wyobrażam sobie, jak chemioterapia niszczy guza mojej Oli. Wyobrażam sobie, jak go atakuje, uderza, jak próbuje go oderwać od zdrowych organów i unicestwić. Wbrew pozorom to bardzo pomaga.

Ten bydlak naprawdę się zmniejszył.

Z notatek lekarskich:

Dzisiaj założono w znieczuleniu ogólnym port naczyniowy. Przeprowadzono cztery cykle chemioterapii, uzyskując zmniejszenie masy guza i poprawę stanu ogólnego.

Usunęli go.

Otworzyli moje dziecko i wycięli z niego to, co je zabijało. Szkoda tylko, że od razu zaznaczyli, że to jeszcze nie koniec, że na razie wygraliśmy małą bitwę. Ale to nie umniejsza mojej radości. Ola jest w domu, bez włosów, ale z uśmiechem na drobnej buzi. Owija głowę chusteczkami, a kiedy odwiedza ją ciocia, przykłada sobie do twarzy jej długie włosy upięte w koński ogon i podziwia się w lustrze. Jest śliczna. Choć wychudzona, blada i bardzo drobna, jest śliczna.

Ciekawe, dlaczego najbardziej boimy się utraty włosów? Zupełnie jakby to właśnie był najgorszy efekt uboczny raka. Nie ból, strach, niepewność, co dalej, ale właśnie włosy. Może dlatego, że upubliczniają naszą słabość? Pokazują wszystkim, że nasz organizm przestaje być spójną całością, że zaczyna się rozpadać, psuć, niszczyć? Dobrze, że Ola jest jeszcze taka mała. Nie rozumie znaczenia braku włosów. Patrzy na swoje łyse odbicie w lustrze i chyba nawet trochę się uśmiecha.

Przed nami kolejne akcje.

Musimy jeździć na kontrolne badania krwi, a Ola musi dostawać roaccutan. W przypadku neuroblastomy wysokiego ryzyka pacjenci otrzymują sześć cykli tego leku (kwas 13-cis—retinowy, izotretynoina) przez czternaście dni, co cztery tygodnie. Jestem coraz lepsza w tej rakowej matematyce. W chemii zresztą też.

Izotretynoina działa bezpośrednio na komórki neuroblastomy, powodując ich śmierć na drodze apoptozy lub sprawiając, że się różnicują.

Robi wrażenie, prawda?

Skóra Oli po roaccutanie? No cóż... Świąd, pierzchnięcie, łuszczenie, zadrapania, czasami nawet pęknięcia i drobne krwawienia. Nie wolno jej przebywać na słońcu. Ale poradzimy sobie i z tym.

– Hm, trochę wyglądasz jak żółw Ninja – mówi Mateusz, patrząc na Olę. – Ale to dobrze, bo to twardziele są.

Za kilka dni powrót do szpitala.

KAROLINA

Dyrektorka szkoły zachowała się dokładnie tak, jak przewidziała Karolina. Najpierw zbladła i zasłoniła sobie usta ręką. Potem chwyciła się za serce, a jej oczy zaczęły podejrzanie błyszczeć. Karolina przypatrywała się jej z nieukrywaną ciekawością. Podobnie zareagowała nauczycielka biologii, facet od historii i matematyka. Jedynym odchyłem od normy była nauczycielka polskiego, która tylko kiwnęła głową i powiedziała:

– Rak? Też miałam. Ale wyszłam, więc ty również dasz radę. Co nie zwalnia cię ze znajomości Żeromskiego oraz Szekspira. Choroba to chwilowa utrata równowagi w życiu, ale to nie znaczy jeszcze, że należy zrezygnować z mycia zębów i przyjmowania posiłków. Człowiek idzie dalej, odrobinę utykając. Z czasem krok wraca do normy. – Spojrzała na Karolinę z bardzo powściągliwym uśmiechem i poleciła dodatkowo przeczytać *Ziele na kraterze* Wańkowicza. – Ta książka ma terapeutyczny wpływ. Uczy samodzielności, pokazuje jak ćwiczyć inteligencję i myśleć nieszampowo. I jak zbudować swój własny „Domeczek”.

Dziewczyna zapatrzyła się na nią z otwartą buzią. Nie przypuszczała nawet, że polonistka może okazać się tak zwyczajnie normalna, tak idealnie dopasować do zaistniałej sytuacji i, mimo całej swojej chropowatości, podnieść ją na duchu.

Wańkowicz. Czemu nie?

Dyrektorka zdecydowanie należała do grupy osób, u których słowo „rak” kojarzyło się z jednym. Nie powiedziała tego głośno, ale Karolina odniosła dziwne wrażenie, że postawiono na niej krzyżyk. Taki nagrobny. Nie musiała nawet przychodzić więcej do szkoły, bowiem „wszystko zostanie załatwione tak, żebyś nie musiała się niczym martwić”.

– Ale ja mogę chodzić do szkoły. Po prostu czasem muszę odwiedzać moją lekarzkę w szpitalu, żeby kontrolować wyniki krwi. No i nie wiem, jak będzie po pierwszej chemii.

– Tak, tak, tak.

– Co tak? – zdumiała się Karolina.

– Znaczy, wszystko rozumiem. – Dyrektorka pociągnęła nosem i pogłaskała dziewczynę po głowie. – Jesteś taka młoda, taka młoda – zachlipała na do widzenia, wskutek czego Karolina po prostu wzruszyła ramionami i wyszła.

Wysłać jej zaproszenie na pogrzeb od razu czy jeszcze poczekać?

– Jej zdaniem chyba już umarłam – powiedziała do mamy.

– Nie mów tak... Po prostu...

– Jezu, mam, ty też? Trochę trudno jest myśleć pozytywnie, kiedy wszyscy wokół ciebie pociągają z rozpaczny nosem. Ja żyję, wiesz?

Mama próbowała ją przytulić, ale Karolina wyrwała się z jej objęć.

– Ty mnie wspieraj. Mam chłoniaka, będę mieć chemię, chemia zabije chło-

niaka, potem może dorzucą jeszcze jakieś leczenie dodatkowe i za rok o tej porze dyrektorka w ogóle nie będzie pamiętać, że kiedyś rozkleiła się na mój widok.

– Tak – powiedziała mama.

– Twoje „tak” brzmi jak „o Boże, moje dziecko umiera”.

– Nieprawda.

– To się nagraj. I posłuchaj.

– A może... – mama urwała w pół słowa.

– Co?

– Może powinnam go zawiadomić?

Karolina aż podskoczyła.

– Ojca? Ani mi się waź! Miał pewnie milion okazji, żeby mnie zobaczyć po latach, ale jeśli ma to zrobić z litości, to ja bardzo dziękuję. Jezu, mamu, to jest tak niedorzeczne, że nie wiem, co powiedzieć! Nie chcę go widzieć, a już na pewno nie teraz.

Mama znowu chlipnęła.

Karolina pokręciła z niechęcią głową i postanowiła skierować swoje życie na zupełnie inne tory. Skoro tutaj wszyscy płaczą na jej widok, pora spotkać się z kimś, kto nie ma pojęcia o jej chorobie. Poza tym jest spokrewniony.

To była bardzo spontaniczna decyzja i pewnie by nie zapadła tak szybko, gdyby nie ten cały cyrk z dorosłymi. Dlaczego oni tak szybko tracą wiarę? Dlaczego od razu zakładają najgorsze i podcinają skrzydła, jeszcze zanim one wyrosną? Z Wiktorem wszystko było dużo prostsze. Nie, nie powie mu, że jest chora, niech to będzie po prostu fajne spotkanie, tak jak fajne są ich listy.

Pisali do siebie niemal o wszystkim. O książkach, które lubią, o muzyce, której słuchają, o ulubionych filmach, a nawet zwierzętach. Oboje nie przepadali za kotami, ale rozbierały ich chomiki. Zwłaszcza kiedy pakowały sobie żarcie do policzków. Jeśli chodzi o psy, to Wiktoerek preferował buldogi, Karolina zaś wołała potulne labradory.

Buldog? Piesek wielkości podnóżka, o charakterze kanapowo-kolanowym – napisała nie bez złośliwości.

Labrador? Żołądek na czterech łapach, zjadłby nawet własny ogon – odpisał niemal od razu.

Po rozmowie z dyrektorką szkoły Karolina postanowiła w końcu spotkać się ze swoim półbratem osobiście. Nie w wakacje. Tylko teraz, już i od razu.

– Jadę do Wrocławia – oznajmiła po prostu.

Mama najpierw zdębiała, potem upewniła się, czy na pewno jej córka wie, co robi, i czy tego właśnie chce. Na oba pytania Karolina odpowiedziała przecząco.

– Jak to? – nie zrozumiała mama.

– Normalnie. Nie wiem, czy tego chcę na pewno, ale wiem, że na pewno chcę spróbować. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– A może pojedę z tobą?

– Mamo, wiem, że nie jestem pełnoletnia, ale podróż z Poznania do Wrocławia, pociągiem, leży zdecydowanie w zakresie moich możliwości. A moja choroba nie wyklucza przemieszczania się po Polsce, przynajmniej na razie. Poza tym będę swobodniejsza bez twoich pytań, czy dobrze się czuję, nerwowych spojrzeń oraz zapewne łez, które potrafisz z siebie wycisnąć niemal na zawołanie.

Mama niby lekceważąco wzruszyła ramionami, ale Karolina i tak zobaczyła na jej twarzy lekki przestach, zupełnie jakby jej córka wybierała się pod namiot z pięćdziesięcioletnim gościem poznanym na randka.pl.

– Spokojnie, będzie dobrze. Po prostu muszę zobaczyć gówniarza i przekonać się, czy aby na pewno mamy ze sobą coś wspólnego. – Poklepała ją po ręce, próbując w ten sposób uspokoić samą siebie. Trochę bała się tego spotkania, choć z drugiej strony... To się musiało po prostu udać.

– Rozumiem. – Mama pokiwała głową. – I rozumiem też, że inaczej ciągle by cię to męczyło. A... – zawiesiła głos – a z ojcem na pewno nie chcesz się spotkać?

Karolina wywróciła białkami na lewą stronę.

– No proszę cię! Mówiliśmy już o tym. Jego mam głęboko w d...

– Okej, wiem gdzie – przerwała wulgaryzm. W końcu była matką.

– Dobra. – Karolina zerwała się i chwyciła leżącą w przedpokoju torbę. – Jadę. Wracam wieczorem. Pogadam z nim trochę, powiem, co myślę o naszym tatuziu, i pewnie dorzucę parę brzydkich słów, ale myślę, że ta cała sytuacja jakoś mnie usprawiedliwia. A potem zaproponuję, żebyśmy utopili moje złe wspomnienia w... co przepływa przez Wrocław?

– Odra! – Mama spojrzała z przyganą na swoje piętnastoletnie dziecko.

– No. To w Odrze. – Karolina pocałowała ją w policzek.

– Czeka! – Mama zatrzymała ją jeszcze na moment. – A on wie?

– O chłoniaku? Nie. I na razie nic mu nie powiem, żeby nie psuć atmosfery.

Poza tym to moja sprawa.

W pociągu czytała jakieś straszliwe bzdury.

„Mikrofaza. Rewolucja w sprzątaniu! Wszystko wchłania”.

Wstrząsająco interesujące.

Po trzech godzinach miała tak spocone ręce, że nawet mikrofaza nie byłaby w stanie wchłonąć tej ilości wody.

– Czym ja się tak denerwuję? Spotkaniem z dziesięcioletkiem? Z jakimś Wiktorkiem, półbratem chowanym w cieplarnianym klimacie Melbourne? – mruzczała pod nosem. Serce waliło jej jak oszalałe, zupełnie jakby biegła na randkę z Robertem Pattinsonem. Podobno melisa uspokaja, ale w pociągu jej nie mieli. Jedno było w tym wszystkim dobre. Przestała zupełnie myśleć o chłoniaku i o tym, że już za dwa tygodnie jej organizm przyjmie coś, co nie do końca mu się spodoba.

Ale nie było innego wyjścia.

Wpakowała do buzi trzy pieprzowo-miętowe gumy do żucia. To ją przynajmniej lekko orzeźwiło. Aż straciła na moment oddech. Jezu, ale piołun.

Umówili się w klubie Bezsensowność. Zamówiła taksówkę, bo była zbyt zdenerwowana, żeby tułać się po Wrocławiu tramwajami. Całkiem niezłe miejsce. Przeszkłone patio, szaro-bure ściany z malowniczymi freskami i graffiti, ciemne meble, wygodne kanapy i fotele. Poczowała się jak w jakimś przedwojennym mieszkaniu. Tylko muzyka nie pasowała, bo leciały smętne, chilloutowe kawałki, a powinien śpiewać taki na przykład Fogg, którego głos zawsze ją rozśmieszał. Usłyszała go kiedyś w radiu i z wrażenia zapamiętała nazwisko.

Jesienne różeeee... Jakby miał kluskę w gardle.

Zanurzyła się w fotelu (była pół godziny za wcześnie) i zamówiła wodę z dużą ilością lodu. Dla lepszego wrażenia wyjęła gazetę i udawała, że jest pochłonięta lekturą.

Wiktorek.

Zdjęcie, które jej wysłał kilka miesięcy temu, nie należało do najlepszych. Bo kiedy go zobaczyła na żywo, okazało się, że ma nie tylko jej uszy, ale i oczy oraz ogólny zarys podbródka. Podobne włosy oraz uśmiech. Identycznie odgarniał grzywkę z czoła i pocierał zabawnie kciukiem o kciuk.

Rozmawiali kilka godzin bez przerwy, a wszystko przy jednej wodzie (Karolina) i jednej coli (Wiktorek). Kelnerzy w końcu sobie odpuścili i przestali na nich zwracać uwagę.

Co jeszcze można dodać?

Wiktorek okazał się... no, chyba nie można byłoby wymarzyć sobie fajniejszego brata. Jeszcze fajniejszego, niż wynikało to z e-maili i rozmów przez telefon. Niestety, Karolina nie była w stanie obarczyć go winą za swojego ojca. Ich ojca. Ten chłopak absolutnie na to nie zasługiwał.

– Mogę mówić do ciebie Rolka?

Możesz, gówniarzu.

Jezu, jaki fajny gość.

Kurwa. Dlaczego teraz tak wszystko się skomplikowało?

Kiedy wróciła do domu, początkowo nie potrafiła wydusić z siebie słowa.

– Mamo, jutro ci powiem, dobrze?

– Źle się czujesz?

– A ty znowu swoje. Czuję się dobrze, tylko trochę brakuje mi słów. Ale może mi się przyśnią.

Karolina przewróciła się w pościeli. Nie powiedziała Wiktorowi o swojej pierwszej chemii, w zasadzie w ogóle nic mu nie powiedziała. Istniała bowiem minimalna szansa, że chłoniak zostanie zamordowany lekami i usunie się z ciała Karoliny szybciej, niż jej brat (pół) dojechałby z Wrocławia. Może nie ma sensu mu

mówić? Po co przerywać tę ich bratersko-siostrzaną nić, zanim na dobre ich owinie. Choroba czasem zmienia wszystko, a ona nie miała już ochoty na kolejne rewolucje.

Niech to będą dwa niezależne światy. Ten tutaj z kroplówką oraz drugi – z odnalezionym bratem (pól), z którym można pogadać o wszystkim, byle nie o raku.

Słyszałam, że buldog francuski pochodzi z Anglii. Świetna nazwa zatem. Na dodatek chrapie i nie znosi upałów.

Wyślij.

MAGDALENA

Co ja mam im powiedzieć?

W całym domu pachnie czekoladą.

To jest zapach fascynująco-irytujący, bo wciska się do nosa i doprowadza do zawrotów głowy. Mam ochotę natychmiast zjeść coś czekoladowego, ale z drugiej strony robi mi się powoli niedobrze.

– Jezu, co to? – pytam, wchodząc do kuchni.

Olek założył fartuszek w truskawki, w którym wygląda nie tyle dziwnie, co wdzięcznie. Zwłaszcza że jest cały wysmarowany czekoladą, włącznie z włosami.

– Robię suflety – obwieszcza radośnie.

– Myślałam, że czekoladową maskę do ciała.

– Nie, no po prostu za szybko wyjąłem końcówkę z miksera i trochę chlapnęło.

Trochę?

– Ale osiągnąłem prawdziwie mistrzostwo. Suflet jest na zewnątrz upieczony, a w środku płynny. Kulinaryny Everest. – Oblizuje się ze smakiem i dumą.

– Dla Oli?

Poważnieje.

– Nie. Dla ciebie.

– Ja nie chcę...

– Chcesz. Zjesz tyle sufletów, ile będziesz chciała, a resztę zaniemiemy Oli i pielęgniarkom. Mogę im nawet zdradzić przepis. – Puszczą do mnie oko.

Nie mogłam się nie roześmiać.

– Może najpierw mi zdradzisz?

– Bardzo proszę. – Kłania się nisko. – Czekoladę rozdrabniamy mikserem, dodajemy do niej masło i podgrzewamy na małym ogniu, aby oba składniki się rozpuściły i połączyły. W osobnym naczyniu mieszamy jajka, żółtka i cukier. Dodajemy mąkę i czekoladową masę, a potem dokładnie mieszamy, aż powstanie gęsta masa. Następnie przekładamy ją do foremek i do piekarnika. A teraz najważniejsze. Pieczemy w dwustu trzydziestu stopniach Celsjusza maksymalnie dziesięć minut, ale jeśli po ośmiu stwierdzimy, że wierzch sufletów jest mocno upieczony, możemy je śmiało wyciągać z piekarnika. Inaczej środek nie będzie płynny – wyjaśnia, nakładając mi swoje kulinarne dzieła sztuki na talerz. – Mam do tego świeże owoce i bitą śmietaną. I lody waniliowe.

Suflety są pyszne. Idealne, czekoladowe, chrupiące i płynne jednocześnie, pachnące i aromatyczne. Są alegorią miłości. Cudowną próbą zachowania normalności mimo wszystko.

Zjadam cztery.

A potem, wieczorem, zapominam, jak smakuje czekolada, bo ciągle w głowie słyszę ten krzyk. Śnił mi się całą noc. Kiedy wchodzę pod prysznic o piątej rano, próbuję przekonać samą siebie, że uspokoi mnie szum wody. Ale to nie pomaga. Ciągle mam w głowie kobietę, która wczoraj tak strasznie płakała w szpitalu. Krzyczała bardziej niż ja wtedy, kiedy słyszałam diagnozę. A skoro bardziej, to czy to oznacza, że jej dziecko...?

Na razie nie podchodzę do innych matek, nie szukam z nimi kontaktu. Myślę, że każda z nas powinna zająć się swoim smutkiem, a nie szukać pocieszenia w pokojach obok, ratować się historiami o cudach i o tym, że ktoś też zachorował na raka, ale przeżył i dzisiaj jest zdrowym człowiekiem. Nie jestem też gotowa, żeby usłyszeć, że czasem się nie udaje.

Codziennie zakładam zbroję, która skutecznie odstrasza innych. Otwieram się tylko przy Olku, mojej córeczce, trochę przy „naszej” pani doktor, no i przy siostrach oddziałowych, które tak naprawdę same zdejmują ze mnie ten pancerz. Jedną mnie nawet ostatnio przytuliła i powiedziała, że Oleńka to ich skarb.

To mój skarb.

Ale niech im będzie. Troszkę się nią podzielę. Na ten czas, kiedy wychodzę ze szpitala, a ona śpi.

Nie wiem, dlaczego ta kobieta płakała. Nie chcę wiedzieć. I tak nie umiałabym jej pocieszyć. Co można powiedzieć matce umierającego dziecka? Będzie dobrze? Przecież nie będzie. Nic już nigdy nie będzie takie samo, świat zmniejszy się do rozmiarów szpitalnego łóżka, a potem nawet ono zniknie. Rodzina jest jak mobilna zabawka podwieszona pod sufitem. Działa idealnie tylko wtedy, gdy składa się ze wszystkich elementów utrzymujących równowagę. Gdy jeden odpadnie, całość przechyli się na bok i przestanie tańczyć w powietrzu. Nie będzie balansu, tylko destrukcja.

Nie chcę podchodzić do tych matek. Odsuwam je, odsuwając tym samym śmierć.

Nie pomożemy sobie wzajemnie, bo każda z nas toczy własną walkę, a przeciwnik stosuje najróżniejsze techniki i próbuje wywieść nas w pole. Szkoda czasu na wspólną kawę, zwłaszcza że i tak wcale nam nie smakuje.

Nawet nie zauważyłam, że od piętnastu minut stoję pod lodowatą wodą. Nie wiem, czy jest mi zimno, czy ciepło, choć moje ciało pokryte jest gęsią skórką. Wycieram się ręcznikiem tak długo i mocno, aż skóra nabiera intensywnego różowego koloru.

Za chwilę będzie szósta. Ola się obudzi. Muszę być wtedy przy niej, muszę ją trzymać za rękę i przeprowadzić przez kolejny dzień. I siebie też muszę przeprowadzić.

Na stole stoją przygotowane kanapki i kubek z gorącą herbatą. Kiedy Olek

zdążył to wszystko zrobić? Jest i liścik.

Zjedz wszystko, bo będę zły. I nie połykaj zbyt dużych kawałów. Sufletów nie ma, Mati je wykończył. Kocham cię, ale wypij herbatę.

KAROLINA

Spotkały się na korytarzu. Karolina początkowo tylko ją obserwowała, wstydząc się zaczepić kogoś dużo młodszego od siebie, w żółto-białej piżamce, z łysą głową i podśpiewującego coś pod nosem.

Dziewczynka była śliczna. Miała ogromne oczy, delikatnie wykrojone usteczka i nawet brak włosów w żaden sposób jej nie szpecił. Ile mogła mieć lat? Usiadła na parapecie dużego okna i obserwowała ulicę.

Musiała być z piętra wyżej, bo tam leżały dzieci do szóstego roku życia. Ale najwyraźniej znudziło jej się i zeszła tutaj. Swoją drogą dziwne, że jeszcze nikt nie zwrócił na to uwagi. Siostry są tutaj wprawdzie miłe, ale regulamin jest dla nich równie ważny jak zjedzenie śniadania. I jak dobre wyniki. Najwyraźniej mała ma jakieś specjalne wejścia.

Podejść do niej?

Karolina skubała rękaw ciepłej bluzy, bo chociaż za oknem było dość przyjemnie, ona ostatnio ciągle marzła. Nie chciała się tu z nikim zaprzyjaźniać, bo planowała tylko tymczasowy pobyt w szpitalu. Chemia chemią, ale to przecież nie jest tak, że każdy na oddziale onkologicznym musi umrzeć. Parsknęła śmiechem.

Przecież każdy musi umrzeć. Nieważne, na jakim oddziale leży lub nie leży.

Dziewczynka odwróciła się w jej stronę i łypnęła tymi wielkimi oczami.

– Cześć – powiedziała Karolina, bo w końcu były jedynymi osobami w tej części szpitala. – Coś ciekawego za oknem? – Spytała trochę głupio, ale naprawdę nie miała innego pomysłu na zagajenie rozmowy.

– Zobacz sama. – Dziewczynka kiwnęła głową.

Parkowanie samochodu zazwyczaj było nudnym zajęciem, no chyba że ktoś posiadał czerwony samochód, miał do dyspozycji dużo miejsca, a i tak za żadne skarby nie mógł zmieścić się na trzech sąsiadujących ze sobą miejscach parkingowych. W przód i w tył, w przód i w tył. Ostre hamowanie, pisk opon. A wystarczyło tylko wziąć odrobinę większy zakręt i idealnie wjechać przodem. Koniec końców właścicielka czerwonego samochodu wysiadła z niego mocno zdenerwowana i nawet kopnęła w drzwi po stronie kierowcy. Następnie zostawiła auto, blokując dwa inne, i mówiąc coś do siebie, co zapewne było soczystym przekleństwem, ruszyła w stronę szpitalnych drzwi.

– Współczuję temu, kogokolwiek ona odwiedza – powiedziała Karolina, a dziewczynka zachichotała.

– Co ci jest?

– Neuroblastoma. Ale uparta, tak mówi mama. Bo raz już wycięli guza, ale wrócił – odpowiedziała od razu, rozumiejąc w lot pytanie. – Ja rosnę w tym szpitalu – dodała tylko trochę smutno. – Już trzy lata tu jestem. A może dłużej?

Karolina spojrzała na nią przerażona. Trzy? Jak ona to znosi?

– U mnie chłoniak. Mam nadzieję, że będzie mniej uparty i kiedy dostanie chemiczną zupę, sam się wyprowadzi – powiedziała, uśmiechając się odrobinę.

Zamilkły na chwilę.

Czy w szpitalu można rozmawiać o czymkolwiek innym? Czy tak już jest, że człowiek odruchowo pyta o chorobę, a potem wałkuje ten temat, choć przecież jest tyle innych rzeczy do omówienia. Trzeba spróbować.

– Słyszałaś kiedyś o kobietach z plemienia Mursi w Etiopii?

Dziewczynka spojrzała na nią z takim zdumieniem, że to w zasadzie wystarczyło za odpowiedź.

Karolina niczego innego się nie spodziewała, nie podejrzewała nawet, że mała mogła cokolwiek o tym wiedzieć. Ona sama czytała o kobietach Mursi w jakiejś gazecie, która leżała na dole przy recepcji. Zresztą nie o nie tu chodziło, tylko o jakikolwiek temat, który nie kojarzyłby się z chorobą.

– Otóż kobiety te nacinają sobie w młodości skórę pod dolną wargą i tam wkładają taką glinianą płytkę. A wraz z wiekiem konsekwentnie zmieniają wielkość płytek, które z czasem osiągają rozmiar całkiem sporego talerza.

Nie była pewna, czy ta historia zaciekawi dziewczynkę, ale najwyraźniej mała spragniona była rozmowy nawet o czymś tak dziwnym.

– Talerze w buzi?

Karolina skinęła głową.

– I można tam nałożyć jedzenie?

– Nie – roześmiała się. – Niestety nie, bo te talerze bardziej wiszą, niż płasko leżą, więc chyba wszystko by z nich pospadało.

– I co jeszcze? – spytała dziewczynka.

Karolina zastanowiła się.

– Jeszcze są kobiety-żyrafy, które zakładają na szyje specjalne obręcze. I ciągle dokładają kolejne. Im dłuższa szyja, tym większe uznanie w wiosce. Nie wiem, czy to ładne, ale najwyraźniej im się podoba.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Chodzę do szkoły, dużo czytam...

– I jestem bardzo niesubordynowana, bo miałam leżeć – przerwał im jakiś ostry głos.

Siostra Mieczysława. Udawała niezwykle groźną, kiedy ktoś nawalał, ale w głębi serca wybaczała wszystko i wszystkim. Byle tylko jakiemuś dziecku na tyle poprawiły się wyniki, żeby mogło wrócić do domu. Zawsze powtarzała, że za nikim tu nie tęskni i nie ma najmniejszego zamiaru spotykać kogoś po raz drugi. Chwaliła się też, że kiedy ona ma dyżur, żaden pacjent nie odważy się umrzeć. Wielu rodziców prosiło ją zatem o te dyżury, zwłaszcza wtedy, kiedy nadzieja topniała szybciej niż majowy śnieg.

– Nie mogę ciągle leżeć – zaprotestowała Karolina. – Kiedy chodzę, to przy-

najmniej czas szybciej leci. Poza tym właśnie sobie rozmawiamy, a to nas nie męczy.

– Jasne. Pamiętaj tylko, że ja się nie dam zagadać. Nawet historyjkami o kobietach z plemienia Mursi, choćby wpakowały sobie w usta całą zastawę śniadaniową.

Dziewczynka roześmiała się wesoło i podskoczyła na jednej nodze.

– A tobie, Olu, przypominam, że twój oddział znajduje się na zupełnie innym piętrze. Ja wiem, że masz złotą kartę na wszystko, ale teraz zmykaj już stąd, bo ci przyniosę na kolację piezzonego kreta.

– Faj! – wrzasnęła Karolina, a Ola okręciła się tylko wokół siebie, przytuliła do nogi siostry Mieczysławy, pocałowała ją w okolice brzucha i pomachała swojej starszej koleżance na do widzenia.

– Ty również znikaj już do siebie. Jakoś bladziej wyglądasz, choć to raczej ten nietwarzowy kolor swetra. – Siostra puściła do niej oko.

– Nietwarzowy? – obruszyła się Karolina. – To czysta mięta.

– Właśnie. – Wzruszyła ramionami siostra Mieczysława. – Miętowy pasuje do opalonych brunetek. A ty jesteś bladawą szatynką. Proponuję malinę lub ciepły odcień brzoskwini.

Karolina westchnęła tylko i, kręcąc głową, poszła do swojego pokoju.

– A ja zwracam najpierw uwagę na buty. A dopiero potem na kolor swetra. Poza tym nie lubię brzoskwiń – odkrzyknęła jeszcze.

Fajna ta Ola.

Taka iskierka.

Stop.

Nie zaprzyjaźniamy się w szpitalu. Od tego są inni ludzie, znajdujący się na zewnątrz i posiadający zdrowe oraz aktywne komórki.

Ja naprawdę nie lubię, jak ty tak nagle urywasz to nasze pisanie i nie odbierasz telefonów. Ciągle mi się wtedy wydaje, że zniknęłaś gdzieś na dłużej albo że w ogóle tylko mi się przyśniłaś. Powiedziałem mamie, że jesteś najfajniejsza na świecie, a ona trochę się obraziła. Więc poprawiłem swoją wypowiedź i zrobiłem cię najfajniejszą w kategorii wiekowej do dwudziestu lat. A powyżej wygrywa mama. Odezwij się, Rolko, bo do Ciebie przyjadę bez zapowiedzi i nie będziesz wiedziała, kiedy włożyć swoją sztuczną szczękę.

Status: nieprzeczytane.

MAGDALENA

Kołderki

– Dzisiaj wszystkie siostry są w doskonałych humorach, zauważyłaś? – pyta mnie mama, kiedy spotykamy się po południu w szpitalu. – Cały czas się do mnie uśmiechają, a nawet jakby chichoczą.

Z trudem sama powstrzymuję się od śmiechu.

– A widziałaś się może w lustrze? – pytam po chwili.

– Nie, po co? Fryzurę zrobiła mi Ola, a potem byłam zajęta kąpaniem dwóch maluchów. Ich mamy nie mogły dzisiaj przyjść, więc postanowiłam, że je wyręcę. Kubuś mnie całą ochlapał i chciał, żebym koniecznie gdzieś znalazła wannę, bo on lubi kąpiel z pianą. Domyślasz się jednak, że wanny nie udało mi się nigdzie namierzyć.

– Może na porodówce? – śmieję się.

– No tak, można w sumie spytać. A potem jeszcze musiałam przekonać Zosię, że stopy należy myć również od spodu, a nawet zwłaszcza.

– Zwłaszcza?

– Zwłaszcza jak się biega boso po korytarzu.

– Mamo, zerknij na chwilę w lustro.

Przyczyna dobrego humoru pielęgniarek, lekarzy i sióstr oddziałowych oraz niemal wszystkich dzieci wyjaśniła się dość szybko. Moja mama ma na głowie dwadzieścia kitek, sterczących na wszystkie możliwe strony. Przypomina jeżozwierza, dudka i detektywa Rutkowskiego w jednym. Na dodatek porusza się dość szybko i energicznie, co w połączeniu z jej oryginalną fryzurą przywodzi na myśl tańczącego koguta.

– Phi – mówi tylko, a ja ściskam ją z całej siły.

Ola zasnęła dzisiaj dość późno. Patrzyłyśmy na siebie, trzymałyśmy się za ręce, trochę jej pośpiewałam. Kiedy wychodziłam, za oknem było już ciemno. Na korytarzu też panował półmrok, a na ciszę zbiorową nakładały się cisze z poszczególnych sal. Słyszałam tylko swoje kroki i oddech. Zajrzałam do każdego z pokoi, nawet jeśli drzwi były zamknięte.

Zielono-białe kołderki z jakimiś stworami, zielone poduszki, białe kocyki.

Pod każdą z tych kołderek kryje się inny dramat. Są takie same, ale to, co znajduje się pod nimi, przybiera wszystkie możliwe odcienie tragedii.

Białaczka limfoblastyczna to kołderka z misiami.

Chłoniak schował się pod zielonym kocykiem.

Nerwiak zarodkowy jest w gwiazdeczki.

Retinoblastoma śpi na poduszce w kropki.

Guz Wilmsa przybrał żółty kolor piżamki.

A mięsak jest biały w niebieskie paski.

Każdy z nich ma swój kolor. Neuroblastoma Oli kojarzy mi się z zielenią, może to i dobrze, w końcu to kolor wiosny, siły, nowego życia. Jest coś pozytywnego w tym oddziale, choć tak często kojarzy się on ze śmiercią i strachem. Kiedy jesteś w szpitalu dla dorosłych, większość pacjentów to tak naprawdę przypadki.

Słyszałam kiedyś o wrodzonej nieczułości na ból. Zacinasz się kuchennym nożem i w ogóle nie czujesz bólu. Rzadki przypadek, ale się zdarza. O, albo trichotillomania. Jeszcze rzadsza przypadłość, występująca tylko u jednego procenta populacji. Podobno ludzie dotknięci tym schorzeniem wyrrywają sobie włosy. Ale są też zwykłe przypadki.

Przypadek zatrucia grzybami. Przypadek ostrego zapalenia wyrostka robaczkowego.

Jeden leży pod trójką, drugi pod siódemką.

Lekarze rzadko kiedy patrzą im w oczy dłużej niż przez kilka sekund. Interesuje ich bardziej przyczyna, diagnoza, rodzaj leczenia, które zastosują, i wreszcie miejsce w statystykach szpitalnych. Przypadki medyczne, mniej lub bardziej ciekawe. Nawet im się nie dziwię. Nie można przenikać do świata pacjenta bardziej, niż jest to konieczne. Nikt nie ma na to ani czasu, ani siły, nie tak jak w serialowych szpitalach, gdzie wszyscy się kochają i wysyłają do siebie kartki na święta.

Ale oddział, na którym leży Ola, jest inny. Siostry znają imiona dzieci, wiedzą nawet, że siedmioletnia Maja nie lubi parasolek, a wszystko przez Mary Poppins, która, ot tak, po prostu, odleciała któregoś dnia w nieznaną. Z kolei pięcioletni Adaś chciałby kiedyś spróbować peklowanej golonki, bo usłyszał w tramwaju, jak dwie starsze panie z apetytem opisywały jej soczystość i smak. A Karol wierzy, że kiedyś spotka prawdziwego dinozaura.

To nie są przypadki. Ani statystyki.

To poszczególne dramaty, skrojone z komórek rakowych, niedobrych, złośliwych, ale nieanonimowych. Chyba mi lepiej ze świadomością, że te dzieci, a więc i moja Ola, nie są tu nikomu obojętne.

I że każda śmierć wywołuje prawdziwe łzy.

Patrzę na nią, na każdy centymetr kwadratowy jej ciała i próbuję przypomnieć sobie, jak to było przed rakiem. Próbuję przypomnieć sobie momenty, w których powinnam była coś zauważyć. To samokatowanie się, wiem, biczowanie myślami, które w niczym mi nie pomoże. Nie da się cofnąć czasu, zakłąć rzeczywistości, odwrócić biegu rzeki. Otulam ją ciaśniej kołdrą, żeby nie zmarzła. Jest tak wychudzona, że szybko robi jej się zimno. A potem wychodzę na korytarz i cicho zamykam za sobą drzwi.

– Będzie dobrze – mówi do mnie jakaś kobieta.

Nie wiem, czy chcę to słyszeć. Chyba mam alergię na „będzie dobrze”, wstręt do słów „głowa do góry” oraz awersję na poklepywanie po ramieniu. Ciekaw-

we, co powiedziałaaby taka kobieta, gdyby się okazało, że jednak nie jest dobrze. I już nigdy nie będzie. Słowa trzeba wymawiać z rozwagą, dwadzieścia razy się zastanowić, zanim powie się coś, co bardziej boli, niż podnosi na duchu.

Czy jestem niesprawiedliwa?

Może. Ale to pewnie dlatego, że składam się z kawałków strachu, paniki i rozdrażnienia. Nie odbieram świata zwyczajnie. Odbieram go poprzez Olę, na zasadzie przewodnictwa elektrycznego. Współodczuwam.

Nie odpowiadam więc tej kobiecie, tylko kiwam pielęgniarkom na do widzenia i jadę do domu. Muszę przytulić się do synka. I do męża. Naładować się ich ciepłem i energią, którą znowu oddam jutro tym szpitalnym murom.

KAROLINA

Właściwie trudno powiedzieć, co tak naprawdę spowodowało, że zaczęła myśleć o Wiktorze bez złości. I kiedy to się stało? Teoretycznie powinna wylać na niego całą żółć, którą w sobie zgromadziła, a jednak ten młodszy o parę lat gówniarz wywoływał w niej niemal od początku przyjazne uczucia, choć sama się przed tym broniła. I nawet kiedy próbowała wmówić sobie, że jest inaczej, to jednak ucisk w żołądku na samą myśl o Wiktorcu wcale nie należał do nieprzyjemnych.

Dziwne.

Miał przecież jej tatę, miał obcą mamę, która nie była jej mamą, i miał rodzinę kosztem jej własnej. To kwalifikowało go do ostrzału, a już na pewno do skreślenia z listy osób, z którymi chciała utrzymywać kontakt. A jednak nie potrafiła. Rozczulał ją? Nie, to bez sensu. Długo odwlekała ich pierwsze spotkanie. Jakby bała się, że to, co po nim nastąpi, będzie już nieodwracalne. Do tej pory ciągle jeszcze mogła się schować za słowami, nacisnąć klawisz „wyślij” lub „kasuj”, wyłączyć komórkę, co dawało jej pewne poczucie przewagi. Wiedziała jednak, że spotkanie zmieni wszystko, a pokrewieństwa między nimi nie da się już tak łatwo wykasować. Czy będzie o niego jakoś zazdrosna?

Swoją drogą nawet między „normalnym” rodzeństwem często dochodzi do rywalizacji, a co dopiero pomiędzy takim przyrodnim. I to na siłę wciśniętym w sam środek okresu dojrzewania. Karolina do dziś pamięta artykuł w kolorowej prasie (którą kupowała ukradkiem, bo przecież teksty o miłości i znanych aktorach czytają tylko durne pipy) o Kylie i Dannii Minogue – dwóch uroczych śpiewających siostrzyczkach. Kiedy Kylie odnosiła sukcesy, młodsza siostra postanowiła pójść w jej ślady. W mediach pojawiały się plotki o ich wzajemnej zazdrości i niewybrednych obelgach, którymi zwykły się obrzucać. Dzisiaj o Dannii nikt nie słyszy, a Kylie jest ciągle na samym szczycie. Pytana o siostrę zapewnia, że to jej najlepsza przyjaciółka. Być może dlatego, że już jej w niczym nie zagraża. Z kolei Julia Roberts była najmłodsza w rodzinie. Starsze rodzeństwo – Lisa i Eric – również są aktorami, choć o Lisie niewielu słyszało. Kiedy Julia podrosła, próbowała dorównać rodzeństwu i... przeskoczyła oboje. W układzie Karolina – Wiktor też z pewnością dojdzie, prędzej czy później, do jakiejś rywalizacji, chociażby o względy tatusia, którego na razie ona ma w dupie, ale nigdy nie wiadomo, jak potoczy się życie. Przecież nie będzie biła się z gówniarzem!

Z drugiej jednak strony... To chyba fajnie mieć brata. Tak dobrze im się ze sobą rozmawiało. Zupełnie jakby znali się od lat. Jakby nie było między nimi żadnych różnic ani wiekowych, ani płci, ani tych związanych z ulubioną muzyką. Jakby nic ich nie dzieliło, nawet ojciec, którego ona miała prawo nienawidzić, a Wiktor... No cóż, jemu chyba tatuś nic złego nie zrobił...

Do tej pory była jedynaczką i chociaż czasem dobrze jest nie musieć się niczym dzielić, to jednak innym razem fajnie byłoby z kimś pogadać, z kimś, kto nie jest jeszcze dorosły i patrzy na świat z niższej perspektywy. Nie ocenia, nie strofuje, nie rozważa za i przeciw, tylko całą swoją młodzieńczą spontanicznością podejmuje życiowe decyzje. Takie jak choćby zakup ciut za dużego stanika. Czy zjedzenie tabliczki czekolady przed obiadem. Czy jakiegokolwiek dziecko uznałoby to za niezdrowe? Nierozsądne? Nieodpowiedzialne i bezmyślne? Nawet nie wpadłoby na taką ilość synonimów, w przeciwieństwie do rodziców, którzy taką próbę zakończyliby wykładem o galopującej próchnicy oraz ataku kandydozy.

W pokoju sióstr stał komputer, z którego wolno było czasem korzystać w sytuacjach innych niż bardzo ważne. Zresztą to było ważne, tylko że z innej perspektywy. Nastoletniej.

– Muszę wysłać e-mail – powiedziała Karolina, pukając nieśmiało i zahaczając o wzrok nowej pielęgniarki. Nie знаła jej jeszcze zbyt dobrze, ale słyszała, że robi bezbolesne wkłucia.

Warto mieć wtyki u kogoś takiego.

– To ważne – dodała jeszcze, ale pielęgniarka już się zgodziła.

– Tylko pozamykaj potem wszystkie okna w komputerze, bo ostatnio nie mogliśmy dojść do ładu ze stronami o jednoroźcach, samochodach wyścigowych oraz jakiś dziwnych butach *peep toes*.

Peep toes?

Karolina uniosła brwi ze zdumienia. Lubiła fajne buty, ale o takich jeszcze nie słyszała.

– Ja tylko wiadomość...

– Nie ma sprawy. Ale potem kładź się, jest już późno.

Usiadła na obrotowym krześle i zalogowała się do skrzynki pocztowej.

Napisać? Powiedzieć mu prawdę?

Nie, to jeszcze za wcześnie. Poza tym ludzie różnie reagują na wiadomość o raku. Jedni od razu płaczą, inni odsuwają się, jakby w obawie przed zarażeniem, jeszcze inni w ogóle nie wiedzą, jak się zachować. A przecież wystarczy być normalnym i nawet coś razem planować. Tak, planować, a nie zastanawiać się, czy w ogóle warto...

Czy twój (i mój niestety też) ojciec już wie, że my...? Że się odnaleźliśmy? Co do naszego kolejnego spotkania, to może umówmy się po wakacjach, bo przez lipiec i sierpień będę zajęta, a teraz też mam dużo roboty w szkole. Testy, sprawdziany i odpytywania niemal z każdego przedmiotu. Kiedy to się skończy?

Nie wiem, czy uda nam się częściej widywać, bo jednak dzieli nas odległość prawie dwustu kilometrów, a zanim oboje zrobimy prawo jazdy, trochę czasu minie. Nie ukrywam jednak, że całkiem dobrze mi się z Tobą pisze, więc w razie czego pozostaniemy po prostu w kontakcie listownym. Pozdrów mamę ode mnie, wpraw-

dzie jeszcze się nie poznałyśmy, ale coś czuję, że musi być fajną osobą.

I nie martw się, że czasem tak długo czekasz na odpowiedź. Ja nie znikam, po prostu mam strasznie dużo nauki.

A tak w ogóle, to słyszałeś kiedykolwiek o butach „peep toes”?

Poszło. Zapatrzyła się w ekran monitora i gdyby nie pielęgniarka od bezbolesnego wkłucia, pewnie by przed nim zasnęła.

– Dziecino, zmykaj już do łóżka! Bo potem nam się oberwie, że wyniki słabe, że płytek za mało, a pacjent niewyraźny jak zajac przed Wielkanocą.

– Dlaczego niewyraźny? – Karolina zdziwiła się szczerze. – Zajac i Wielkanoc to chyba zgrany duet, przynajmniej w tradycyjnym ujęciu.

– Zależy od tego, czy ma przynieść słodczyce, czy sam zamienić się w pasztet.

Poszła w końcu i chyba nawet nie zauważyła, kiedy sen zaczął ją otulać i pociągnął za sobą na poduszkę. Śniło jej się, że wpadła do wielkiego szklanego terrarium. Wołała coś, ale nikt jej nie słyszał. Inni ludzie byli wprawdzie na wyciągnięcie ręki, ale w ogóle nie zwracali na nią uwagi. Usiadła pośrodku szklanej klatki i popatrzyła na nich. Śmiali się, spacerowali, rozmawiali ze sobą. Nie rozglądali się na boki, bo byli całkowicie pochłonięci sobą. Nie interesowała ich dziewczyna w miętowym nietwarzowym swetrze, choć przecież było ją bardzo dobrze widać.

Czy rzeczywiście?

Jestem przezroczysta – pomyślała we śnie Karolina i zrobiło jej się okropnie zimno. Przez sen owinęła się ciasno kołdrą i schowała głowę pod poduszkę. Podkurczyła nogi i zacisnęła pięści.

Spróbuję raz jeszcze... Wstała i uderzyła pięścią w szklaną szybę, która nawet nie zadrżała. Ludzie nadal byli tuż obok, a jednak nieosiągalni. Z wyjątkiem pewnej małej osoby, która nagle odwróciła się do niej i pomachała ręką. Karolina podskoczyła z radości.

Ktoś ją zobaczył! Ktoś ją widzi i odpowiada. Zmrużyła oczy i przyłożyła do nich rękę, bo słońce odrobinę ją raziło.

Wiktor.

Pod drugiej stronie szkła stał jej brat (pół) i szczerzył się od ucha do ucha, zupełnie jak na zdjęciu, które jej wysłał.

Rano obudziła się z gorączką.

MAGDALENA

Matki

Podobno na świecie jest ponad sto pięćdziesiąt gatunków motyli i aż czterysta pięćdziesiąt tysięcy gatunków chrząszczy. Ale nikt nie policzył, ile jest rodzajów matek warujących przy łóżkach swoich chorych dzieci. Początkowo myślałam, że wszystkie jesteśmy takie same. Ale to nieprawda. Każda z nas jest inna, wyjątkowa, a łączy nas strach i walka.

Chyba jestem na tym etapie, że spróbuję je poznać.

Matki.

Dzieci w łóżeczkach, a one na ziemi. Na karimatach. Niektóre śmieją się, że to ich najlepszy hotel z piętrowym łóżkiem oraz ze śniadaniem do łóżka. Kiedy maluchy budzą się rano, one już dawno mają starte z twarzy wszelkie smutki i przygotowują się do kolejnego dnia. Krzątają się wokół tych łóżeczek jak po własnych mieszkaniach, jakby nie obchodziło ich, że to tylko parę metrów kwadratowych, które muszą dzielić z kimś innym.

– Nie wraca pani na noc do domu? – spytałam kiedyś jedną z kobiet, która tak sprawnie zwijała karimatę i w ciągu niecałej minuty pakowała wszystko do plastikowych toreb, jakby wykonywała te czynności od lat. A potem wskoczyła w szary dres i byle jak związała włosy gumką. Gotowa.

Wzruszyła ramionami.

– Nie stać mnie. Mieszkam osiemdziesiąt kilometrów stąd. Wyobraża sobie pani codzienne dojazdy pociągiem? Wracam tylko na weekendy.

– No tak, musi pani kiedyś odpocząć.

Roześmiała się.

– Gotuję, piorę, sprzątam i ustawiam cały dom, żeby starczyło na kolejny tydzień. Odrabiam nawet hurtowo lekcje ze starszymi dziećmi i przepytuję je w miarę możliwości. Najtrudniej jest wtedy nie zasnąć, ale jakoś muszę dawać radę. A tym razem udało mi się nawet upiec kokosanki, to taki mój smak dzieciństwa. – Wyciągnęła rękę z puszką ciastek.

Pyszne! Naprawdę były pyszne. Z kawałkami suszonego mango.

– W zasadzie to tu bardziej odpoczywam, bo przecież tylko siedzę przy małym. – Wskazała brodą na zwiniętego w kłębek pięciolatka.

Białaczka szpikowa. Chwilowo zdławiona chemią i przyduszona wielkim puszystym króliczkiem, którego chłopiec kurczowo trzymał przy sobie.

– Jestem Magda. – Wyciągnęłam rękę.

– Kaśka. Albo Mama. My często mówimy tu do siebie po prostu „mamo”. – Mrugnęła i zaczęła upychać karimatę do wąskiej szafki.

Mnie siostra Lila wyganiała do domu.

– Idź w końcu i odpocznij. Ola wie, że posiedzisz tak długo, dopóki nie zaśniesz. A kiedy otworzy oczy, znowu przy niej będziesz.

Poczułam się przez moment zawstydzona tym komfortem. Spałam w swoim łóżku, mogłam się normalnie wykąpać. A przecież część tych kobiet kombinowała, jak się umyć w szpitalnych łazienkach, jak doprowadzić do ładu włosy, zadbać choć minimalnie o samą siebie.

Ja miałam do pomocy dwie babcie, dziadków i męża, który dawał z siebie wszystko, żeby mnie tylko odciążyć. Zaakceptował nawet fakt, że Ola początkowo domagała się tylko mnie. Nie chciała, żeby ktokolwiek inny się nią zajmował, kąpał, kładł do snu. Mama.

Zawsze mama.

I Olek to rozumiał. Gotowy w każdej chwili, żeby pomóc, wiedział, że na razie Ola potrzebuje przede wszystkim mnie. Nie obrażał się, nie próbował siłą przekonać do siebie. Ale był. Przez cały ten czas.

Kiedy twoje ciało domaga się natychmiastowej regeneracji, zafunduj sobie weekendową odnowę biologiczną. W ciągu dwóch dni naładujesz baterie, zrelaksujesz się i dasz chwilę oddechu przepracowanemu organizmowi. Wybór jest ogromny – od kamiennych masaży poprzez czekoladową kąpiel czy też poziomkowe okłady.

Tak napisano w babskiej gazecie. Roześmiałam się. Wybór szpitalnego SPA jest zdecydowanie bardziej skromny. Włosy umyte byle jak w umywalce, paznokcie raczej obgryzione niż obcięte, poszarzała cera, w którą czasem wklepuje się dziecięcą oliwkę. To nie są zadbane kobiety. Ani piękne. Ale kiedy patrzą na swoje maluchy owinięte szpitalną kołdrą i podłączone do kroplówek, miłość zmienia im twarze w najpiękniejsze, jakie widziałam.

I kiedy całują miejsca po wkłuciach.

I kiedy wymyślają na poczekaniu bajki ze szczęśliwym zakończeniem.

Czasem miewam gorsze dni. Wtedy siostry patrzą na mnie i mówią:

– Mama, ty idź stąd i popłacz w spokoju, w samotności. Powyj w poduszkę, nawet ją pogryź, jak musisz. Nałykaj się też świeżego powietrza. To może potrwać miesiące, lata. Musisz mieć równoległe życie. Musisz dać upust emocjom. A przy dziecku nie wolno.

Te siostry, kiedy tylko widziały, że przychodzę do szpitala w kiepskim humorze, że łzy same wypływają mi z oczu, natychmiast podchodziły do mnie i stanowczo brały za rękę.

– Tak na oko, to potrzebujesz jeszcze jakąś godzinę. Ja pójdę do Oli i z nią posiedzę. Dziecko nie może widzieć, że rodzic jest załamany – mówiła siostra Lila i odganiała mnie jak natrętną muchę.

Wiem, co miała na myśli. Ola żyła w dwóch światach – tym szpitalnym, ale z mamą, i tym drugim, który pamiętała dość słabo. Gdzieś tam był jej dom. Ale

to ja bylam najwazniejsza. I dopoki nie widziala mnie placzacej, wszystko toczylo sie normalnym torem.

– Wiesz, co sie dzieje, kiedy mama placzec? – pytaly siostry. Dziecko pyta „Dlaczego? Przeze mnie? Czy dzieje sie cos zlego? Co jest? Mam zle wyniki?”. Ty jesteś smutna i ono to widzi. Pamietaj. Dziecko chore na raka szybciej dorasta i wszystko rozumie.

Matki w szpitalach onkologicznych placzac tylko wtedy, gdy nikt ich nie widzi. Albo mowiac, ze to jakaś alergia. A potem, z usmiechem na ustach, wchodzac do szpitalnych sal i pytaja:

– Co dzisiaj mamy? Jedna czwarta ampułki neupogenu? Nystatyna czy raczej izotretynoina?

A podobno znamy sie wyłacznie na płynach do prania i pieczeniu biszkoptu.

KAROLINA

Chemia.

Cyklofosfamid

Doksorubicyna

Winkrystyna

Prednizolon

– To wszystko dla mnie? – Karolina udawała, że jest zachwycona.

Doktor Lucyna uśmiechnęła się do niej i raz jeszcze wszystko dokładnie wyjaśniła.

– Wyniki krwi masz dużo lepsze niż ostatnio i nawet nabrałaś rumieńców. Jesteś silna, dasz radę. Ale parę rzeczy muszę ci jeszcze uświadomić.

– Mama mnie już uświadomiła, wiem, skąd się biorą dzieci.

Doktor Lucyna roześmiała się.

– Dobrze, to ja w takim razie będę tą, która uświadomi ci chemicznie. Zaraz przyjdzie pielęgniarka i wprowadzi ci do żyły na grzbiecie dłoni albo w zgięciu łokcia cienką plastikową rurkę. Zobaczymy, gdzie uda nam się łatwiej wkuć.

– Będzie bolało?

– To trochę nieprzyjemne uczucie, ale wierz mi, u dentysty boli bardziej. Poza tym to siostra Basia. Jest nowa, ale wkłuwa się naprawdę idealnie.

To ta, która pozwoliła jej napisać wtedy e-mail!

– To wytrzymam – powiedziałam twardo.

– Dostaniesz też w kroplówce leki przeciwwymiotne, ale i tak może się zdarzyć, że...

– Rzygnę.

– Dokładnie. – Doktor Lucyna przytaknęła. – Chemioterapię skojarzoną CHOP zazwyczaj podajemy jako wlewy dożylny z kroplówki oraz wstrzykiwania do przewodu kroplówki. Kolejność jest następująca – doksorubicyna, czyli czerwony płyn, potem winkrystyna, bezbarwny płyn, oraz cyklofosfamid, znowu bezbarwny płyn. Prednizolon dostaniesz w tabletkach, które będziesz przyjmować przez pięć kolejnych dni.

– Muszę tu zostać?

– Nie. Ale wolałabym, żebyś po pierwszej chemii została u nas na noc. Mam dzisiaj dyżur, chętnie do ciebie zajrzę. To jak? Gotowa?

Karolina skinęła głową i machnęła ręką na siostrę Basię.

– Chciałabym powiedzieć „kacie, czyń swoją powinność”, ale to mogłoby zabrzmieć niegrzecznie. Więc może niech pani po prostu się wkłuwa. Chcę wreszcie zobaczyć te wszystkie kolorowe płyny, które zaczną tańczyć w moim ciele – powiedziała jeszcze i zamknęła oczy.

Kilka godzin później wiedziała już, że nie chce żadnych dwóch niezależnych

światów. Chciała zobaczyć mamę i Wiktora. Chciała, żeby był przy niej, opowiadał o buldogach francuskich, o chomikach, o Australii, o kangurach i swojej mamie. O ojcu nie musiał, nawet po chemii nie czuła żadnej potrzeby, żeby zapraszać go do swojego świata. Bolała ją szyja, kręgosłup, nawet zęby. Było jej zimno i potwornie niedobrze. O swoim chłoniaku myślała Świniak. I wyobrażała go sobie jako wielkie tłuste prosię, które dorwało się do koryta. Tyle że w korycie podano chemię, od której Świniak poczuł się znacznie gorzej.

– Mam nadzieję, że twoja zachłanność cię zgubi. To nie była czekolada ani nawet zwykłe ziemniaki. To coś, od czego przestaniesz tak wrednie chrumkać.

Nad ranem organizm nieco się uspokoił, ale i tak czuła się dziwnie. Jakby w jej ciało coś weszło i bez pytania bawiło się organami. Podrzucało wątrobę, wykręcało jelita, drapało od wewnątrz w skórę. Świniak dostał szału.

– To normalne – uspokoiła ją pielęgniarka. – To tak, jakby ktoś nagle wtargnął do twojego środka i narobił niezłego bałaganu. Poprzestawiał organy, pozamieniał ich położenie – powiedziała dokładnie to, co Karolina już sama zdążyła odczuć. – Ale po jakimś czasie wszystko wróci do normy.

– A włosy?

– Mogą zacząć wypadać za jakieś dwa tygodnie.

– Jest szansa, że je ocalę?

– Jest. Ludzie różnie reagują na chemię. Ale włosy... One najszybciej się poddają.

Kiedy po Karolinę przyjechała mama, było już znacznie lepiej. Ciszej, spokojniej. Ciągle bolała ją głowa, ale mogła już sama wstać, ubrać się i pojechać z mamą do domu.

Po siedemnastu dniach sama ogoliła sobie głowę, bo nie było sensu udawać, że włosy nadal się na niej trzymają. Wychodziły garściami, nawet kiedy ich nie czesała. Dobrze, że nie musiała już chodzić do szkoły. Nauczyciele zgodnie uznali, że wszystkie przedmioty zaliczyła i ma się zająć wyłącznie własnym zdrowiem. Tylko pani od polskiego poleciła jej dużo czytać.

„Czytanie wypłukuje z głowy głupie myśli” – przekazała jej przez mamę.

Nie było już chyba sensu udawać, że nie chce nikomu mówić o tym, co ją męczy. Wiktor miał wprawdzie należeć do innego świata, ale zdecydowanie wołała go w tym. Zupełnie jakby dziesięcioletek mógł jej jakkolwiek pomóc.

A jednak.

Ten sen, w którym siedziała w szklanej klatce, był czymś więcej niż tylko grą wyobraźni. Widziała w nim bardzo dokładnie Wiktora i tak naprawdę tylko jego, bo cała reszta nawet na nią nie spojrzała.

Poinformowanie go było jednak dość trudne, bo zupełnie nie wiedziała, jak to powiedzieć.

– Cześć, brat, w przerwie między kanapką z tuńczykiem, który ostatnio bar-

dzo mi zasmakował, a popijaniem zielonej herbaty, której smak z kolei uważam za mocno przereklamowany, chciałam donieść, że mam chłoniaka. Mówiąc otwartym tekstem, jest to nowotwór złośliwy, a sama choroba śmiertelna. Co nie znaczy, że umieram już teraz. Myślę, że możemy śmiało pojechać razem na wakacje.

I tak właśnie zrobiła. Powiedziała od razu, niemal na jednym oddechu. Przez telefon. A potem upiła łyk tej zielonej, mocno przereklamowanej herbaty i zamknęła oczy, próbując sobie wyobrazić, jak przyjął to jej brat. Półbrat.

– Ale dlaczego? Dlaczego? – Karolina pomyślała, że to pytanie zadają sobie wszyscy chorzy i ich rodziny.

No bo faktycznie, dlaczego ta właśnie konkretna osoba? Co to za rozdawanie guzów w prezencie, bez żadnego uprzedzenia lub ewentualnego pytania, czy ktoś przyjmuje podarunek? Dlaczego z rakiem nie może być tak jak ze spadkiem?

Nie, dziękuję, nie przyjmuję.

Zero podatku, zero stresu, że ktoś miał długi.

– Nie wiem, młody, dlaczego, najwyraźniej wyciągnęłam głównianą zapalkę.

– I co teraz?

– Na razie spokojnie. Dostałam już jedną chemię i...

– Słucham? – przerwał jej niemal natychmiast.

No tak, teraz się zaczniesz.

– Nie powiedziałam ci wcześniej, bo po pierwsze, nie wiedziałam jak, a po drugie, chciałam się z tym zmierzyć sama. Pomyślałam, że szybko to załatwię i potem będę mówić o tym tylko w czasie przeszłym. Poza tym to dopiero co zobaczyliśmy się po raz pierwszy na żywo, miałam od razu poszczuć cię rakiem?

Wiktor milczał przez chwilę, a potem cicho spytał:

– Rozumiem jednak, że na razie twoja choroba to ciągle czas terażniejszy?

Karolina wypuściła ze świstem powietrze.

– W zasadzie to tak pół na pół. Rokowania są dobre, moja lekarka zadowolona, ale powiedziała mi, że jeszcze ciut za wcześnie na szampana. Ale być może dlatego, że nie jestem pełnoletnia?

Uff, na chwilę się roześmiał.

– Mogę cię odwiedzić?

– Jasne. Jestem w domu, kolejna chemia dopiero za jakiś czas. A może nie. Bo coś czuję, że będzie dobrze. Naprawdę.

– Rolka...

– Chcesz pewnie spytać o włosy?

Nie odpowiedział.

– No cóż, mój drogi, wypadanie włosów dostaje się zazwyczaj w pakiecie wraz z zestawem CHOP.

– Co to?

– Taka kombinacja leków. Winkrystyna, doksorubicyna, cyklofosfamid oraz

prednizolon. To ostatnie to steryd. Potwornie chce ci się po nim zreć.

– Brzmi magicznie.

Roześmiała się.

– Magicznie? Za dużo *Harry'ego Pottera*, mój drogi.

Gwałtownie zaprotestował.

– Mam innego idola. Pana Norrella. To dzięki niemu i jego przyjacielowi Jonathanowi Strange'owi dziewiętnastowieczna Anglia stała się znowu krainą tajemnej sztuki.

To powiedział dziesięciolatek? Serio? Karolina była naprawdę pod dużym wrażeniem.

– Znasz się na tajemnych sztukach?

– Trochę tak. A one przecież mogą pomóc. A już na pewno nie zaszkodzą.

To fakt. Karolina nie była przesądna, a wszelkie historie związane z czarnym kotem, czarną wołgą i czarną zakonnica zawsze traktowała z przymrużeniem oka. Ale kto wie? Może chłoniak zaatakowany nie tylko zestawem CHOP, ale również odrobiną magii z dziewiętnastowiecznej Anglii, nie będzie miał większych szans na dalsze dyktowanie warunków. Swoją drogą fajne książki czyta jej brat (pół), jak na dziesięciolatek. Nigdy nie słyszała o panu Norrellu, ale brzmiało to zdecydowanie bardziej poważnie niż quidditch czy dokarmianie mandragor. Kiedy jest się chorym, człowiek jest jak plaster miodu, przyciąga wszystkie możliwe sposoby na pozbycie się tego, co niepotrzebne. Szuka wśród najciemniejszych uliczek, nawet tych najbardziej niebezpiecznych i cuchnących. Wśród lekarstw niesprawdzonych i kuracji alternatywnych. Dlaczego więc nie sięgnąć po magię?

– Rolka?

– Jezu, jeszcze tam jesteś?

– Chciałem tylko powiedzieć, że *peep toes* to buty z odsłoniętymi palcami, z wycięciem w kształcie łezki. Spytałem mamę, mówi, że obecnie są najmodniejsze.

Wiktor przyjechał dwa dni później, a w zasadzie przywiozła go mama. Ojcu na razie nadal nic nie powiedział, tak jak prosiła Karolina. Zresztą podobno znowu gdzieś wyjechał.

– W zasadzie nie gdzieś, tylko do Australii. Nie będę ci opowiadał wszystkiego ze szczegółami, bo mnie samego to mocno nudzi, ale wychodzi na to, że jego partner kompletnie sobie nie radzi i dlatego ojciec musi tam jeździć i wszystko sprawdzać. I dopiero jak ten kumpel całość ogarnie, to ojciec ze spokojem zajmie się swoim nowym pomysłem w Polsce. Co jest znacznie trudniejsze niż tam.

– Serio?

– W Australii dość łatwo jest założyć własny biznes. To kraj, który ciągle się rozwija i ogólnie stawia na gospodarkę. No i lubi ludzi z pomysłami. Wiem to wszystko ze szkoły, bo Australijczycy są z tego niezwykle dumni. To dlatego oj-

ciec wtedy wyjechał. Bo miał szansę na zarobienie dużej forsy.

– A co to właściwie za biznes?

– Ojciec chce wprowadzić do Polski australijską sieć franczyzową. Do tego są mu potrzebne pieniądze, które tam zarobił i nadal dostaje jakiś procent od tego swojego partnera. No, ale jeśli on nawali, to z kasy nici, więc ojca ciągle nie ma. Chyba za szybko stamtąd wyjechaliśmy.

„Chyba nie” – pomyślała Karolina.

– A w Australii czym się zajmował?

– Miał firmę produkującą jakieś systemy antywłamaniowe i zabezpieczenia do samochodów. Od kilku lat te produkty są też dostępne w Polsce, właśnie dzięki ojcu. Ale teraz interesuje go jeszcze coś innego, a dokładnie sieć myjni eco wash, w których czyści się auta bez użycia wody. No, to teraz wiesz już prawie wszystko. Generalnie ojca ciągle nie ma, ale za to jesteś ty.

Uśmiechnęła się do słuchawki.

– Naprawdę chcesz mnie odwiedzić?

– Jestem za dwa dni.

Kiedy otworzyła drzwi, na moment całkowicie odjęło jej mowę.

Wiktor był łysy. Po jego cudownych, ciemnych lokach zostało tylko wspomnienie, a on sam z dumą pogłaskał się po łysej głowie.

– Teraz to już nikt nie powie, że nie jesteśmy rodzeństwem!

Karolina postanowiła, że nie ulegnie nadmiernemu wzruszeniu i nie będzie płakać. Ale co innego jest postanowić, a co innego zatrzymać cisnące się do oczu łzy, których kanaliki łzowe nie nadążały odprowadzać.

Dwie godziny później siedzieli w jej pokoju, przegryzali rozmowę jabłkiem i opracowywali wspólny plan walki ze Świniakiem. Chyba nawet cieszyła się, że mamy nie było w domu. Miała wrócić późnym wieczorem.

– Naprawdę mogę iść na te urodziny? – spytała chyba z osiemnaście razy.

– Mamo, jedź. Jestem w domu, w razie czego będę dzwonić.

Nie powiedziała, że odwiedzi ją Wiktor. Jeszcze nie teraz. Z kolei jego mama obiecała, że go przywiezie i poczeka w jakiejś kawiarni.

To bardzo dobrze.

Jeszcze trochę za wcześnie, żeby wszystkich poznawać i lepić z nich nowy model rodziny. Na wszystko musi przyjść czas, nawet jeśli Karolina może mieć go ciut mniej, niż myśli.

– Czy w twojej książce czary przywracają kogoś do życia? – zaciekała się teraz, zerkając na swojego łysego brata (już nie pół).

Wiktor przytaknął.

– Jest dżentelmen o włosach jak puch ostu. To taki elf.

– Jak we *Władcy Pierścieni*?

– No właśnie zupełnie inny. Złośliwy i zaborczy, i myślący tylko o sobie.

Ale potrafi przywołać do życia kogoś zmarłego.

Karolina wzdrygnęła się.

– Na szczęście ja jeszcze żyję.

– Więc to musi być znacznie prostsze. W książce przyszła pani Pole umiera, a nie powinna, bo jej ślub z panem Pole miał go uratować od bankructwa.

– Rozumiem, że pan Pole zrobił wszystko, aby ją odzyskać.

– Dokładnie. Pozwolił, żeby pan Norrell wyrwał ją z zaświatów, choćby to miało być bardzo niebezpieczne.

Karolina podkuiliła nogi i narzuciła na ramiona koc. Z jednej strony wszystko, co mówił Wiktor, brzmiało dość dziecinnie, choć opowiadał o tym z niezwykłą pasją, z drugiej – niesamowicie podtrzymywało ją na duchu. Poza tym historia pana Norrella, nawet jeśli był on tylko postacią książkową, jakoś bardziej ją przekonywała niż latający na miotle Harry Potter. Nie, żeby go nie lubiła. Po prostu nie bardzo pasowało do niego likwidowanie chłoniaków. Glejaków. Białaczek. I innych skurwysynów. Pan Norrell podobno był wredny, zły i dość paskudny. Mógł pójść na układ z diabłem i wygrać ze śmiercią partyjkę szachów.

– Abrakadabra – szepnęła pod nosem.

Wiktor spojrzał na nią z ukosa.

– Wiesz, takich zaklęć tam nie ma, ale te, które umie rzucać pan Norrell, są naprawdę mocne. Mogą na przykład sprawić, że zobaczysz umarłych takimi, jakimi byli w dniu śmierci.

– Okropne.

– Trochę tak. Taki wisielec na przykład. Siny już lekko.

– Ale słowo „abrakadabra” też jest niezwykle mocne – powiedziała stanowczo Karolina.

– E, to chyba zwykłe zaklęcie, byle jaki czarodziej potrafi się nim posługiwać.

– To posłuchaj. Ab... – Karolina zawiesiła głos, by po chwili powiedzieć wyraźnie i głośno: – ...rak... – I wreszcie dokończyć: – ...adabra.

Wiktor wpatrywał się w nią ze zdumieniem, a potem klepnął się w czoło.

– No tak! Masz absolutną rację. Rak schował się w zaklęciu i przez to wydaje mu się, że jest niewidzialny! Ale ty go znalazłaś. – Aż podskoczył z radości.

Kiwnęła głową i po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła, że jest szczęśliwa, a ze świata da się jeszcze co nieco wycisnąć.

MAGDALENA

Chemia. Dziesiąta? Czternasta?

Kiedy czasem coś się nie układa, zawsze myślisz sobie, że gdzieś na świecie istnieją ludzie, którzy mają gorzej. A teraz sama jestem w takiej sytuacji, że nie bardzo jest jakieś „gorzej”. Nie mam się do czego odwołać. Sama nie mam się jak pocieszyć.

– Masz – mówi Olek. – Nasza dziewczynka walczy. Kiedy tylko może, uśmiecha się. Kiedy tylko może, tańczy. A gdzieś tam są dzieci, które już nigdy się nie uśmiechną.

Szukam maleńkich chwil szczęścia w tym zwoju kabli, kroplówek, leków i zastrzyków. Przypominam sobie Olę, która zajadała się pastą do zębów.

– Smakuje jak pieczony kurczak!

Pasta była miętowa, ale po dwóch tygodniach jedzenia samych wodnistych lodów, wszystko jej smakowało. Podziurawione przez chemię jelita nie przyjmowały niczego oprócz lodów. No i pasty do zębów.

Ciągle się jednak boję.

Ola przelewa mi się przez ręce, zupełnie jakby była szmacianą lalką, z której ktoś wyjął resztki waty. Dzisiejszy wtorek jest jakiś milczący, choć kapie deszczem. A może to ja niewiele już słyszę?

Znowu igła, wkłucie i zestaw walczący z nowotworem. Płyn rozlewający się po całym ciele, docierający w punkt, tam gdzie siedzi zagnieżdżony rak. Trzymający się kurczowo szczypcami, atakujący zdrowe komórki mojego dziecka.

Boję się tej chemii, ale wiem, że tak trzeba.

A jeśli na miłość matki składa się właśnie ta trwoga?

Lekarka objaśnia nam wszystko dokładnie, ze szczegółami. Wbrew pozorom uspokajają mnie te słowa, choć nie wszystko rozumiem. Nazwy leków brzmią jakoś tak dostojnie, poważnie, a nawet groźnie. To się musi udać.

Z lustra w szpitalnej toalecie spojrziała na mnie kobieta z ogromnym strachem w oczach.

Tak nie wolno.

Myję twarz zimną wodą, szczypię się w policzki jak Scarlett O'Hara przed balem. Robię nawet kilka przysiadów, żeby poprawić krążenie. Pora wracać do Oli. Muszę mieć ciepłe ręce i równie ciepłe myśli. Wtedy chemia zadziała, a ten bydlak poczuje, co znaczy męstwo.

Bo męstwo jest przecież kobietą.

KAROLINA

W zasadzie nie musiała pokazywać się w szpitalu, ale kroki jakoś same ją tam skierowały. Od razu poszła też na drugie piętro, machnęła na dzień dobry ręką siostrze Lilianie i pokazała na migi, że ona do Oli.

Dziewczynka siedziała w pokoju z mamą i Karolina uznała, że nie będzie im przeszkadzać. Poza tym nie znały się zbyt dobrze, więc trudno było tak po prostu wejść i usiąść obok. Wycofała się cichutko i postanowiła zajrzeć do innych dzieci. Miała wrażenie, że na tym oddziale jest jakoś weselej. Co prawda niemal wszystkie dzieci były łyse i trudno je było od siebie odróżnić, ale prawie każde z nich paplało coś z ożywieniem, bawiło się piłką lub lalkami, rysowało lub układało klocki. Tu choroba musiała zetknąć się z dziecięcą naiwnością i zdolnością do szybkiego zapomnienia, nawet o bólu.

– Oczywiście, że będę strażakiem. Widziałem film i już prawie wszystko umiem – oznajmił nagle mały chłopiec, chudziutki i delikatny niczym łąkowy mak. Karolina pomyślała, że wystarczyłby lekki podmuch wiatru, żeby oderwać wszystkie płatki i zostawić tylko chybotliwą nóżkę. Ktoś taki mógł co najwyżej zostać poetą, ale strażakiem? Westchnęła. Pewnie nigdy mu się nie uda.

– A ja będę fryzjerką! – zawołała zielonooka dziewczynka. W domu czeszę wszystkie lalki, a mojemu dziadkowi ostatnio zrobiłam loki. Co prawda mówił potem, że mu wyrwałam resztę włosów, ale i tak ma ich ciągle więcej niż ja. – Poklepała się po głowie.

– Łysi nie mogą być fryzjerami – oburzył się makowy chłopczyk.

– Bo co? Poza tym kupię sobie perukę. Dwa warkocze do samej ziemi. Złote, żeby każdy się zachwycił.

– Fajne marzenia. Niech się spełnią – dobiegło nagle Karolinę z prawej strony.

Ola.

Stała koło niej i kiwała się zabawnie w przód i w tył.

– A gdzie masz mamę? – spytała Karolina.

– Uczy siostry robić sałatkę ze śledziów.

– Śledzi – roześmiała się Karolina.

– Śledzi. I sernik też. Z czekoladą i rodzynkami.

– Mmm, brzmi pysznie. Lubię serniki, chociaż ostatnio mam ochotę na bardziej kwaśne rzeczy. Taki sernik cytrynowy na przykład – rozmarzyła się.

Ola wzięła ją za rękę i poprowadziła do kolejnych drzwi.

– Tu jest Mania. Chce mieć siedem kotków.

– O matko, to trochę sporo – przeraziła się Karolina. – A nie wystarczyłby na początek jeden?

– Mania chce siedem. To podobno ważne.

Karolina pomyślała, że to marzenie niekoniecznie musi się spełnić, chyba że Mania dostanie kotkę w ciąży i za żadne skarby nie pozwoli oddać kociaków.

– Kotek już na nią czeka. – Ola jakby czytała jej w myślach. – Powiedziałam mamie Mani, że kotek jest absolutnie konieczny i mama się zgodziła. Ma na imię Kokardka.

– Mama?

Ola roześmiała się.

– Nie, no kotek. A właściwie kotka. Bo to dziewczynka jest.

„Oby była w ciąży” – pomyślała Karolina, a głośno powiedziała:

– Ale to będzie jeden kotek.

– Od czegoś trzeba zacząć – zauważyła filozoficznie Ola.

Na korytarzu zaczął się ruch obiadowy, jak zawsze nazywała go Karolina. Nagle pojawiły się więc metalowe wózki, które, skrzypiąc zabawnie, przesuwały się od drzwi do drzwi, oferując białe tacki z jedzeniem przykrytym plastikową miską.

– Faj – skrzywiła się Ola – brokuły.

– Nie lubisz?

Pokręciła przecząco głową.

– Są śliczne, bo przypominają małe drzewka, ale smakują niczym. Siostra Lilka mówi, że po chemii nie czuje się żadnego smaku, ale to nieprawda. Ja lubię parówki i przyprawę do zup.

– Jaką przyprawę?

– No taką sypaną. Mama czasem dodaje. Jak sobie tym posypię jedzenie, to ono mi potem smakuje.

– To posyp też brokuły. Ja bym je jeszcze poląła sokiem z cytryny.

– Serio?

– Jasne. Kwaśne jest pyszne, mówię ci.

Ola zmarszczyła brwi, jakby się nad czymś zastanawiała, a potem wskazała ręką na pokój, do którego właśnie podjechał wózek z paskudnymi brokułami na talerzu. Siostra wzięła do ręki dwa talerze i z uroczym uśmiechem, zapewniającym, że wszystko, co niesie, jest pyszne, smaczne i pożywne, weszła do sali.

– Karol mówi, że jego sny tracą kolor. Jakby ktoś z nich farbę wypłukiwał. Że kiedyś wszystko było jak tęcza, a teraz jest rozmyte i blade. Żal mi go, bo sny są przecież bardzo fajne. A im bardziej kolorowe, tym lepiej. I jest jeszcze coś. On rysuje motyle. – Ola zrobiła się nagle jakaś smutna.

Motyle?

Chyba nie ma w tym nic złego.

– Motyle rysuje się wtedy, kiedy ktoś ma się nie obudzić.

Karolina wzdrygnęła się. Jak to nie obudzić?

– Tak powiedziała kiedyś siostra Lilka mojej mamie. Że dzieci, które chcą

odejść, malują motyle. Ja się teraz nawet boję je rysować.

– A co jest Karolkowi?

– Nie ma szpiku. I musi dostać nowy, ale nie można go nigdzie znaleźć. Szukają już długo, a jemu bledną sny. Chciałabym, żeby ten szpik się znalazł i żeby Karol zamiast motyli malował dinozaury, jak wcześniej.

Karolina zamyśliła się.

Nasionko w jej głowie co prawda nie zaczęło jeszcze kiełkować, ale na pewno mocno się ukorzeniło. Płat czołowy mózgu zaczął przetwarzać zasłyszane informacje i planować kolejny krok. Nie bardzo wiedział jeszcze, co postanowi, ale od czego jest abstrakcyjne myślenie? Przecież na tym właśnie mózg znał się najlepiej.

– Muszę już lecieć. I pamiętaj: posypujesz brokuły swoją przyprawą, polewasz sokiem z cytryny i wsuwasz jak najlepsze lody na świecie! – Puściła oko do Oli i popukała palcem w metalowy wózek.

MAGDALENA

Lalki

Lalki nie popijają herbatek z eleganckich filiżanek, nie stroją się w sukienki i nie zaplatają sobie warkoczy. Lalki mają wbite igły w gumowe ręce, założone wenflony i są bardzo poważne.

W zasadzie wszystkie chorują, a najbardziej jedna z nich. Lalka-bobas. Właśnie dostała kroplówkę.

Ola bardzo ostrożnie zakłada swojej pacjentce wenflon, a potem sprawdza, czy nic się nie zatkało. W przeciwnym razie należałoby przepłukać żyły, a to dość bolesny zabieg. Kroplówka na szczęście sprawnie działa. Musimy być cicho, bo lalka potrzebuje dużo spokoju. Można oczywiście zaśpiewać kołysankę, a nawet pocałować ją w czoło, byle nie być zbyt nachalnym i nie pytać w kółko, czy wszystko jest dobrze. Gdyby było, wenflon nie byłby potrzebny.

Lalka też była w szpitalu i nawet dostała specjalne krzeselko do karmienia. Pamiętam, że wywołało ono sporo zamieszania. Izolatka Oli przemieniła się na moment w warsztat stolarski, a siostry zamiast podawać kroplówki, biegały po innych oddziałach i szukały śrubokrętu i młotka, żeby dziadek Zbyszek mógł skrócić krzeselko.

Teraz oprócz lalki kroplówkę dostał również właśnie dziadek Zbyszek. Mój tata. Ola uznała, że z nas wszystkich najbardziej nadaje się na pacjenta. Dokładnie zmieniła opatrunki i założyła świeże bandaże. Dziadek miał dość trudne zadanie, bo nie wolno mu było się ruszać.

Patrzę na nich i wypełnia mnie szczęście. Być może nie jest to szczęście doskonałe, ale nie zamieniłabym tej lalki z kroplówką na żadną Barbie w błyszczącej koronie.

Ola znowu jest na przepustce. Zupełnie jakby słońce weszło do domu.

Muszę poradzić tacie, żeby zaczęła oddychać, w przeciwnym razie naprawdę wyląduje w szpitalu.

Robię im kanapki w kształcie ślimaków, a z owoców układam palmę. Banan jest pnem, mandarynki bezludną wyspą, a kiwi zieloną koroną drzewa. Ola jest zachwycona.

Zjada wszystko, powoli, ale z apetytem. Uśmiecha się do mnie i macha łapką. To wszystko, każdy gest, każdy zjedzony posiłek, każda normalnie przespana noc i każda kłótnia Oli z Matim daje mi nadzieję, że wracamy do codzienności. Do zwykłych dni, które przeżywają tysiące rodzin i które nie pachną strachem.

Babcia z dziadkiem (wyleczonym) tańczą walca, a Ola i Mati pokładają się ze śmiechu.

– Jutro zrobię ci kotka z gruszki i winogron. – Uśmiecham się do niej szeroko.

ko.

– I pawia.

O matko, z czego zrobić pawia?

KAROLINA

Rok szkolny skończył się o wiele szybciej, niż się spodziewała. Być może dlatego, że większość nauczycieli (z wyjątkiem pani od polskiego) wystawiła Karolinie oceny dużo wcześniej i chyba nawet ciut je zawyżyła.

– Masz piątkę z chemii? – ucieszyła się mama.

Karolina uśmiechnęła się pod nosem.

– No, co jak co, ale z chemii na razie zdałam egzamin całkiem dobrze – powiedziała, patrząc, jak mama natychmiast się czerwieni i przykłada rękę do ust.

– Jezu, mamoo...

– No przepraszam, nie załapałam po prostu...

– I bardzo dobrze. Chemia to przedmiot w szkole, miałaś normalne skojarzenie. To ja dorzuciłam inne, ale to chyba też normalne.

Mama opuściła ramiona. Karolina pokręciła głową.

– Zupełnie nie wiesz, jak ze mną o tym rozmawiać. Dlatego cieszymy się teraz z mojego pięknego świadectwa, bo po południu przyjeżdża Wiktor. Tym razem będziesz miała okazję, żeby go poznać.

– Przyjdzie tu?

Karolina przytaknęła.

– Może? – spytała jednak na wszelki wypadek.

– Jasne, czemu nie... W zasadzie to już wcześniej chciałam go poznać, ale jakoś nie było okazji.

„Była, tylko ja nie byłam gotowa”.

Przez pierwsze dziesięć minut obwąchiwali się jak psy, przynajmniej Karolinie tak to się skojarzyło. A kiedy zapachy zostały opanowane i pierwsze skrępowanie opadło na podłogę, Wiktor oznajmił poważnym tonem:

– Uważam, że Karolina jest ładna po pani. I tu mamy pewną dziwność genetyczną, bowiem ja jestem podobny do Karoliny. Z tego wynika, że oboje powinniśmy być podobni do naszego ojca. A jednak Rolka jest podobna do pani, a ja chyba też bardziej przypominam mamę. Zupełnie nie potrafię tego wyjaśnić.

– Rolka?

– Tak na nią mówię. To skrót od imienia, nawet dość logiczny. Ka-ro-lina. Ro-lina. Rolka.

– Aha – zgodziła się mama.

– Przyzna pani, że jesteśmy podobni?

– Przyznam.

Wiktor uśmiechnął się.

– Coś pachnie – powiedział jeszcze.

– Może moja zapiekanka? – spytała mama.

– To możliwe. Wyczuwam ziemniaki i cebulę.

– Dobrze wyczuwasz. Są jeszcze pieczarki i żółty ser. Nie jestem mistrzynią kuchennego królestwa, ale ta zapiekanka smakuje wszystkim. Prosta i pyszna. I chciałam jeszcze dodać, że podoba mi się twój brak włosów. Zarówno dlatego, że masz kształną głowę, jak i z powodów, dla których je obciąłeś. – Pociągnęła nosem.

– Mamo, tylko nie płacz – ostrzegła Karolina.

– Muszę. Nie umiem tak prostu zatrzymać łez.

– To chyba nawet niezdrowe – zauważył Wiktor. – Podobnie jak powstrzymanie się od puszczenia bąków.

Spojrzały na niego zdumione.

– To prawda – powtórzył. – Hamując gazy, krzywdzimy nasze jelito grube, które może zacząć źle funkcjonować i powodować bolesne skurcze. Bąki są zdrowe, tak nas uczono w australijskiej szkole.

– Ile klas tam ukończyłeś? – spytała mama.

– Zaczęłam, kiedy miałem niecałe pięć lat. Ale to jeszcze nie była prawdziwa szkoła, tylko coś w rodzaju zerówki. No i doszedłem do czwartej klasy, a potem wyjechaliśmy do Polski. Chodziłem też do polskiej szkoły, bo mamie zależało. Czy ja mógłbym teraz zjeść to coś, co tak cudnie pachnie? Odczuwam kangurzy głód.

Mama nagle się roześmiała, całkowicie zapominając, że chciała przecież odrobinę popłakać. Karolina zaś spojrzała na swojego brata z dziwnym przeświadczeniem, że znają się od urodzenia. Był absolutnie taki, o jakim podświadomie marzyła. Nawet jeśli tego nie pamięta.

– No dobrze, to teraz dokładnie mi powiedz, jaki masz plan. Rozumiem, że natchnął cię pan Norrell?

Karolina usiadła na łóżku i wyciągnęła z torby garść czerwonych balonów.

– Tego nie znam – przyznał Wiktor, patrząc na nią z zaciekawieniem. – To znaczy, nie znam żadnych balonowych zaklęć. Nie pamiętam też, czy stosowano jej w dziewiętnastowiecznej Anglii.

– Też nie wiem. A plan jest dość prosty. Podsunęła mi go zupełnie przypadkiem pewna mała dziewczynka i ja już teraz wiem, co chcę robić i dlaczego. Chodzi o to, że nie mogę beczynnie czekać na kolejną chemię. Ani nawet na skutki tej, którą już miałam. Kiedy człowiek nie ma nic do roboty, oblepiają go złe myśli. I dociskają tak bardzo, że nie ma czasem ochoty wstać z łóżka. Nie wiem, jak inni sobie z tym radzą, ale ja muszę być czymś zajęta.

– Są wakacje. Nie chciałaś nigdzie wyjechać?

– Nie. Tu nie chodzi o zmianę miejsca, tylko raczej o stopień zaangażowania w codzienność. Na wakacjach robisz jeszcze mniej niż w domu. Ludzie nazywają to wypoczynkiem.

– No tak – przytaknął. – Chodzi o to, żeby się wynudzić na zapas.

– Właśnie. A ja nie mam czasu na nudę. Ani ochoty.

– I dlatego...

– I dlatego postanowiłam odwiedzić kilka szpitali w Polsce i w każdym z nich wybrać dziecko, któremu pomogę spełnić marzenie. Ta dziewczynka, o której ci mówiłam, Ola, ona sama walczy z neuroblastomą i jest tak bojowo nastawiona do życia, że doprawdy nie wiem, co jeszcze robi w szpitalu. Wprawdzie wypuszczają ją co jakiś czas do domu, ale jednak ciągle wraca na oddział. Ale bynajmniej nie po to, żeby beczynnienie leżeć i użalać się nad sobą. Odwiedza wszystkie możliwe piętra i jest chyba jedynym dzieckiem, któremu wolno to robić. Siostry ją kochają. Lekarze ją kochają. Pacjenci też. Niestety, najwyraźniej kocha ją również nowotwór, bo mała ma kolejną wznowę. Co nie znaczy, że się poddaje.

– I co? – Wiktor słuchał z zaciekawieniem.

– I ona kiedyś coś mi powiedziała, że chciałyby spełniać marzenia innych. A jakiś czas później spotkałam ją siedzącą na parapecie okna w korytarzu, kiedy patrzyła w niebo i mruzczała coś pod nosem. Podeszłam do niej bliżej, żeby się przywitać, ale była bardzo zajęta tym mrużeniem. W końcu jednak odwróciła się do mnie i powiedziała poważnym tonem: „Wysłałam całkiem sporo marzeń do wszechświata”.

Wiktor uśmiechnął się.

– Ładne.

– Spytałam ją wtedy, co dalej. „Muszą się spełnić” – powiedziała z przekonaniem. „Bo to nie tylko moje myśli, ale i myśli innych dzieci”. Wtedy pomyślałam sobie, że czasem marzeniom trzeba odrobinę pomóc. Wydostać się na zewnątrz, opowiedzieć o sobie i dać innym szansę, żeby wzięli w nich udział. Marzenie nie spełnia się samo w sobie. Ono potrzebuje przewodnika. I ja właśnie nim będę.

Wiktor spojrzał na nią z zachwytem.

– Mogę jeździć z tobą? – spytał niemal od razu. – Są wakacje, a ja w tym roku niczego nie planowałam – skłamał prawie idealnie.

Uśmiechnęła się.

– Twój rodzic nigdy się na to nie zgodzą.

– Coś wykombinuję. Zresztą ojcu to chyba wszystko jedno. Najważniejsze, żebyś ty chciała.

Skinęła ledwo zauważalnie głową.

Kilka godzin później mama spojrzała na nią z osłupieniem. A przecież plan był prosty. Na dodatek nie wymagał specjalnych środków finansowych. A jednak mama musiała najpierw stanowczo zaprotestować. Typowe dla matek w każdym wieku.

– Nie ma mowy.

– Mamo, mam już piętnaście lat.

– Dopiero.

– A gdybym chciała zapisać się do szkoły baletowej i zostać primabaleriną? Mama spojrzała na Karolinę ze zdumieniem.

– Co to ma...?

– Odpowiedz po prostu. Czy mam szansę, żeby zostać gwiazdą baletu?

– Raczej niewielkie.

– Bo?

– Bo masz już piętnaście lat, a w tym zawodzie...

Karolina znowu przerwała mamie, tym razem głośnym śmiechem.

– Widzisz? Sama to powiedziałaś. Mam JUŻ piętnaście lat.

Mama obruszyła się.

– Podeszłaś mnie, ale nieudolnie. Tak już jest w życiu, że na pewne rzeczy jest się za starym, a na inne za młodym. Nie możesz sama podróżować po Polsce. W ogóle nie ma takiej opcji.

– Nie będę sama. Mam Wiktora. Mamo, wiem, że nie jesteśmy jeszcze dorośli, ale we dwójkę świetnie sobie poradzimy. Musimy tylko wsiąść do pociągu, a potem w odpowiednim miejscu wysiąść. To naprawdę nie może być aż tak skomplikowane. – Karolina wiedziała, że prędzej czy później i tak postawi na swoim, choć tym razem mama naprawdę nie chciała ustąpić.

Okej, była niepełnoletnia. I według lekarzy – chora. Powinna się też oszczędzać, zwłaszcza że po chemii ciągle jeszcze nie wróciła do siebie. Często bolała ją głowa i kręgosłup. Ale jeszcze bardziej bolała ją beczynność. Nie mogła całymi dniami leżeć w łóżku i rozmyślać o tym, co ją wykańczało od środka. Musiała się czymś zająć.

Pomysł, żeby odwiedzać dzieci chore na raka w różnych szpitalach, w różnych miastach wydawał się jej idealnym rozwiązaniem. Podróż oddala własne kłopoty, bo człowiek skupia się na czymś innym. Nawet jeśli jest to tylko zmieniający się za oknem krajobraz. Karolina nie chciała uciekać od choroby, tylko raczej wyjść jej naprzeciw, ale na swoich warunkach. Pokazać, że chociaż ma dopiero (lub już, w zależności od sytuacji) piętnaście lat, nie będzie chować głowy pod poduszkę, a siebie samej składać do trumny.

Walka była nierówna.

Świniak grzał się w ciepłe jej ciała, podczas gdy ona sama musiała walczyć z nudnościami, bólem głowy i ogólnym osłabieniem. Co prawda, już po dwóch tygodniach po pierwszej chemii zauważyła, że powoli wracają jej siły, a cera przestaje być przezroczysta i nabiera delikatnego odcienia różu. Przynajmniej na policzkach. Żyły ciągle jeszcze prześwitywały spod skóry, co Wiktorowi przypominało układ rzek na mapie i nawet niektóre z nich potrafił rozpoznać.

– O, ta mi przypomina Narew. A ta z kolei to Orinoko.

Jasne. Akurat pamiętał, jak wygląda Orinoko ze wszystkimi swoimi dopływami i idealnie dopasował ją do żył – Karolina tylko wywróciła oczami.

– Jak mi nie wierzysz, to sama sprawdź na mapie. – Wzruszył ramionami. Sprawdzi. Kiedyś sprawdzi.

Ale na razie musi wybrać się w tę podróż i posłuchać, o czym marzą inni. I koniecznie im pomóc, przynajmniej na tyle, na ile będzie mogła. Być może to osłabi jej własny nowotwór, który skurczy się pod wpływem pozytywnych wzruszeń.

No i zawsze pozostaje jej magia, nawet ta czarna, która wymaga ofiar.

Postanowili, że zaczną od Wrocławia. W razie czego Rolka zatrzyma się u Wiktora. Ojca i tak nie było, a jego mama od razu się zgodziła. Swoją drogą śmiesznie byłoby przebywać w mieszkaniu ojca, którego nie widziała od trzynastu lat i który nie miał pojęcia, że zaprzyjaźniła się z jego synem. Uniwersytecki Szpital Kliniczny z oddziałem Onkologii i Hematologii Dziecięcej. Mieli tu też Pododdział Wzmoczonego Nadzoru, ale Karolina podejrzewała, że tam pewnie nie uda im się dotrzeć niezauważonym.

– Nie wiem, na jaką liczbę się zdecydować, pięć czy siedem? – spojrzała pytająco na Wiktora.

– Piątka w numerologii to liczba podróżników, odkrywców i poszukiwaczy. Symbolizuje zmianę i nieprzewidywalność. To by do nas pasowało, jesteśmy przecież podróżnikami, a twoje baloniki życzeń mają coś zmienić. Z drugiej strony, siódemka jest najbardziej magiczną ze wszystkich liczb. Musielibyśmy wtedy odwiedzić sześć różnych oddziałów, a ostatnie życzenie zachować dla siebie. Ale naprawdę ostatnie. To będzie taki rodzaj obietnicy – najpierw zajmiemy się innymi, a na końcu sobą. Znaczy tobą – wyjaśnił jej Wiktor.

– Mamy parę tygodni wolnego, myślę, że zdążymy odwiedzić sześć różnych szpitali.

Wiktor mruknął coś niewyraźnie.

– Co jest? – zaniepokoiła się.

– Mama nie zgodziła się na całe dwa miesiące – przyznał w końcu. – Podobno wykupiła wycieczkę, nawet nie zapytałam dokąd, ale pewnie nie ma opcji, że bym nie pojechał. Choć oczywiście spróbuję się z tego wymiksować.

Karolina machnęła ręką.

– Nie przejmuj się. To nawet dobrze, że będziemy robili sobie przerwy. Moja lekarka cały czas powtarza mi, że nie mogę specjalnie przemęczać organizmu, zwłaszcza po chemii, choć powiem ci, że najbardziej męczy mnie bezczynność. Kiedy siedzę w domu, przywołuje mnie lustro, a gdy w nie patrzę, muszę naprawdę mieć dużo siły przekonywania samej siebie, aby ocalić wiarę, że nie odstrasza ludzi.

Wiktor spojrzał na nią oburzony.

– Odstraszasz? Ty? Po prostu nie masz włosów, ja zresztą też nie. Ale widziałem dużo gorsze osobniki, nawet jeśli miały włosy do pasa.

– Jestem blada, a w zasadzie sinawa. – Dotknęła dłońmi policzków. – Wczoraj wydawało mi się, że widzę trochę różu, ale dzisiaj z powrotem dominuje siny odcień skóry.

I znowu zaprzeczył.

– To kolor jeziora. No dobrze, takiego wieczornego, ale jeziora.

– W słowniku synonimów obok hasła „siny” raczej nie znajdziesz „wieczornego jeziora”.

– Ale jest niebieski albo śliwkowy. A te kolory już bardziej przypominają wieczorne jezioro, prawda?

Wiedziała, że go nie przegada. Kiedy coś sobie wbił do głowy, nie było żadnej siły, żeby przekonać go do czegoś innego. Poza tym zdecydowanie wolała przypominać jezioro niż topielca z niego wyłowionego.

– Ale dobrze się czujesz? – zaniepokoił się na moment.

– Tak. Myślałam, że będzie gorzej, ale poza tym, że mdliło mnie na samą myśl o jedzeniu przez kolejny tydzień, w sumie dobrze to zniosłam. Dobrze, że był kisiel.

– Kisiel?

Kiwnęła głową.

– Jedyna rzecz, którą akceptował mój organizm. Nie wiem, pewnie dlatego, że konsystencją i tak bardziej przypomina to, co człowiek zwraca – zachichotała.

Pierwszą chemię miała już za sobą, to najważniejsze. Straciła, co prawda, wszystkie włosy i trochę ją poturbowało, ale teraz było już wszystko niemal idealnie.

– Mięśnie, głowa, dajesz radę? – upewniała się lekarka.

– Tak, po prostu trochę mi niedobrze – mówiła Karolina, a mama jak zwykle kwiliła na boku, że jeszcze się zagłodzi.

– To zrób mi kisiel cytrynowy – poprosiła jej córka.

Kwaśno-słodki smak najwyraźniej nie kolidował z działaniem chemii, bo choć Karolina zjadła pół wiadra kisielu, wreszcie nie miała ochoty wymiotować. Nie czuła też zmęczenia i dość dobrze spała. Nie budził ją strach, ściśnięty żołądek, obawa, że nie doczeka swojej osiemnastki. I złość, że jakaś komórka w jej organizmie musiała się zbuntować i ulec, nie wiadomo dlaczego, mało przyjemnej transformacji nowotworowej. Jej potomstwo było równie bezczelne i zaczynało żyć własnym życiem, wyzwalać się spod wszelkiej kontroli i siać spustoszenie.

– I właśnie po to jest chemia – tłumaczyła pani doktor. – To nie do końca jest tak, że komórki nowotworowe niczego się nie boją. Istnieją bowiem substancje, które powodują uszkodzenia w ich strukturze, co koniec końców prowadzi do obumierania.

Karolina uniosła kciuk w górę.

Wiedziała, że Świniak boi się chemii. Tak jak i ona.

Ale wiedziała, że na dziś to jej jedyny sprzymierzeniec. Nawet jeśli bez pytania zabiera włosy.

– Rolka – z zamyślenia wyrwał ją głos brata – czy my mamy jakiś konkretny plan? Będziemy pomagać konkretnym dzieciom?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ale coś mi mówi, że każdy szpital wystawi nam swojego kandydata, a my od razu zorientujemy się, o kim mowa. Znajdziemy go i podarujemy balonik. Pamiętaj jednak, że czasem trzeba pomóc marzeniom. Sam balonik nie wystarczy. I na tym właśnie będzie polegało nasze zadanie.

Pokiwał głową na znak, że rozumie. Nawet największa magia potrzebuje czasem wsparcia rzeczywistości. Nie chodzi o to, by za pomocą pstryknięcia palcami zmienić świat na lepszy, ale by zmusić innych, by też chciało im się to zrobić.

Do Wrocławia przyjechała sama, tak jak poprzednim razem, tyle tylko, że teraz czekał na nią Wiktor i... jego mama.

– Zanim oboje zaczniecie protestować, pozwólcie mi chociaż cokolwiek powiedzieć – uprzedziła tych dwoje i przekonała wizją cytrynowej tarty, dosłownie „tuż za rogiem”.

Karolina od dawna zaprzętała jej myśli. Kiedy Wiktor znalazł stare zdjęcia podczas przeprowadzki do Polski, kiedy podsłuchał jakieś strzępy rozmów i resztę sobie dopowiedział, wiedziała, że nie ma sensu dłużej go oszukiwać. Krzysztof nie chciał mu mówić o Karolinie i to było dużym błędem. Ona sama zrozumiała to, choć trochę za późno.

– To jak? Tarta?

Karolina, która ciągle miała największy apetyt na kwaśno-słodkie, uznała, że słowo „tarta” idealnie komponuje się z wtorkowymi godzinami przedpołudniowymi i chociaż Wiktor próbował oponować, dała mu do zrozumienia, żeby odpuścić.

– Pomyślałam, że mogę wam pomóc, a tak w ogóle to mów mi Edna.

– Edna? – zdziwiła się Karolina.

– Nie uwierzysz, ale moja mama oglądała swego czasu film z pewną brytyjską aktorką i kiedy dowiedziała się, jak ma na imię, od razu jej się spodobało. Film był z tysiąc dziewięćset trzydziestego roku, a aktorka, niejaka Edna Best, grała tam damę z półpaścem.

Karolina zachichotała.

– No właśnie. Nie każdemu o tym mówię, bo jednak dostać imię po aktorce grającej osobę chorą na półpasiec brzmi mało romantycznie, ale uznałam, że tobie ta historia raczej się spodoba.

– A moja mama ma na imię Ewelina. Też nietypowo. A tak w ogóle, to wiedziała pani, że Wiktor ma siostrę? – spytała nagle Karolina, a jej brat spojrzął na nią zaskoczony.

Edna uśmiechnęła się jakoś tak przepraszająco.

– Tak. I bardzo cię przepraszam, że nigdy nie namawiałam swojego męża do tego, żeby się z tobą skontaktował. Myślałam, że skoro mieszkamy w Australii, to i tak bez znaczenia, bo dzieli nas tak duża odległość, a potem to już pewnie było mi z tym wygodniej. Ale Wiktor najwyraźniej uważał inaczej. Kiedy tylko dowiedział się, że ma siostrę, natychmiast cię odszukał.

– Chce nam pani pomóc? – Karolina zmieniła temat. Nie ma sensu drażnić tego w nieskończoność, poza tym smak tarty powoli się ulatniał, a oni mieli przed sobą zadanie do wykonania.

Chciała. Naprawdę. Prawie skamieniała, kiedy dowiedziała się o chorobie Karoliny. Wyrzuty sumienia uszczypnęły ją ze zdwojoną siłą, jakby chciały pokazać, że pewnych rzeczy nie wolno było przemilczeć. Ale wiedziała, że ciągle jest szansa.

– W szpitalu mogą z wami nie chcieć rozmawiać. Kiedy będzie wam towarzyszył ktoś dorosły, mogą okazać się bardziej uczynni. – Edna najwyraźniej bardzo chciała choć minimalnie zrehabilitować się w oczach Karoliny, poza tym wolała trzymać rękę na pulsie. Dwójka dzieci płacząca się po szpitalu, na oddziale onkologicznym – to się mogło różnie skończyć. Przyjazne siostry i mądrzy lekarze zdarzają się najczęściej w bajkach, rzeczywistość bywa bardziej prozaiczna. Mogli ich najzwyczajniej w świecie wykopać.

Ale Karolina pokręciła przecząco głową.

– Ja muszę sama. Znaczący z Wiktozem. I nie umiem zupełnie wytłumaczyć dlaczego, ale mam wrażenie, że pomoc kogoś dorosłego zburzy nasz plan.

Wiktor gwałtownie przytaknął.

Magia nie lubi, kiedy mieszają się do niej osoby postronne, niezaangażowane, niewierzące, a nawet wyśmiewające zjawiska nadprzyrodzone. Dorośli mają bardzo niską odporność na czary, albowiem z góry uznają je za bzdury. Lub przypadki. A przecież Lady Pole wróciła. Fakt, była milcząca i blada, i nie cieszył jej taniec. Ale żyła.

– My chcemy sami – powiedział prosząco, patrząc na Ednę niebieskimi oczami, za które skoczyłaby z największej góry. Do dzisiaj było jej wstyd, kiedy przypomniawszy sobie, jak przez ułamek sekundy poczuła coś w rodzaju ulgi, że to nie Wiktor zachorował. Polubiła Karolinę, ale jeśli miałyby wybierać...

Zamachała w powietrzu rękami, jakby chciała przepędzić niedobre myśli.

– Czy możecie mi chociaż obiecać, że w razie jakichkolwiek problemów od razu do mnie zadzwonicie? – spytała, patrząc raz na jedno, raz na drugie.

Byli do siebie bardzo podobni. Brat i siostra, choć z różnych matek.

Karolina zjadła do końca tartę i pomyślała, że zaklęcie cytryny w ciasto to jeden z najbardziej genialnych pomysłów cukierniczych.

MAGDALENA

Zeszyt

Kiedy byłam nastolatką, moim największym skarbem był pewien tajny zeszyt, w którym zadawało się pytania innym koleżankom. One potem na nie odpowiadały, wkładały kartkę między dwie inne, które zaklejały. Odpowiedzi można było przeczytać dopiero za jakiś czas – albo jeszcze tego samego dnia w domu, albo na przykład za tydzień lub miesiąc. Kartki ozdabiano się kolorowymi rysunkami lub wklejało zdjęcia wycinane z gazet. Fajnie było tworzyć takie kolaże, zwłaszcza jak się miało pod ręką „Burdę” albo katalog „Otto”. Ależ tam były cuda!

Spódnice pod kolor beretów, garsonki ze złotymi guzikami i swetry z szerokimi rękawami. Do tego te piękne fryzury, z lokiem nad czołem i falą na ramionach oraz powieki wymalowane na niebiesko.

Teraz mam zupełnie inny zeszyt.

Na jednej stronie zapisuję wszystko to, co dotyczy Oli. Rodzaje chemii, rodzaje leków, ilość i zawartość kroplówek, wyniki badań krwi, a nawet to, co zjadła danego dnia.

Po drugiej stronie inna proza – kupić zeszyt w kratkę dla Mateusza, zrobić zakupy, przygotować strój na zajęcia sportowe, odebrać pranie z czyszczenia chemicznego, wysłać kartki z życzeniami świątecznymi. Niczego tu nie wklejam, nie rysuję, w kilku słowach zapisuję to, z czego składa się moje życie.

A gdybym mogła zadać pytania...

Czy...

Nie, lepiej brzmi: kiedy Ola wyzdrowieje. Słowo „kiedy” nie zawiera w sobie niepewności, nie jest podzielone na tak lub nie. Dotyczy po prostu jednostki czasowej.

Chciałabym również spytać „dlaczego?”, ale o to pytają wszyscy rodzice. I nikt nie potrafi odpowiedzieć. Dlaczego właśnie moje dziecko? Dlaczego wśród tylu bytów, padło właśnie na nie? Kto je wybiera i poddaje takim próbom?

Zapisałam te pytania w zeszycie. Może kiedyś ktoś odważy się na nie odpowiedzieć. Odpisze mi, włoży kartkę między dwie inne, sklei ich brzegi. A ja kiedyś to przeczytam.

Najtrudniej jest patrzeć na drugie dziecko, to zdrowe, i nie zarażać go swoim bólem. Mateusz wie, że Ola jest chora, ale to jeszcze nie znaczy, że wolno mi obarczać go swoim cierpieniem. Powinnam grać z nim w Chińczyka lub Monopoli, czytać książki, smażyć naleśniki, odrabiać lekcje i oglądać filmy, jak normalna mama. A nie jak mama chorego dziecka, której myśli zaprzętają ilości płytek krwi.

– Chciałbym zachorować – powiedział kiedyś, a ja myślałam, że serce mi pęknie.

- Nie mów tak.
- Byłabyś wtedy ze mną tyle co z Olą.

Miał rację. I nie miał. Nie mogłam tego czasu podzielić sprawiedliwie, bo każdy podział byłby zły. A jednak musiałam być dla nich dwojga. W taki sposób, by żadne nie czuło się gorsze. Ale on tak bardzo potrzebował mojej uwagi. Momentów, w których znowu byłby najważniejszy. Kiedy ja siedziałam w szpitalu, Olek dwoił się i troił, żeby spędzać z nim jak najwięcej czasu. Ale Mateusz chciał mieć również mamę. Uśmiechniętą, spokojną, tulącą go bez ciągłego zerkania na telefon. Ciężko jest podarować mu zwykły dzień.

- Idę z babcią na kwietnik! – zawołał dzisiaj do mnie.

Roześmiałam się.

Kiedy mama Olka, babcia Krysia, zaproponowała, że weźmie go na spacer, miała raczej na myśli ogród botaniczny, zoo lub choćby zwykły park.

- Weź go na Warszawską – szepczę.

Teściowa patrzy na mnie z przerażeniem.

- Tam są tylko spaliny, hałas i kurz!

– Wiem. – Kiwam głową. – Ale tam można najlepiej obserwować pędzące samochody. A Mateusz uwielbia to robić i rozpoznawać po odgłosach poszczególne marki.

Babcia Krysia nie wygląda na przekonaną.

– Tam jest taki niewielki kwietnik. – Uśmiecham się do niej. – Usiądziecie sobie i wtedy dowiesz się, ile przejechało mercedesów czy innych peugeotów.

– Ale on powinien wdychać świeże powietrze, a nie ten syf – babcia ma absolutną rację.

– Mamo. Wiem, ale może nie dzisiaj. Niech raz spędzi dzień dokładnie tak, jak sobie to wymarzył. Poza tym zdziwisz się, widząc, jaką on ma wiedzę na temat samochodów. – Śmieję się. – Z zamkniętymi oczami powie ci, czy właśnie przejeżdża fiat, czy renault.

- Akurat. – Babcia Krysia wzrusza ramionami.

- No to sama się przekonaj!

- Idziemy? – Mateusz przestępuje z nogi na nogę.

- Babcia nie wierzy w twoją motoryzacyjną wiedzę. – Mrugam do niego.

– To się dopiero zdziwi! A może chcesz się założyć? – Patrzy na babcię Krysię. – O loda, popcorn i watę cukrową?

– Jezus Maria. – Mama Olka wygląda jak karp, który właśnie dowiedział się, że zbliża się Wigilia. Ale w końcu poszła. I siedziała z moim synem na kwietniku, a potem kupiła mu watę, popcorn, loda i jeszcze czekoladę, bo z wrażenia aż odjęło jej mowę. Mateusz z zamkniętymi oczami rozpoznał wszystkie marki przejeżdżających samochodów.

Ja w tym czasie znowu poszłam do szpitala.

Czy to się kiedyś zmieni?

– Jak pani to godzi? – pytam matkę, której chory syn od dwóch lat leży w szpitalu, a trójka innych dzieci czeka na nią w domu.

– Nie wiem – mówi po prostu. – Tu jestem z nim i dla niego, w domu zakładam strój wróżki. Staram się sobie wyobrazić, że mam magiczną różdżkę, którą muszę machnąć tak, żeby zrobić pranie, wyprasować je, ugotować obiad i jeszcze uśmiechnąć się od czasu do czasu. Wyłączam w głowie tryb szpitalny, przestawiam się na tryb domowy. To wszystko można wytrenować.

Kiwam głową.

Ja też trenuję, ale na razie mam słabe wyniki. Cała jestem szpitalem. Chorobą. Neuroblastomą i bólem mojej córki. I naprawdę nie obchodzą mnie odrosty na włosach.

Zjadam trochę popcornu, który przyniósł Mateusz.

Ale nie wiem, czy jest słony, czy słodki...

KAROLINA

Śmiesznie to wyglądało. Korytarz był prawie pusty lub przynajmniej stało na nim dużo wolnych krzesel. Ale oni siedzieli plecami do siebie i chociaż się nimi stykali, to jednak każde patrzyło na inną ścianę.

W zasadzie to wyglądało jeszcze inaczej, bo dziewczynka była dość drobna i to jej głowa dotykała pleców taty. Mieli ręce położone na kolanach i bardzo poważne miny.

– Tato, czy wszystko umiera?

Karolina zatrzymała się na moment, Wiktor również. A potem jak na zawołanie usiedli blisko tej pary i sięgnęli po gazety leżące na szklanym stoliku.

Tata poruszył się odrobinę.

– Pamiętasz, jak kupiłem mamie kwiaty? Najpierw były czerwone i chyba nawet odrobinę błyszcząły. A potem z każdym dniem zaczęły tracić swój kolor. Na końcu wyschły, zwiędły, a płatki opadły na stół.

– Ja też zmienię kolor?

– Tak. Ale jeszcze nie teraz.

– Słyszałam, jak mama mówiła, że mam żółtą skórę.

Tata zamknął oczy.

– To chwilowe. To przez leki i trochę dlatego, że bardzo długo nie wychodziłaś na świeże powietrze.

– Czyli ja nie będę takim kwiatem?

– Nie. Twoje wyniki odrobinę się poprawiły, a to oznacza, że za chwilę przestaniesz być żółta.

– Czy po śmierci można zmienić się w kwiat?

Tata zastanowił się przez chwilę.

– Niektórzy wierzą, że tak. Albo w drzewo. Albo w wiewiórkę.

– Chciałabym być przebiśnigiem. Wszyscy na niego czekają, bo zapowiada wiosnę, a on jest taki silny, że wyłazi nawet spod czapy śniegu. I od razu czujesz, że zima za chwilę się skończy.

Tata zagryzł wargi.

– A czy myślisz, że u Pana Boga można napić się herbaty?

– Myślę, że tak. Pan Bóg wygląda mi na kogoś, kto lubi zieloną z dodatkiem owoców leśnych.

– To tak jak ja! – Podskoczyła na krześle dziewczynka.

A potem przyszła pielęgniarka i powiedziała, że musi jej ukraść odrobinę krwi.

– Coś mi się wydaje, że twoje wyniki znowu będą ciut lepsze, ale jak mi nie oddasz paru kropelek, to się nie dowiemy. – Śmiesznie zmarszczyła nos.

Dziewczynka kiwnęła głową na znak, że rozumie, i poleciła tacie, żeby

na nią zaczekał.

– Musimy jeszcze porozmawiać o tym, czy smutek mieszka w oczach, czy raczej w brzuchu, i czy na grobie można komuś położyć czekoladę?

Tata uśmiechnął się z dużym wysiłkiem, a kiedy dziewczynka poszła razem z siostrą, ukrył twarz w dłoniach.

– Co jej jest? – Karolina podeszła do niego i usiadła na krześle obok.

Podskoczył i zerknął na jej łysą głowę.

Poklepała się po niej.

– Chłoniak. Jestem już po chemii, stąd ta urodziwa fryzura, a w zasadzie jej brak.

Uśmiechnął się z przymusem. W zasadzie nie rozmawiał z innymi dziećmi, ale w szpitalu tak naprawdę wszyscy rozmawiali ze wszystkimi. Dawali upust swoim żalom, lękom i strachowi i opisywali całą sytuację każdej osobie, która chciała ich wysłuchać. A potem sami słuchali.

– U nas mięsak maziówkowy, nowotwór tkanek miękkich i kości.

– Miała już pełen pakiet badań?

– RTG, USG, biopsja szpiku kostnego, scyntygrafia, PET – wyliczył na jednym oddechu.

– I?

– Guz się zmniejszył i jest poprawa, ale podobno destrukcja kości jest tak duża, że chyba trzeba będzie amputować nogę powyżej stanu kolanowego – głos odrobinę mu się załamał.

Karolina posmutniała.

Zabrać włosy to jedno. Poza tym włosy odrastały. Ale zabrać dziecku nogę?

– I nie ma żadnych szans?

– Są. Dana-Farber Cancer Institute w Bostonie, szpital w Stuttgarcie oraz klinika w Wiedniu. Każdy z tych ośrodków podejmie się leczenia małej bez konieczności amputacji nogi. Tamtejsi lekarze są w stanie przeprowadzić operację usunięcia guza wraz z bezpiecznym marginesem tkanek miękkich. Operacja swoim zakresem obejmie również kolano. Konieczne będzie wstawienie endoprotezy całego stawu kolanowego, przeszczep mięśni i skóry, ale mała zachowa nogę. Tylko...

No tak.

Pieniądze.

Godzinę później, kiedy tata pożegnał się z córeczką i obiecał, że wieczorem wpadną razem z mamą i starszą siostrą, Karolina postanowiła wypuścić w powietrze swój pierwszy balonik. Trochę bawiło ją i Wiktora, że zupełnie nikt nie zwraca na nich uwagi. Pewnie dlatego, że oboje byli łysi, automatycznie więc kojarzono ich z pacjentami z innego piętra. Postanowili, że następnym razem zabiorą ze sobą szlafroki i kapcie, co jeszcze bardziej ułatwi im kamuflaż. Wśród łysych łebków, mniejszych i większych, byli tylko kolejnymi łysolami, snującymi się po szpital-

nym korytarzu. Nie był to na szczęście Oddział Wzmoczonego Nadzoru, nie było tu też żadnych izolatek, mogli zatem spacerować po korytarzu, choć oczywiście w ramach rozsądku.

Dziewczynka leżała w sali numer trzy, z dwójką innych dzieci, z których jedno spało i nawet poświstywało przez nos, a drugie słuchało muzyki przez słuchawki.

– Cześć – szepnęła Karolina, a Wiktor stanął po drugiej stronie łóżka i z zaciekawieniem patrzył na kroplówkę.

Kap. Kap. Kap. Czy to ma jakiś rytm?

Dziewczynka spojrzała na nich ze zdziwieniem typowym dla dziecka – po upływie trzech sekund nic już ją nie dziwiło, tylko cieszyła się na widok kogoś nowego.

– Skąd jesteście?

– Z parteru – powiedziała niepewnie Karolina. Chyba tam był właśnie oddział dla starszych dzieci. A może na drugim?

– Ty jesteś chora, prawda? – Mała spojrzała na nią rezolutnie, a potem przeniosła wzrok na Wiktora. – Ale ty tylko ogoliłeś głowę. Ja to wiem. – Puściła do nich oko.

Karolina roześmiała się. Mała była absolutnie cudowna.

– Jak masz na imię?

– Nina.

– Ja jestem Karolina, ale możesz mówić do mnie Rolka, a to mój brat Wiktor. A to z kolei... – Wyjęła z torebki czerwony balonik. – To jest nasz prezent dla ciebie.

Nina aż podskoczyła.

– Jak to? Ja nie mam urodzin.

– No właśnie – powiedział Wiktor. – A my dajemy prezenty nie z okazji urodzin, tylko zupełnie zwykłego dnia.

– Takiego wtorku właśnie?

Oboje kiwnęli głowami.

– Balonik?

– Ale nie taki zwykły. Otóż musisz do niego włożyć kartkę ze swoim największym marzeniem. Albo przyczepić ją do sznurka. Potem nadmuchamy balonik i wypuścimy go do nieba.

– I jeśli moje marzenie przeczyta ktoś z góry, jakiś anioł może albo sam Pan Bóg w przerwie między piciem herbatki, to się spełni?

Karolina zamilkła. No... W sumie... Dlaczego nie?

– Tak właśnie się stanie. Oczywiście taki balonik może potrzebować trochę czasu, zanim doleci do nieba i zanim ktoś przeczyta karteczkę, ale to się naprawdę zawsze sprawdza. No to jak? Jakie masz marzenie?

Nina zastanowiła się przez chwilę, a Karolinę oblał zimny pot. A jeśli to będzie życzenie nie do spełnienia? Prośba o coś, czego nawet tuzin aniołów nie byłby w stanie ziszczyć?

– Chciałabym, żeby odwiedziła mnie Little Unicorn.

Karolina zamarła tym razem na nieco dłużej, na szczęście Wiktor od razu wiedział, o kogo chodzi.

– Ta piosenkarka?

Nina uśmiechnęła się.

– Ja ją kocham, bo ona kocha jednorożce. I do tego pięknie śpiewa.

Czy to było realne? Karolina nie miała pojęcia, czy ktoś, kto nazywa się Little Unicorn, będzie w ogóle chciał z nią rozmawiać, ale teraz na takie przemyślenia było już za późno.

Pomogła napisać Ninie życzenie, zapakować je do balonika, a potem go nadmuchać. Był piękny. Duży, czerwony, z białym liścikiem w środku. Wiktor otworzył okno i Nina z zaaferowaną miną wypuściła balon z ręki. Nie był napełniony helem, a jednak poszybował w górę, porwany przez wiatr i niesiony wzrokiem małej dziewczynki stojącej w oknie pierwszego piętra Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego z oddziałem Onkologii i Hematologii Dziecięcej.

Little Unicorn.

Karolina zrozumiała, że nie będzie łatwo.

MAGDALENA

Był taki chłopczyk

Idę z Olkiem przez miasto i staram się wylapywać zapachy. Przez ostatni czas niewiele czułam, ale teraz wiem, że muszę wrócić do normalności. Szczelina w naszej codzienności została na chwilę zalepiona i jakoś tak podskórnie czuję, że na razie nie muszę się bać, iż znowu w nią wpadnę. To nie jest może stabilna konstrukcja, raczej liście i mech niż beton, ale najważniejsze, że można po niej przejść. Wyniki rezonansu Oli są dobre. Wyniki krwi w porządku, wyniki moczu również. Koniec roaccutanu, koniec leczenia.

Idę więc i wącham miasto. Świeży chleb, parująca kawa w papierowym kubku, jakieś perfumy dusząco-mdlące, deszcz i zapach psiej sierści. Oddycham pełną piersią. Jeszcze nie puściło tak do końca, jeszcze czuję obręcz na żołądku, ale powoli zaczynam dostrzegać innych ludzi. Widzę, jak idą do pracy, do szkoły, jak się spieszą lub wręcz przeciwnie. Widzę, jak wsiadają do autobusów, jak przebiegają przez ulice. Wracają zmysły, krew chyba znowu płynie normalnie. Chciałabym spotkać tego artystę, który tak pięknie narysował Olę o rok starszą i na wszelki wypadek zamówić u niego kolejny portret. Ale jest zimno, pada deszcz, który wszystko by rozmazał.

Trudno, poczekam, aż zrobi się ładnie.

Aleksander mówi, że z każdym dniem jestem coraz silniejsza. I że on jest strasznie ze mnie dumny. Potrafię rozmawiać o śmierci. Ola mnie tego nauczyła i te wszystkie maluchy z jej oddziału. Siostra Lilka powiedziała mi kiedyś, że dzieci znacznie mniej boją się umierania niż ich rodzice.

Był taki chłopczyk...

Bardzo chciał odpocząć, ale mama mu nie pozwalała.

– Nie możesz mnie zostawić samej, nie możesz. – Doskonale ją rozumiałam, przecież powiedziałabym Oli to samo! Ale kiedy widziałam, jak cierpi, dopadały mnie wątpliwości. Czy matce wolno pozwolić dziecku na odejście? A czy wolno na siłę je zatrzymywać?

Siostra Lilka była bardziej stanowcza.

Lato, upał, piękna pogoda. Ten chłopczyk naprawdę nie miał już na nic siły. Cała rodzina zebrała się przy nim w izolatce. Przez otwarte okno wypadały krzyki, lamentsy, żale, płacz, a wpadało ciepłe powietrze i jasne promienie słońca. A on uspokajał mamę i mówił: „Będzie dobrze, zobaczysz”. Siostra Lilka weszła wtedy i powiedziała spokojnie, kucając przed matką: „Pozwól mu odejść. On musi, ale nie potrafi, bo czuje, że powinien cię wspierać. A to ty masz pomóc jemu”.

Ale ja rozumiem każdą reakcję. Można obrazić się na Boga, można wyć, można zamilknąć na wieki. Usprawiedliwiam wszystko. Wszystko, jeśli dotyczy

to własnego dziecka. Nie ma reguł, zasad zachowania się, punktów, które należy przestrzegać. Nie ma niczego. Jest ból.

Mama tego chłopczyka zamknęła wtedy oczy i spokojnym głosem poprosiła, żeby wszyscy wyszli z pokoju.

Piętnaście minut później jej synek zasnął z delikatnym uśmiechem na twarzy.

W samotności nie da się żyć, ale można w niej umierać. Śmierć jest intymnością. Kładka prowadząca na drugi brzeg jest w stanie pomieścić tylko jedną osobę i najwyraźniej jest w tym jakiś sens.

Olek milcząco kiwa głową, zupełnie jakby słyszał moje myśli. Mam wrażenie, że coraz częściej rozumiemy się bez słów.

– *A jeśli pewnego dnia będę musiał odejść?* – spytał Krzyś, ściskając misio-wą łapkę. – *Co wtedy?*

– *Nic wielkiego* – zapewnił go Puchatek. – *Posiedzę tu sobie i na Ciebie poczekam. Kiedy się kogoś kocha, to ten drugi ktoś nigdy nie znika*³.

3 A.A. Milne: *Kubuś Puchatek*. Przeł. I. Tuwim. Nasza Księgarnia. Warszawa 2004.

KAROLINA

Little Unicorn była prawdziwą gwiazdą, choć miała zaledwie szesnaście lat. Była tylko rok starsza od Karoliny! Oczywiście, że Karolina o niej słyszała, tyle tylko, że nie przepadała za tym właśnie stylem muzycznym. Coś pomiędzy hip-hopem, ale z dużą ilością dziwnych dźwięków, co koniec końców tworzyło rodzaj muzyki electro, kompletnie niezrozumiałej dla Karoliny, za to fascynującej Ninę.

– Mała zna się na muzyce – orzekł Wiktor i z uznaniem pokiwał głową.

– Co ty nie powiesz? Te chaotyczne dźwięki, gdzie głos nie ma żadnego znaczenia, nazywasz muzyką? – Karolina wzruszyła ramionami, by wyrazić brak zrozumienia. – Mam wrażenie, że Little Unicorn wymyśliła to tylko po to, by zagłuszyć swój całkowity brak talentu.

– Nie wiesz, co mówisz, siostra. Electro ma swoje korzenie jeszcze w latach osiemdziesiątych. Słyszałaś o Afrika Bambaataacie?

– Bamba co?

– Bambaataa.

– Nie, mój drogi bracie, choć przyrodni. Nie słyszałam. Poza tym, że brzmi jak postać z kreskówki, nic mi to nazwisko nie mówi.

Mówiło za to Little Unicorn, choć zanim doszło do jakiegokolwiek rozmowy z nastoletnią gwiazdą, Karolina musiała się nieźle natrudzić.

– Skąd weźmiemy do niej namiary? – spytała Wiktora.

– Trzeba pogrzebać w Internecie. Pewnie ma swoją stronę autorską, a tam zawsze jest jakiś kontakt.

Był.

Do menadżerki, która za żadne skarby nie chciała słyszeć ani o chorym dziecku, ani o charytatywnym śpiewaniu, a na dźwięk słowa „mięsak” prawie wrzasnęła:

– Proszę mnie nie straszyć!

Karolinę na chwilę przytknęło, ale postanowiła nie dać się wyprowadzić z równowagi i niezrażona kontynuowała swoją misję.

– Przecież ja pani niczym nie straszę, opowiadam po prostu o małej, chorej dziewczynce, której marzeniem jest poznanie Little Unicorn.

– Proszę pani, każdy chce ją poznać.

„Nieprawda” – pomyślała Karolina.

– Każdy chce ją zobaczyć, dotknąć i najlepiej od razu się zaprzyjaźnić. Ale to jeszcze nie powód, żebyśmy ulegali tej zbiorowej histerii.

„Histerii?”

– Little Unicorn jest ogromnie zapracowana. W zasadzie ani w tym roku, ani do czerwca następnego nie mamy żadnych wolnych terminów. Koncerty, wywiady, nagrania, tournée, spotkania z fanami.

– Nina też jest jej fanką.
– To niech przyjdzie na spotkanie.
– Nie może. Leży chora w szpitalu i grozi jej amputacja nogi.
– Proszę przestać!
– Ale z czym?
– Pani szarżuje nieszczęściem.
„Szarżuje?”
– Atakuje brutalnością przekazu, próbując tym samym wymusić na nas współczucie.
– Myślałam, że współczucie pojawia się automatycznie, kiedy mowa jest o chorym dziecku marzącym tylko o jednym. Żeby się spotkać ze swoją idolką.
Menadżerka chrząknęła niejednoznacznie, a potem oznajmiła.
– Little Unicorn też była chora. Ale nie epatowała tym na prawo i lewo.
– A co jej było?
– Stan zapalny zatok.
Karolina wzięła głęboki oddech. „Dobrze, że nie wrastający paznokieć” – pomyślała i spróbowała raz jeszcze.
– Ale my tu mówimy o mięsaku kości...
– Aaaaaa! – wrzasnęła menadżerka – proszę natychmiast przestać. Mięsak!
W życiu nie słyszałam bardziej nieprzyjemnej nazwy!
– Nie wymyśliłam jej.
– Nie ufam pani. I proszę więcej nie dzwonić.
Kiedy Karolina powtórzyła Wiktorowi rozmowę, ten aż usiadł z wrażenia na podłodze.
– Niedobrze. Jeśli jedyny kontakt z Little Unicorn jest tylko przez tę jej menadżerkę, to mamy problem.
– Niestety. I obawiam się, że nawet elf o włosach jak puch ostu nie bardzo wiedziałby, jak potraktować to babsko. Mógłby ją najwyżej zmienić w motylicę wątrobową. – Wzdrygnęła się. – Jak ona ma w ogóle na imię?
– Menadżerka?
Karolina zamachała w powietrzu rękami.
– Nie, ta cała Little Unicorn.
– Hmm. Tylko się nie śmieję. Kordula.
Karolina zawyła bez żadnej litości, a potem otarła dłońmi powieki.
– No to nie dziwię się, że ukryła tożsamość pod rogiem jednorożca. – Sięgnęła po jabłko i zamyśliła się. – Jesteśmy w dupie, wiesz?
Wiktor przytaknął.
– Ale z niej wyjdziemy – powiedział stanowczo i poklepał się po łysej głowie.
Little Unicorn, która w rzeczywistości była Kordulą Nowak, marzyła o jed-

nym. Chciała pojawić się na okładkach pism nie tylko dla piszczących nastolatków, ale również w poważniejszych magazynach, które – jak do tej pory – starannie jej unikały. W cenie był bowiem jazz, soul, muzyka etniczna, ale nie taka wpadająca w ucho, tylko przypominająca raczej dźwięki ziewającego makaka. Nikt nie traktował poważnie szesnastoletniej dziewczyny, która nosiła blond perukę z doczepianym rogiem oraz ubierała się w biały kostium z ogonem w kolorze tęczy.

A jednak mama Wiktora, której zwierzyli się ze swoich pierwszych niepowodzeń, od razu wyczuła, co drzemie w Little Unicorn i w jaki sposób można nakłonić jednorożca do odwiedzenia chorego dziecka w szpitalu we Wrocławiu.

– Naprawdę ma pani jakiś pomysł? – ucieszyła się Karolina.

– Ta dziewczyna daleko zaszła i otrzymuje całe mnóstwo próśb. To oczywiście jest dla niej na swój sposób miłe, z drugiej jednak strony, czuje się wykorzystywana. Moim zdaniem powinniście jej coś zaoferować, a nie prosić o przysługę.

Karolina zastanowiła się, patrząc jednocześnie z podziwem na Wiktora, który wprawnym ruchem rozgniół banana, zmieszał go z mlekiem, płatkami owsianymi i garścią zmiksowanych orzechów, a potem całość wymieszał i zaczął nakładać do foremek po muffinkach.

– Co robisz? – spytała, odpływając na moment w myślach od Little Unicorn i czując, jak jej kubki smakowe zaczynają tańczyć na podniebieniu.

– Owsiane miseczki z bananem i orzechami. Potem je upiekę, nałożę jogurtu i świeże owoce.

Karolina przełknęła ślinę. Ona w kuchni potrafiła co najwyżej zagotować wodę na herbatę. Nie do końca wiedziała też, ile minut gotuje się jajko, żeby było miękkie, z wypływającym żółtkiem.

– Niezły jesteś – oznajmiła, już czując smak pieczonych owsianych miseczek i kwaskowatość malin oraz naturalnego jogurtu.

Aż pojaśniał z dumy.

Tymczasem mama Wiktora wybrała numer telefonu do menadżerki Little Unicorn i zanim ta zdążyła cokolwiek powiedzieć, oznajmiła stanowczym, zdecydowanym i bardzo profesjonalnym tonem:

– Katarzyna Maria Kareńska, tygodnik „Newsweek”. Chcielibyśmy przeprowadzić wywiad z Little Unicorn, absolutną mistrzynią rodzimego stylu electro.

Karolina i Wiktor spojrzeli na nią z uznaniem, wymieszanym z dużą porcją zaskoczenia. Że też sami na to nie wpadli!

Siedem minut później mieli już termin.

– Czwartek, godzina szesnasta, ale dopiero za dwa tygodnie. Nowy Świat. O, a tutaj jest nazwa kawiarni. – Zapisała im na kartce. – I tak, wiem, że chcecie jak najwięcej zrobić sami, ale pozwólcie chociaż zawieźć się samochodem do Warszawy. Przyrzekam, że poczekam na was i nie będę się w nic mieszać. No chyba że sami mnie o to poprosicie.

Karolina wpakowała do ust gorącą jeszcze miseczkę z płatków owsianych wypełnioną jogurtem i kilka razy skinęła głową.

– Jezu, jakie to pyszne – wybełkotała, wywracając oczami. – Mogę jeszcze siedem?

– Siedem? – zdumiał się Wiktor. – Pękiesz.

– Wiem. Ale szczęśliwa.

Pokój Wiktora był absolutnym potwierdzeniem jego indywidualności. I nie, nie było w nim wypchanego kangura. Za to znajdował się rodzaj domku na drzewie, który był łóżkiem. Aby się do niego dostać, należało pokonać podwieszany mostek ze sznurka. Mniej wprawna osoba zapewne potrzebowałaby kilku prób, zanim udałoby jej się wejść do własnego łóżka, ale Wiktor był sprawny jak małpa. Na całym suficie znajdowało się lustro, co optycznie powiększało pokój i dawało wrażenie nieograniczonej przestrzeni. Lustro pokrywało też jedną ze ścian, na drugiej zaś znajdowała się trójwymiarowa tapeta przedstawiająca ciemną ulicę z latarniami. Całość była tak magiczna i bajkowa, że Karolina po raz pierwszy nie wiedziała, co powiedzieć.

– Sam to wszystko wymyśliłeś? – spytała w końcu.

Kiwnął głową zadowolony, że jej się podoba.

– Niesamowite – wyszeptala. – Naprawdę niesamowite.

Całe mieszkanie było dość ładnie urządzone, prosto, ale ze smakiem. Nie czuło się w nim jednak obecności Krzysztofa, być może dlatego, że raczej bywał tu gościem, niż rzeczywiście mieszkał. Poza tym nie zaglądała do sypialni, nie grzebała też w łazienkowych szafkach. Na korytarzu wisiało kilka wspólnych zdjęć, wszystkie z czasów australijskich. Zerknęła szybko na swojego ojca. Ciemne włosy, uśmiech jakiś taki sobie, prosty nos. Pewnie minęłaby go na ulicy, nie zahaczywszy nawet wzrokiem.

I dobrze. Nadal nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

– Rolka, a czemu właśnie balony? – zapytał nagle Wiktor.

Usiadła po turecku na puszystym, zielonym dywanie.

– To taki symbol. Balon zawsze gdzieś odlatuje i w zasadzie nigdy do nas nie wraca. Z chorobą też tak powinno być. Powinna po prostu zniknąć z naszego życia. A przy okazji jakoś wynagrodzić choremu to, że nieźle oberwali po dupie. I spełnić choć jedno marzenie.

Uśmiechnął się.

– Fajne. Ależ się cieszę, że cię mam – powiedział jeszcze, a Karolina chrząknięciem zakryła podkradające się do gardła wzruszenie.

– Jakieś ziarenko z tych owsianych babeczek chyba mi utknęło – wyjaśniła jeszcze, żeby nie było żadnych wątpliwości.

MAGDALENA

Pikuba

– Jestem oburzona – oznajmiła mi dzisiaj moja mama. – Wyobraź sobie, że córka mojej znajomej, której syn będzie miał komunię...

– Pogubiłam się – przerwałam jej na moment.

– Córka ma syna. To wnuczek mojej koleżanki – wyjaśniła mi niecierpliwie mama. – Ale wróćmy do tematu. Komunia. I lista prezentów, którą należy uwzględniać, jeśli chce się przestrzegać protokołu komunijnych zasad. Otóż komunია dzisiaj to wyzwanie. Podobno na liście topowych prezentów znajduje się KOŃ. A jeśli dziecię nie chce konia, może dostać quada. To straszne, bo ty dostałaś zegarek oraz srebrny pierścionek i byłaś bardzo szczęśliwa. Teraz widzę, że niesłusznie. Powinnaś była naciskać na konia, najlepiej wraz ze stajnią i stajennym albo przynajmniej na megawycięgowy rower, który w czasach Wigry 3 wyniosłby cię na wyżyny popularności.

Roześmiałam się.

Co to za życzenia?

Kiedy patrzę na Olę, jak siedzi przy stole i je płatki z mlekiem, zastanawiam się, jak w ogóle można mieć inne marzenia? Szczęście to przecież właśnie te płatki z mlekiem odrobinę rozlanym na stole. To niedojedzona kanapka z dżemem i droczenie się Oli z Mateuszem. Jaką bajkę będą oglądać, kto może zjeść ostatnią truskawkę i kto komu pierwszy pokazał język.

Pikuba.

Kiedy Ola wróciła pierwszy raz ze szpitala, Mateusz dopadł do niej i zaczął całować ją w stópki. I powtarzał co chwila: „Jesteś nareszcie, Pikubo ty moja”.

Nikt nie wie, czemu Pikuba. Ale tak już zostało.

Po co komu koń?

Dzieci jednak szybko zapominają i to jest w nich takie piękne. Nie żywią urazy, nie roztrząsają przeszłości, nie pamiętają, że wczoraj kogoś nie lubiły. Każde dzisiaj jest nowe jak czysta kartka, którą można zapisać w dowolny sposób.

Oddaj!

Moje!

Nie rozmawiam z tobą!

Głupi!

Mamo, powiedz jej coś!

Bardzo chciałabym je skarcić, ale nie mogę. Uśmiecham się sama do siebie i dziękuję za te kłótnie.

Próbuję trochę oszukać podświadomość i wmówić jej, że już nigdy nie odwiedzimy szpitala na dłużej niż na rutynowe badania kontrolne. Nie jest łatwo,

bo mózg automatycznie wysyła sprzeczne myśli oklejone strachem. Pytanie, co jest silniejsze i co bardziej wpływa na moją podświadomość. To, co głośno mówię i myślę, czy te małe lęki, pływające w mojej głowie niczym rybki w akwarium. Zagłuszam je, nie daję pokarmu, żeby same zakończyły żywot, a jednak ciągle czuję ich ruchy.

Z notatek lekarza:

W przypadku podejrzenia progresji lub nawrotu choroby konieczne jest wykonanie badań laboratoryjnych tak jak w przypadku pierwszego rzutu choroby. Wznowy neuroblastomy występują na różnych etapach leczenia, bez względu na metodę terapii, nawet krótko po wykonanym autologicznym przeszczepieniu komórek macierzystych. W przypadku wznowy po radykalnym usunięciu chirurgicznym guza pierwotnie zlokalizowanego, pacjentów można skutecznie leczyć chemioterapią.

Nie podoba mi się określenie „wznowa na różnych etapach leczenia”. Tego właśnie boję się najbardziej. Zwłaszcza że już to przeżywaliśmy. I nie wolno mi pielęgnować trzęsących się ze strachu myśli, bo urosną w głowie niczym magiczna fasola w bajce o Jasiu.

- Mamo, Pikuba mnie kopie.
- Nie kopię.
- Kopiesz.

Szczęście to kopanie się pod stołem.

Szkoda tylko, że zło i dobro zawsze idą ze sobą w parze. Raz jedno, a raz drugie wysuwa się na czoło peletonu wszystkich naszych emocji i nigdy nie wiadomo, które tak naprawdę wygra. Ale może szczęście nie smakowałoby tak dobrze bez dodatku sosu tabasco?

KAROLINA

Ogromny różowy domek.

Wiktor zabawnie wywrócił oczami, ale Karolina tylko się uśmiechnęła.

– Daj spokój. To chyba normalne, że dziewczynki w tym wieku lubią różowy kolor.

– No wiem, ale ciągle wydaje mi się to niepojęte. Dlaczego właśnie róż?

– To ja ci coś teraz powiem. Wiesz, że kiedyś było na odwrót?

– Jak to?

Skinęła głową.

– Podobno jeszcze jakieś sto lat temu chłopców ubierano na różowo, wychodząc z założenia, że to bardzo silny, stanowczy kolor. Z kolei błękit wydawał się delikatny i ulotny jak dziewczynki. Nic dziwnego, że teraz to się zmieniło. – Parsknęła śmiechem.

Wiktor spojrzał na nią spod oka.

– Co masz na myśli?

– No wiesz, to my kobiety jesteśmy częściej silne i zdecydowane, a z facetami bywa różnie. Mój, przepraszam, nasz ojciec jest chyba tego najlepszym przykładem.

Wiktor postanowił nie komentować tej wypowiedzi, zwłaszcza że nie była zbyt daleka od prawdy. Ojciec ciągle siedział w Australii, rzekomo zamykając ostatnie zlecenia, ale to i tak nie tłumaczyło go w żaden sposób. Rolka była chora. Nawet jeśli się nią nie interesował przez ostatnie lata, to powinien przynajmniej teraz przyjechać i chociaż udawać, że chce w jakikolwiek sposób pomóc. Zdecydowanie był zbyt słaby, by nosić różowy kolor. Trochę usprawiedliwiał go fakt, że nadal o niczym nie wiedział, ale, zdaniem Wiktora, powinien był się domyślić. Rodzice mają coś takiego jak szósty, a nawet dwudziesty szósty zmysł. Najwyraźniej jego ojciec nie miał żadnego.

– Słuchaj, mama na pewno da nam pieniądze na taki domek...

Karolina gwałtownie mu przerwała.

– A może zrobimy go sami? Żeby nie był kupiony, tylko od podstaw stworzony. Przez każdego, kto będzie chciał pomóc. Ty, ja, twoja mama, moja pewnie też. Poproszę też kolegów z klasy. Mam przewagę, że chorym się nie odmawia, bo to może przynieść pecha. – Puściła do niego oko.

Rzeczywiście, kiedy ogłosiła publicznie w swojej klasie, że jest chora, coś się zmieniło. Nie została wprawdzie klasową maskotką, ale odnosiła dziwne wrażenie, że jest bardziej lubiana. Lub przynajmniej zauważana. Zupełnie odwrotnie niż w przypadku znajomych mamy, którzy coraz rzadziej do nich dzwonili i prawie przestali ich odwiedzać. Widocznie nastoletnie umysły były bardziej odporne na raka i doznawały czegoś w rodzaju potrzeby współodczuwania. W końcu to była

ich klasowa koleżanka. Nie oddadzą jej tak szybko, a już na pewno nie bez walki.

Karolina została w międzyczasie zaproszona na dwie spontaniczne imprezy, jeden wypad do kina, a nawet małą rundkę po sklepach, którą zaproponowała jej klasowa piękność Marianna i chociaż zakupy okazały się dość nudne, to Karolina i tak poczuła się ciut lepiej. Nawet jeśli to Marianna zakupiła sześć nowych sukienek, majtki składające się z miniaturowej koronki oraz sznurka i trzy pary butów, a Karolina tylko podkoszulkę z roześmianym kaktusem.

– Super było! Następnym razem znowu idziemy ty i ja! – zawołała Marianna.

„Nigdy” – pomyślała jednocześnie Karolina, głośno obwieszczając: – Koniecznie!

Ogromny różowy domek był równie ogromnym i różowym marzeniem czteroletniej Antosi z Kliniki Pediatrii, Hematologii i Onkologii w Bydgoszczy. Swoją drogą imponujące miejsce.

– Patrz, co tu robią. – Wiktor pokazał Karolinie ulotkę.

– „Oznaczanie fenotypu komórek nowotworowych w nowotworach układu krwiotwórczego. Antygeny błonowe, cytoplazmatyczne i jądrowe. Badanie apoptozy samoistnej i indukowanej farmakologicznie w komórkach nowotworowych” – przeczytał poważnym i niskim tonem, a potem się uklonił. – Rolka, czy masz ochotę na apoptozę samoustań?

– Samoistną chyba.

– A, no tak, chyba coś pomieszałem. Wchodzimy tam?

– Pewnie!

Bydgoszcz wybrali na chybił trafił. Od samego początku założyli sobie, że nie będą niczego zakładać. Planują dorośli, dzieci spontanicznie ulegają chwili. Zamykają oczy i celują palcem w mapę.

Karolina trafiła gdzieś w okolice Żnina, Wiktor w Grudziądz. Za wspólny mianownik uznali Bydgoszcz, po czym Wiktor natychmiast sprawdził w Internecie, czy mają tam szpital z oddziałem onkologicznym dla dzieci.

Tym razem pojechali autobusem (obie mamy bezskutecznie protestowały), w którym mniej więcej od połowy drogi starali się oddychać jak najrzadziej i naprawdę w sytuacjach koniecznych, bo inaczej po prostu zemdleliby z braku tlenu.

– Matko, co to jest? – szepnął Wiktor do Karoliny, której twarz przybierała wszelkie możliwe odcienie zieleni, by w końcu zdecydować się na kolor podgnitych wodorostów.

Nie zdążyła otworzyć ust, kiedy odezwała się pani siedząca obok i przewożąca coś na swoich kolanach.

Trupa?

– Flaki – powiedziała oschle.

No, to byli blisko.

– Ale jak to: flaki? – odważyła się spytać Karolina.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Zwyczajnie. Wiozę mężowi do szpitala, bo to jego ulubione danie. Normalnie nigdy aż tak nie śmierdziały – stwierdziła po chwili.

– Ale one są luzem?

– Też coś! W słoiku, tylko nie pasteryzowałam, bo wczoraj zrobiłam świeże. Zawsze je najpierw bardzo dokładnie czyszczę, najpierw nożem, a potem płuczę kilka razy w ciepłej wodzie. Odsączone posypuję grubą warstwą soli i szoruję twarogą szczotką, aż będą całkiem czyste. A potem znowu płuczę. Tak wyczyszczone zalewam zimną wodą i odstawiam na co najmniej godzinę.

– I wszystko to też zrobiła pani wczoraj?

– No właśnie nie pamiętam. Bo leciał mój ulubiony serial i być może coś przeoczyłam. – Nachyliła się nad siatką, pociągnęła nosem i próbowała powstrzymać się przed wzdrygnięciem.

– Śmierzą, kurwa – powiedziała w końcu.

Karolina i Wiktor doszli do wniosku, że nie ma sensu dłużej debatować nad niedomytymi flakami, tylko przesiąść się na tył autobusu, gdzie właśnie zwolniło się kilka miejsc.

– Nie powiemy o tym mamie, dobra? – upewnił się Wiktor, ale Karolina tylko się roześmiała. A potem zrobiła się zielona.

Antosia miała pięć lat i guza nerki, którego na szczęście udało się wyciąć w całości. Niestety wraz z nerką, ale Antosia zupełnie zdawała się tym nie przejmować.

– Mam tylko jedną, wiecie? Ale mama mówi, że dwie wcale nie były mi potrzebne.

Antosię czekała jeszcze chemia pooperacyjna, ale potem bardzo chciała już wrócić do domu. Różowy domek przyśnił jej się pewnej nocy, co więcej, kiedy do niego weszła, poczuła się tak dobrze jak nigdy dotąd. Postanowiła uwierzyć w ten sen, bo przecież była dzieckiem. W sytuacjach awaryjnych nawet dorośli wierzą we wszystkie możliwe znaki, a co dopiero pięcioletnie dziewczynki.

– Jak chcesz to zorganizować? – spytał Wiktor.

Karolina była ogromnie podekscytowana.

– Poproszę moich kolegów z klasy, tych, którzy jeszcze nie wyjechali na wakacje. Albo już z nich wrócili. Z Poznania do Bydgoszczy nie jest daleko, na pewno uda się zorganizować jakiś transport. Zbudujemy domek tutaj, od razu, w ogrodzie Antosi. Ale się cieszę! – Aż podskoczyła.

Rzeczywistość czasem wystarczy zakląć. Wyobrazić sobie swój plan jako idealny i skończony, a wtedy nikt nie rzuca kłód pod nogi. Lub są one tak małe, że wystarczy je przeskoczyć. Antosia mieszkała z mamą i dziadkami, którzy początkowo nie bardzo wiedzieli, jak zareagować na wizytę łysej dziewczynki i pra-

wie łysego chłopca, którzy z wypiekami na twarzy tłumaczyli im, że trzeba koniecznie wybudować domek w ich ogrodzie.

– Czy to jest jakiś program telewizyjny? – spytała mama Antosi.

– Nie, absolutnie nie. To pomysł mój, mojego brata oraz pani córki. To znaczy ona nam powiedziała, że marzy o różowym domku, a my postanowiliśmy to życzenie spełnić. Oczywiście nie sami, tylko z pomocą naszych znajomych.

– Ale dlaczego? – Mama Antosi nie do końca wierzyła w czystą bezinteresowność, co właściwie było dość zrozumiałe. Bezinteresownie to srały tylko gołębie na miejskie pomniki.

Karolina zawahała się na moment.

– Jak to dlaczego? – zdumiał się jednocześnie Wiktor. – Bo to marzenie pani córki. A marzenia trzeba spełniać i to niekoniecznie tylko w okolicach świąt Bożego Narodzenia.

Mama Antosi wbiła w niego zaskoczony wzrok.

– Przyznasz jednak, że to dość nietypowa propozycja. Zwłaszcza że w ogóle was nie znam.

Skinął głową.

– Trochę już tak. Wie pani, że jestem Wiktor, a to moja siostra Karolina. Rolka. I wie pani również, że odwiedziliśmy w szpitalu Antosię, która zdradziła nam swoje marzenie. Naprawdę nie wiem, co jeszcze chciałaby pani wiedzieć. – Spojrzał na nią pytająco.

Mama Antosi nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, więc na wszelki wypadek się zgodziła. Pod warunkiem jednak, że nie naciągną jej na jakieś straszne koszty, bo tak się składa, że większość pensji idzie na leczenie córki.

– Nie naciągniemy na żadne – obiecał Wiktor i podniósł uroczyście dwa palce w górę.

A potem zastanowił się, czy jego skarbonka to wytrzyma.

Nie musiała.

Kiedy Karolina zadzwoniła do swoich kolegów z klasy, nie spodziewała się aż takiego odzewu. Stawili się następnego dnia u niej w domu, w siódmkę. I był też Paweł, którego Karolina bardzo chciała zignorować, niestety w tym samym momencie jej budzące się do dorosłego życia hormony zatańczyły walca i zaróżowiły ślicznie policzki. Trudno, jakoś sobie z tym poradzi. Miała wprawdzie wyrzucić go ze swojego umysłu, ale najwyraźniej los chciał inaczej. Dobrze, więc trochę o nim pomyśli...

Paweł był kimś, na kogo wyjątkowo nie zwracała uwagi, zwłaszcza po pierwszej diagnozie. Postanowiła nie uruchamiać w sobie pokładów ewentualnego zauroczenia, tylko najpierw rozprawić się ze Świniakiem. Potem będzie czas na inne rzeczy, w tym również na niezrozumiałe szarpnięcia nastoletnim sercem. Ale nie teraz. Teraz to byłby falstart.

– Wymyśliliśmy coś mega – na czoło grupy wysunęła się Ala, która do tej pory kojarzyła się Karolinie wyłącznie z dylematami dotyczącymi wyboru lakieru do paznokci. Najwyraźniej niesłusznie.

– Każdy z nas pozbiera z domu lub od znajomych jakieś stare graty, niepotrzebne meble, naczynia, cokolwiek, co może nam się przydać. Za kieszonkowe dokupimy to, co będzie absolutnie konieczne. I jest coś jeszcze. Tata Pawła – Karolina udała, że nie słyszy jak jej wnętrzności tąpnęły donośnym *forte* – zawiezie nas tam swoim minibusem i nawet trochę pomoże. Jeśli mama Antosi zgodzi się nas przenocować w ogrodzie, to całość załatwimy w weekend. Co ty na to?

No właśnie. Niesłuszne sklasyfikowanie kogoś tylko na podstawie lakieru do paznokci. Karolinie zrobiło się trochę wstyd, ale pomyślała, że przecież każdy może się czasem pomylić.

– Bardzo wam dziękuję – powiedziała tylko i zerknęła w wiszące za nią lustro. Amarantowa chustka na głowie była zdecydowanie dobrym wyborem. Do tego oczy, których błyszczenia nie planowała, oraz ogólnie całkiem zdrowy wygląd.

Nie, żeby to miało jakieś znaczenie...

Tydzień minął szybciej, niż się tego spodziewała. Mama początkowo chciała jechać z nimi, w końcu jednak uznała, że obecność taty kolegi z klasy z pewnością im wystarczy. Zrobiła jednak dla wszystkich zapas kanapek, ufarbowała też stary abażur na różowo i doszyła do niego mięciutkie pompony.

– To lampę już macie – powiedziała z dumą i wręczyła swojej córce prezent.

W busie Karolina jakoś tak odruchowo usiadła obok Pawła, choć właściwie to była wina Wiktora, który w ostatniej chwili zmienił zdanie i koniecznie chciał siedzieć z przodu. Ustąpiła mu więc miejsca, w końcu to młodszy brat. Bardzo ładnie ten Paweł pachniał. Cynamonem odrobinę i czymś ziołowym.

Nieważne. To wszystko jest nieważne, przecież i tak musi poczekać. To nie jest dobry czas na wążanie kolegów z klasy.

Nie można opóźnić uczuć. Jest teraz albo nigdy – zaśpiewało coś w jej głowie, czego absolutnie nie chciała słuchać. Wbiła wzrok w krajobraz za oknem i postanowiła prawie w ogóle nie zwracać uwagi na Pawła. A kiedy niechcący ich kolana się dotknęły, poczuła tak silne kopnięcie prądem, że aż w jej ustach pojawił się metaliczny posmak.

Paranoja.

To nie ma prawa tak się odbywać.

MAGDALENA

Komu podpadliśmy?

Chyba się źle ubieram. W beznadzieję, brak wiary i szorstkość na innych. Nawet moje włosy pachną smutkiem. Huśtawka nastrojów jest tak naprawdę zmienną amplitudą strachu. Raz jest mały, maleńki jak łebek od szpilki, innym razem rośnie jak ciasto drożdżowe. Nigdy nie wiesz, jak duży będzie danego dnia. I nawet nie do końca ma to związek z wynikami Oli, raczej z moją osobistą wiarą w cuda. Boga. Medycynę.

Pamiętam dzień, w którym Aleksander dostał szału. Jakby ta cała niepewność wymieszana z ciągłym czekaniem, wylała się z niego jak woda, w której ktoś zrobił za dużo piany. Dzień Babci. Zamiast rysować laurki, zamiast piec ciasteczka i kupować kwiaty, dostajemy informację ze szpitala, że stan Oli jest ciężki. I że dziecko może nie przeżyć.

I kiedy okazało się, że jednak znowu udało nam się pokonać kolejną górkę, że jednak jest jakieś „dalej” i ciągle walczymy, Olek usiadł na podłodze w szpitalu i zanurzył ręce we włosach. Zupełnie jakby zeszło z niego całe powietrze.

– Jadę na piłkę – rzucił nagle.

Zdziwiłam się, ale nic nie powiedziałam. Wstał, przytulił mnie i pojechał do domu po sportową torbę. Widocznie musiał odreagować.

Ale złość nie zawsze z nami współpracuje. Czasem nawet ona podstawia nam nogę. Tej wściekłości na świat, na chorobę, na wszystko, z czym musimy się mierzyć od tylu miesięcy, nie udało się tak po prostu wyrzucić, kopiąc piłkę.

– Jestem w szpitalu – dowiedziałam się godzinę później przez telefon.

– Jak to? – przeraziłam się natychmiast. – Przecież ja tu jestem!

– Nie... Tu chodzi o mnie. Coś mi w kręgosłupie strzeliło...

Jeśli to była jakaś próba losu, to muszę przyznać, że chyba nieźle komuś podpadliśmy.

Mam teraz dwie ukochane osoby w szpitalu. To pewnie dlatego, żebym się w życiu za bardzo nie nudziła.

Poszłam na spacer. Stałam na wietrze i deszczu tak długo, aż zmarzłam również od wewnątrz. Dobrze jest czasem się tak przemrozić. Wskakujesz potem pod gorący prysznic i już po chwili czujesz, jak wraca ci czucie w palcach, a po cieple rozlewa się przyjemne ciepło. Owinęłam się miękkim kocem, postawiłam filiżankę z gorącą herbatą na stoliku, włączyłam muzykę. Taka namiastka normalności. Było mi ciepło, herbata pachniała earl greyem, a deszcz kąpał się za oknem we własnych strumieniach. I wszystko byłoby idealnie, gdyby nie fakt, że wybuchnęłam płaczem, mącąc tym samym swoją normalność słono-gorzkim potokiem, który pojawił się szybciej niż latem piegi na nosie.

I nie upiekę ciasta czekoladowego, choć miałam taki zamiar, bo dzisiaj, niestety, głęboko w dupie mam wszystkie czekoladowe ciasta świata. Łącznie z sufletami.

KAROLINA

– Ale serio, cały różowy? – upewnił się Paweł.

Następny zdziwiony.

Skinęła głową.

– To jest nawet naukowo wyjaśnione. Kobiety preferują czerwień i jej odcienie, bo taki właśnie kolor miały owoce i jagody zbierane przez nasze pramatki. A mężczyźni z kolei preferują niebieski, bo do ich zadań należało poszukiwanie czystej wody oraz obserwacja nieba i przewidywanie pogody. Kiedy niebo było błękitne, oznaczało to, że wszystko jest w porządku – powiedziała po prostu.

Uff.

Zdecydowanie lepiej, kiedy można porozmawiać na neutralne tematy.

Mama Antosi przyglądała im się w milczeniu. Upiekła wiadro drożdżowych rogalików z powidłami i postawiła przed gośćmi dzbanki z zimnym mlekiem i wodą. Postanowiła po prostu skorzystać z ich bezinteresowności, nawet jeśli ciągle miała jeszcze jakieś obawy. Ale może tym razem naprawdę to wszystko dla jej dziecka. Bez żadnego podtekstu. I bez zobowiązań.

– To zaczynamy – zadyrygował tata Pawła.

Fajny tata. Duży, barczysty, z brodą.

– Najpierw wbijamy kołki w ziemię, żeby zaznaczyć podstawę. A potem zaczniemy zbijać deski.

Deski zorganizował na własną rękę – za bezcen kupił odpady z tartaku, nieszlifowane i niezaimpregnowane. Przygotował je później sam, w garażu.

– Z piasku i płaskich kamieni zrobimy fundamenty pod belki. Każdą szczelinę trzeba dobrze wypełnić, żeby nam się domek nie zawalił.

– Ty też lubisz różowy kolor? – spytał Paweł Karolinę, sprawdzając jednocześnie poziomicą, czy pierwsza pionowa belka stoi absolutnie prosto.

– Lubię turkusy. I w ogóle wszystkie odcienie niebieskiego oraz zielonego. Pewnie dlatego, że kojarzą mi się z latem. A ty?

O Boże, to głupie pytanie. Jaki chłopak ma swój ulubiony kolor?

– Pomarańczowy. To przez tatę, który jest fanem Holandii. A dokładniej holenderskiej drużyny piłkarskiej, ale takiej dawnej, która wygrała mistrzostwo Europy. Z Rijkaardem i van Bastenem. I pewnie ten pomarańczowy kolor utkwił mi jakoś w podświadomości. – Uśmiechnął się do niej.

Dlaczego ona ma takie miękkie mięśnie? Czy to przez chorobę?

– Dobra, tu macie papę dachową. – Tata Pawła najwyraźniej był w swoim żywiole. – Przyklejcie ją między deskami w podłodze.

– Po co? – zdziwił się Wiktor.

– Papa zabezpieczy drewno przed wilgocią. A teraz budujemy ściany. – Upił łyk mleka i otarł dłonią usta. A potem się skrzywił.

– Prosto od krowy? – wyszeptał przerażony.
– Chyba tak – powiedziała Karolina.
– Czuję jej zapach. – Otrząsnął się tata Pawła i wziął kilka głębszych oddechów.

Zachichotała.

– Kiedy tata był mały, musiał u babci pić takie mleko. Tyle że kiedyś znalazł w skopku zdechłą mysz. I od tego czasu wszystko, co pachnie krową, oborą i sianem, chyba źle mu się kojarzy – wyjaśnił Paweł. – Miejmy nadzieję, że nie zemdleje, bo bez niego nie dokończymy budowy. – Puścił do niej oko.

Po czterech godzinach domek zaczynał nabierać kształtów. Brakowało mu tylko dachu oraz wykończeń. No i dopełniającego całości różowego koloru. Karolina mieszała farbę, podczas gdy pozostałe dziewczyny oklejały doniczki różowym papierem i sadziły w nich kolorowe kwiaty. Wiktor koniecznie chciał pomóc przy nakładaniu folii na dach oraz kryciu go dachówką, którą podarowała im sąsiadka zza płotu.

– To ze starej szopy, ale może wam się przydać – oznajmiła zadowolona, że bez większego kłopotu pozbyła się resztek po rozbiórce.

Wieczorem rozbili trzy duże namioty i wyciągnęli śpiwory.

Jest teraz albo nigdy – przypomniała sobie Karolina.

Westchnęła.

To był dobry dzień. Pozwolił zapomnieć o chorobie i znowu poczuć się jak dawniej. Ale kiedy wśliznęła się do śpiwora, wraz z nią wśliznęły się jej lęki. Strach przed tym, co się okaże za kilka tygodni. A jeśli chemia nie zadziała? Czy jest sens zakochiwać się w kimkolwiek i zaczynać coś, czego nie będzie mogła dokończyć? Czy nie wystarczy jej ten ból, który już zna, i z którym powoli się oswa-ja?

– Śpisz? – dobiegło ją z prawej strony.

Paweł.

Zacisnęła oczy i nie odezwała się. Trudno. Tym razem uczucia muszą zaczekać, nawet wbrew własnym hormonom.

Domek prezentował się uroczo. Uroczo różowo i jeszcze bardziej uroczo kiczowato. Był kwintesencją bajkowości. Miał nawet okiennice z wymalowanymi pośrodku serduszkami oraz miniaturowy płotek. Różowe doniczki, różowe drzwi, a wewnątrz całe mnóstwo różowych poduszek. Miał nawet rynnę, która odprowadzała deszczówkę do różowej beczki. No i lampę z różowym abażurem. A także skrzynię na narzędzia ogrodowe, a w ogródku maleńkie oczko wodne z jedną złotą rybką. Niestety, w sklepie zoologicznym nie mieli różowych.

– Może ona spełni kolejne marzenie Antosi? – spytał Wiktor i uśmiechnął się do Karoliny.

Nie odpowiedziała.

Zastanawiała się właśnie, czy ostatni balonik, który będzie jej wolno wykorzystać dla siebie samej, mogłby unieść życzenie podwójne? Żeby udało się zwyciężyć i żeby on... żeby Paweł... albo żeby oni razem...

To niewiarygodne, jak szybko człowiek traci rozum.

MAGDALENA

Jogurty

Paradoks – im częściej mówisz prawdę, tym inni mają mniejszą ochotę, by jej słuchać. Ludzie chcą rzeczywistości równoległej do tej prawdziwej, bo prawda niewiele ma wspólnego z idealnym pięknem. Chcesz mi sprzedać opowieści o raku? Poproszę o inny zestaw historii, ten bardziej miękki, przypominający sweter z anory, w którym można się zanurzyć jak w dziecięcym basenie z piłeczkami.

Ale czy ja nie oszukuję również siebie samej? Nie odsuwam od siebie całej prawdy? Podobno onkorodnice starają się omijać słowo „śmierć” szerokim łukiem. Ja też mam w sobie ten opór. Siedzę przed komputerem i dryfuję od historii do historii, ale czytam tylko takie, które mają szczęśliwe zakończenie. Nie klikam w biało-czarne zdjęcia, staram się nie patrzeć na wpisy, w których od razu uderzają mnie słowa „żegnaj” lub „do zobaczenia”. Nie mogę zaprzętać swoich myśli czymś, co mnie jeszcze bardziej wbije w ziemię. Moje ciało jest pełne szczelin, każda chemia, każde badanie, każda transfuzja rozrywają mnie od środka i trzeba dużo czasu, żebym znowu się zasklepiła. Historie, w których główną bohaterką jest śmierć, spowodują, że pęknę, a Ola potrzebuje mnie całej, silnej i gotowej na kolejne walki.

Podpływam do historii o dwuletniej Idze. Siatkówcza, nowotwór złośliwy oka. Rokowania były fatalne, a jednak mała dała radę. Żyje, jest zdrowa. Podobnie jak siedmioletni Kuba, pięcioletnia Malina. Rak nie zawsze jest wyrokiem, nawet wtedy, gdy lekarz prowadzący rozmawia z tobą bez uśmiechu na twarzy. Nasza pani doktor też rzadko się uśmiecha, ale jeszcze nigdy nie powiedziała, że nie ma nadziei. Chwytam się więc tego, czego nie powiedziała, i buduję na tym swoją wiarę.

Na ekranie komputera pojawia się kilka czarno-białych zdjęć. Omijam je wzrokiem, za pomocą myszki znikam z tej strony. Udaję, że nie widzę napisu „żegnaj motylku”.

Wpisuję hasła: „zwycięska walka z rakiem”, „nowotwór pokonany”, „nasze dziecko znowu jest zdrowe”. To nie są wymyślone historie. A statystyki też są po mojej stronie.

Na dzień dzisiejszy około siedemdziesiąt – osiemdziesiąt procent dzieci zostaje wyleczonych – głównie dzięki kompleksowej terapii, na którą składają się cytostatyki, radioterapia i leczenie chirurgiczne. Wyniki w leczeniu nowotworów dziecięcych stale się poprawiają i są lepsze niż u dorosłych⁴.

4 A. Sesiuk (oprac.): *Objawy raka u dzieci*, **Błąd! Nieprawidłowy odsyłacz typu hiperłącze..** Dostęp: 20.04.2017.

Czuję, jak znowu przybywa mi kilka gramów nowej nadziei.

Siostra Lilka opowiedziała mi dzisiaj o jogurtach. Rodzice małej dziewczynki stali przy jej łóżku i cały czas dyskutowali o niezwykle zdrowych bakteriach w jogurcie.

– *Lactobacillus bulgaricus* i *Streptococcus thermophilus* – używali łacińskich nazw i sprawiali wrażenie mądrzejszych nawet od producentów. Tłumaczyli jej, że dobry jogurt probiotyczny musi zawierać szczepy pałeczek kwasu mlekowego, które w badaniach klinicznych mają udowodnione działanie prozdrowotne, bo poprawiają odporność i pracę jelit. By działał, żywych komórek bakteryjnych musi być co najmniej milion w mililitrze jogurtu.

– Czy ta dziewczyna cokolwiek z tego rozumiała? – pytam zdziwiona.

Siostra Lilka kręci przecząco głową.

– To nie było ważne. Kiedy skończyli o jogurtach, przeszli na zbawienne właściwości winogron. Potem suszonych owoców i świeżo wyciskanych soków. Mówili o wszystkim, skupiali się na drobiazgach, byle tylko odsunąć od siebie świadomość, że ich dziecko umiera. A ona chciała porozmawiać o śmierci.

– Jak to?

– Normalnie. Spytać, czy poczuje moment, w którym przechodzi się z jednego świata w drugi. Czy jest jakaś granica między tymi światami, na której można się na moment zatrzymać i raz jeszcze spojrzeć za siebie. Czy ktoś ją zaprowadzi. I co się wtedy czuje. Czy wolno płakać, czy raczej trzeba się uśmiechać. Ona nie bała się śmierci jako takiej, tylko tej wielkiej niewiadomej. Ale jej rodzice dalej mówili o jogurtach.

Zamykam oczy. Nie chcę, żeby Ola zadawała mi takie pytania.

– Nikt nie chce – mówi siostra Lilka, zupełnie jakby słyszała moje myśli. – Ale dzieci chcą wiedzieć. Przeraza je fakt, że się gdzieś zgubią. Że wybiorą złe drzwi albo spóźnią się na pociąg. Chcą wiedzieć, jak będą ubrane i czy wolno im zabrać ze sobą ukochaną zabawkę.

– Nie ma rodziców gotowych na takie rozmowy – protestuję.

– Nie ma – zgadza się ze mną. – Dlatego mówicie o jogurtach. I o *Lactobacillus bulgaricus*. I ja to bardzo dobrze rozumiem. Ale próbuję ci pokazać, że czasem warto spróbować. Jeśli nie chcesz rozmawiać o tym z Olą, spróbuj z innym dzieckiem. Łatwiej ci będzie odpowiedzieć na jego pytania i samej wydusić z siebie słowo „śmierć”.

Trzy dni później Ola musiała mieć gastroskopię. To nie był dobry moment, choć w jej przypadku tych dobrych momentów było ostatnio bardzo niewiele. Odnosiłam dziwne wrażenie, że na oddziale zrobiło się bardziej nerwowo. Wszyscy biegali, nikt nie patrzył mi w oczy, nie poklepywał po ręce. Niemal bez przerwy

tłoczono jej krew. Wszędzie. Pompowano w nią tyle, na ile organizm pozwolił, a potem natychmiast zawieziono na badanie. Wyniki były złe.

– Macie krew? Dużo? – pytał lekarz i skinął głową, że powinno starczyć. Nikt mi tego nie powiedział na głos, ale ja wiedziałam, że ta zwykła gastroscopia grozi Oli śmiercią. Bo mogła się wykrwawić. Umrzeć na stole, a ja nawet nie zdążyłabym jej opowiedzieć o bakteriach w jogurcie.

– Płytki muszą dojść do siedemnastu tysięcy, w przeciwnym razie nie możemy zrobić zabiegu – usłyszałam jeszcze.

Co to jest siedemnaście tysięcy? Mogę nawet do tyłu policzyć. Proszę, ruszcie.

Wszystkie pielęgniarki chodziły skupione, a w ich oczach widziałam tylko niepokój.

Przecież to zwykła gastroscopia.

Od tego się nie umiera!

W końcu podeszła do mnie jedna z nich. Mieczysława. Miecicia. Zawsze uśmiechnięta, serdeczna, zawsze pełna dobrych słów. A teraz była poważna, zadaniowa.

– Musicie podpisać zgodę na zabieg.

– Czy Ola...?

Skinęła głową.

– Ale nie ma innego wyjścia.

Mój mąż płakał, a potem wybiegł ze szpitala. Na szczęście już nie na piłkę. Najchętniej pobiegłabym za nim, schowała się gdzieś i wróciła dopiero wtedy, gdy świat znowu wróciłby do normy. Ale musiałam podpisać to pismo.

Wszyscy byli gotowi. Gdyby cokolwiek poszło nie tak, czekała już sala chirurgiczna, czekali lekarze.

Płytki ruszyły, Ola pojechała na zabieg.

...

– Zwolnicie chirurgiczny, pacjentka przeżyła. Bierzemy ją na oddział i działamy dalej.

Roztopiłam się wtedy jak lody latem. Jak czekolada w wodnej kąpieli. Jak pianka marshmallow nad ogniem. Nie potrafiłam ruszyć żadną częścią swojego ciała. Stałam i bawiłam się słowami „zwolnicie chirurgiczny, pacjentka przeżyła”.

Pacjentka przeżyła.

I gdyby nie podeszła wtedy do mnie pielęgniarka, pewnie nie potrafiłabym posklejać samej siebie. Połączyć tych wszystkich roztopionych kawałków w jedno i usiąść na krześle.

– Mam dzisiaj imieniny, wiesz, kochana? Ale najpierw było zadanie do wykonania, spięcie pośladków, wkłucie i pełna kontrola. Nie ma rozklejania się i smakowania w myślach tortu. No, ale teraz mi wolno.

– Nic nie mam...

– A co masz mieć? Ja mam wszystko. Kawa, ciasto, chodź, wzmocnisz się trochę, bo wyglądasz jak wyżęta ściereczka. Wiesz, że imię Mieczysława to w numerologii jedenastka?

Nie wiedziałam.

– Moi zwierzęcy przewodnicy to lew, słoń i słowik, i o ile jestem w stanie zrozumieć te dwa pierwsze, to doprawdy nie wiem, co mam wspólnego ze słowikiem.

Uśmiechnęłam się i poczułam, że powoli znowu stają się sobą. I tylko na ułamek sekundy zamarłam jeszcze, kiedy okazało się, że dyrektor szpitala musi zgodzić się na nowy lek dla Oli. Drogi lek.

– Jakie są rokowania? – spytał.

Gdyby ktoś wtedy powiedział, że takie sobie, że nie ma nic pewnego, dyrektor mógł zrezygnować. Jego podpis decydował o życiu mojego dziecka.

To był naprawdę drogi lek...

Czekałam, aż podpisze. Aż uzna, że warto.

Wracając do domu, uśmiechałam się do siebie samej, szczęśliwa, że znowu odskoczyliśmy śmierci na sporą odległość. Ciągle jeszcze mogła nas dopaść, ale wiedziała już, że nie jesteśmy łatwym przeciwnikiem. W grze na przeciąganie liny tym razem to my z Olą okazałyśmy się silniejsze.

Muszę znowu zrobić sałatkę śledziową dla moich sióstr oddziałowych.

– Przepraszam, że uciekłem – szepcze Olek.

Kręcę głową. To nie była ucieczka. Tylko chwilowa utrata siły. Wymieszana z przerażającym lękiem, że może właśnie teraz...

– Ale i tak nie powinienem był was zostawiać.

Wsuwam moją dłoń w dłoń Olka i opieram głowę o jego ramię. Nawet jeśli każde z nas ma swoje dni zwątpienia, swoje załamania, rezygnacje i nieufności, to razem tworzymy mur, przez który śmierć nigdy się nie przebije. I nie dopadnie naszego dziecka.

KAROLINA

Spotkanie z Little Unicorn mogło okazać się wielką porażką, zwłaszcza że przecież bazowało na kłamstwie. Przez całą podróż do Warszawy milczeli, chociaż mama Wiktora próbowała ich zabawić rozmową.

– Skąd ci się wzięło to „Katarzyna Maria Kareńska”? – spytała Karolina.

Edna roześmiała się.

– Kareńska to panięskie nazwisko, drugie imię też jest moje, chociaż prawie go nie używam. Moja przyjaciółka z dzieciństwa miała na imię Kaśka i bardzo jej tego zazdrościłam. Myślałam wtedy, że dałabym wszystko, żeby być zwykłą Kaśką, zamiast niezwykłą Edną – westchnęła do swoich wspomnień.

Karolina pomyślała, że Edna to ładne imię. Faktem jest jednak, że bardziej pasowało do starszej kobiety niż nastolatki. Chyba też wolałabym być Kaśką w wieku dwunastu lat.

– A jeśli Little Unicorn oskarży nas o kłamstwo? Albo, nie daj Boże, przyjdzie z tą swoją menadżerką, która przypomni sobie naszą telefoniczną rozmowę? – odezwał się nagle Wiktor.

Edna wzruszyła tylko ramionami.

– Nie sądzę, żeby próbowały robić zamieszanie w miejscu publicznym. Musicie od razu przejść do rzeczy, bez zbędnych wstępów i przepraszenia. Powiedzieć swoje, szybko i bardzo rzeczowo.

Karolina zatopiła zęby w kanapce z pastą serowo-cytrynową i zaczęła w głowie układać przemówienie. Kiedy stanęła przed Little Unicorn, która na szczęście przyszła sama, wszystkie słowa wyleciały jej z głowy, tworząc na podłodze francuskiej kawiarenki niezły galimatias.

– Autograf? – spytała gwiazda, patrząc na Karolinę, która z kolei patrzyła na nią i próbowała wydukać z siebie cokolwiek.

– „Newsweek” – powiedziała w końcu.

Little Unicorn uniosła ze zdumienia brwi. Ubrana była w różowy sweterek, mięciutki i zapewne bardzo przyjemny w dotyku, choć Karolina nie odważyła się oczywiście go dotknąć. Miała też różowe obcisłe spodnie i błyszczące trampki na koturnie. Włosy upięła w koński ogon, w który powtykała pasemka we wszystkich kolorach tęczy.

– No tak, jednorożec – mruknęła do siebie Karolina.

Little Unicorn tymczasem przeniosła wzrok na Wiktora, który odrobinę wspiął się na palce, by wydawać się nieco wyższym.

– Ty też chłopie jesteś z „Newsweeka”? – spytała na wszelki wypadek, a Wiktor natychmiast przytaknął.

Little Unicorn zmrużyła oczy i odsunęła się od stolika.

– Jaja sobie robicie? O ile wiem, nie ma wersji „Newsweek Kids”, no chyba

że macie jakieś inne wyjaśnienie. – Skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała na nich mało przyjaźnie.

Jednorożec poirytowany.

Wściekły nawet i mocno podejrzliwy.

Nie było rady, Karolina musiała pozbierać słowa, które wcześniej pogubiła, i ułożyć z nich profesjonalne przemówienie.

– Nina ma pięć lat i choruje na mięsaka maziówkowego. Czeka ją amputacja nogi, no chyba że znajdą się fundusze, wtedy być może nadal będzie mogła normalnie chodzić. Ma jedno marzenie. I nie, nie dotyczy ono wcale tej nogi, choć tak naprawdę dla wielu z nas mogłoby się to wydawać dość oczywiste. Ona chce poznać ciebie. Chce cię zobaczyć na żywo, bo tak jak ty kocha jednorożce, a poza tym uważa, że pięknie śpiewasz. Nie znaleźliśmy innej możliwości, jak tylko podszycie się pod dziennikarzy i namówienie cię na wywiad. Ale wywiadu nie będzie. A skoro tak patrzysz na moją głowę, to owszem, ja też mam raka, ale jeszcze nie wiem, co jest moim największym marzeniem. Na razie pomagam innym, bo mam siedem czerwonych balonów. Jeden poszybował dla Antosi, drugi dla Niny. Na karteczce było napisane twoje imię, więc błagam, nie spieprz mi tego. Czasami wydaje mi się, że to, co robię, nie ma większego sensu, a jeśli teraz wyjdiesz, to tylko mi udowodnisz, że niestety miałam rację. Odwiedzanie chorych dzieci i wypytywanie ich o marzenia jest zapewne mocno wzruszające w filmach, w rzeczywistości jednak każdy woli kopnąć cię w dupę. Choroby, zwłaszcza śmiertelne, nigdy nie będą ulubionym tematem rozmów. W zasadzie nawet to rozumiem.

Little Unicorn zastygła na czas całej przemowy, wpatrując się w Karolinę z wielkim osłupieniem.

– A na co ty chorujesz? – spytała w końcu, kiedy jej rozmówczynie zaczerpnęła powietrza, by wziąć oddech.

– Eee, chłoniak. Dość wredny model, ale podobno można go wyrolować.

– Jak?

– Chemią, optymizmem, szukaniem tematów zastępczych.

– A wróćmy jeszcze na chwilę do motywu siedmiu czerwonych balonów. Nie do końca to zrozumiałam.

Karolina przełknęła ślinę, a Wiktor posłał jej spojrzenie z serii „idzie ci doskonale, jestem dumny, lepiej bym tego nie rozegrał”.

– Jest taka akcja „Balonowe marzenia chorych dzieci”. Każdego roku dzieciaki lub ich rodzice wypuszczają w powietrze kilkaset balonów, do których przyczepione są karteczki z marzeniami. Chodzi też o to, by pokazać, że rak dzisiaj jest, ale jutro może go już nie być. Że odleci jak ten balon napełniony helem, nie wiadomo dokąd i jak daleko. No i ja też mam takie balony. Siedem, bo mój brat Wiktor uważa, że to zdecydowanie najszcześniejsza liczba.

Wiktor kiwnął głową.

– W starożytnej Grecji siódemka uchodziła za liczbę świętą. Była atrybutem Apollona, Ateny i Heliosa. Helios miał siedmiu synów, a Niobe siedmiu synów i siedem córek. Z kolei Teby miały siedem bram bronionych przez siedmiu bohaterów, a Tejrezjasz, tebański wieszcz, przez siedem lat był kobietą i żył aż siedem pokoleń – obwieścił bardzo poważnym tonem.

Karolina oraz Little Unicorn wbiły w niego wzrok, każda z tego samego powodu. Skąd u diabła on to wszystko wiedział?

– No właśnie – powiedziała Karolina, otrzępując się z zaskoczenia. – I dlatego postanowiłam wykorzystać dokładnie siedem balonów na siedem najważniejszych życzeń. Ostatnie będzie dla mnie, a pierwsze to właśnie marzenie Niny.

Little Unicorn raz jeszcze spojrzała podejrzliwie na Wiktora i głośno przełknęła ślinę.

– Wyróżnia się też siedem okresów życia człowieka: niemowlęcia, uczenia, kochanka, żołnierza, sędziego, chudego pantalona oraz drugiego niemowlęctwa – wyrecytował błyskawicznie.

– Co to u diabła jest chudy pantalon? – wyszeptała Little Unicorn, ale Wiktor tylko wzruszył ramionami. – To jak? Pomożesz nam? – spytał.

Little Unicorn na wszelki wypadek przytaknęła. Postanowiła nie wdawać się w dalsze dyskusje z tą dwójką łysych dziwaków, z których jedno wypuszczało w powietrze balony, a drugie najwyraźniej było chodzącą encyklopedią. Co gorsza, mogło rzucać czary.

– A co miałabym konkretnie robić?

Karolina z radości aż podskoczyła na krześle.

– Wystarczy, że ją odwiedzisz. Że z nią chwilę porozmawiasz.

– Ale o śmierci? – zaniepokoiła się gwiazda.

Wiktor spojrzał na nią zniesmaczony.

– Bez przesady. Ona ma wprawdzie jakieś paskudztwo, ale po pierwsze, można to wyleczyć, a po drugie, w szpitalu wcale nie trzeba rozmawiać o śmierci, nagrobkach, urnach ani napisach końcowych. Nina kocha jednorożce, więc na pewno znajdziecie wspólne tematy. Możesz jej też opowiedzieć o swojej muzyce. I o Bambaacie.

Little Unicorn wypięła duszką swoją i tak już lodowatą kawę, z której całkowicie zniknęła pianka.

– Ty wiesz, kto to Bambaataa? – chyba nigdy w życiu nie zadała tylu pytań jednego dnia. Zazwyczaj to ją odpytywano.

– Jasne. – Kiwnął głową. – Jeden z pionierów hip-hopu. Wiem, że twoje piosenki są podobne, tylko dodałaś więcej syntezatorów. Chociaż Bambaataa to też takie electro boogie, nie?

Little Unicorn zastygła z obrazowo otwartym dzióbkiem pociągniętym różową pomadką.

– Mają tu tartę cytrynową? – Karolina przerwała im ten muzyczny wykład, zamknęła oczy i wciągnęła nosem powietrze. Ten zapach był jej wyjątkowo dobrze znany.

– Pewnie tak, to francuska knajpa, więc raczej mają tarty. – Little Unicorn odtajała i skinęła głową na kelnerkę, która podbiegła do niej, uśmiechając się promiennie.

Karolina była nawet zdziwiona, że ktoś w wieku kelnerki (na oko trzydzieści lat, więc strasznie stary) był fanem Little Unicorn, ale najwyraźniej jednoróżce mają swoich wielbicieli wszędzie, bez względu na wiek, płeć oraz rodzaj wykonywanego zawodu.

– Macie tartę cytrynową?

Kelnerka niemal owinęła swój uśmiech wokół głowy, tak bardzo była szczęśliwa i podekscytowana.

– Oczywiście! Na kruchym spodzie i z delikatną bezową pianką na wierzchu!

– Okej. To trzy razy? – Little Unicorn spojrzała na Wiktora i Karolinę, którzy oblizali się jak na zawołanie. – Trzy – potwierdziła od razu.

– Oczywiście!

– I wodę niegazowaną.

– Oczywiście!

– Dziwna kobieta – skostatował Wiktor, uśmiechnął się do Little Unicorn i dodał: – W dawnej Irlandii istniało siedem świętych drzew-wróżb i talizmanów: jabłoń, czyli drzewo nieśmiertelności, leszczyna, brzoza albo jesion, dąb, ostrokrzew, olcha i wierzba. Ich ścięcie było karane śmiercią.

– O kurwa – wyszeptała Little Unicorn.

MAGDALENA

Dirty Dancing

A jednak nas to wzmacnia. Bałam się, że choroba Oli osłabi nasze małżeństwo, wyciągnie na wierzch wszystko to, co niedobre, a każe zapomnieć o przeszłości.

Mieliśmy wtedy po czternaście lat. Był rok 1989, który dla większości był przełomowy. Dla nas również. W maju ukazał się pierwszy numer „Gazety Wyborczej” pod kierunkiem Adama Michnika. W lipcu generał Jaruzelski został prezydentem. W sierpniu zniesiono kartki na mięso i pamiętam, że wtedy moja mama popłakała się ze szczęścia. Bardziej ją to ucieszyło niż późniejsze rozwiązanie ZOMO. Ale dla mnie to wszystko nie było tak ważne jak kolega mieszkający cztery piętra niżej. On na drugim, ja na szóstym. Ja miałam film na kasecie VHS *Dirty Dancing*, on miał odtwarzacz wideo. To chyba zrozumiałe, że do siebie idealnie pasowaliśmy. Zabierałam ze sobą moją przyjaciółkę i film, a Olek zapraszał kolegę i we czwórkę setki razy przeżywaliśmy miłość Johnny’ego i Baby.

A potem doszliśmy do wniosku, że nie możemy bez siebie żyć. Ja i Olek. Zostałam nauczycielką, on dyrygentem. Całe życie towarzyszy nam muzyka i tamte piosenki z filmu. Nawet teraz. Czasem myślę, że miałam ogromne szczęście z chorobą Oli w tym naszym życiu. Nie musiałam pracować, mogłam bez żadnych obaw, że ktoś mnie zwolni, przesiadywać u niej w szpitalu, a potem biec do Mateusza. Mogłam choć trochę zająć się domem, mimo iż obie babcie złapały się za głowę, kiedy zobaczyły nasze mieszkanie po pierwszych miesiącach chorowania Oli. W lodówce znalazły trzy takie same majonezy i kilka opakowań żółtego sera. Nie pamiętam, co wtedy kupowałam i po co. I czy w ogóle myślałam o jedzeniu, wrzucając bezmyślnie produkty do koszyka. Nie segregowałam prania, wskutek czego dość szybko wszystko stało się szare, nie odkurzałam, nie wyrzucałam starych gazet ani butelek po wodzie. Olek też nie miał do tego głowy. Dużo wtedy pracował, zresztą dyrygowanie w operze wymagało od niego wielu prób, a potem wieczornych koncertów. Często się mijaliśmy, ale i tak w tym biegu, pośpiechu i chaosie, wśród sterty niewyprasowanych rzeczy zawsze znajdowaliśmy czas, żeby się choć na chwilę przytulić się i przekonać jedno drugie, że Ola z tego wyjdzie. I czasem zjeść razem naleśniki.

– Na majonezie nie zbudujecie trwałego związku – oznajmiła mi mama, a ja nie mogłam się nie roześmiać. I bardzo byłam jej wdzięczna, kiedy zaczęła nam gotować, prać, prasować i robić wszystko to, czego zazwyczaj nie chcemy robić, kiedy wreszcie wrywamy się z rodzinnego domu.

– Nigdy już nie będę się śmiał z żadnych dowcipów o teściowych – przyrzekł uroczyście Olek i rzucił się na zapiekankę mamy, a potem na ciasto z rabarba-

rem.

Nigdy nie zrozumieję tych wszystkich historii, kiedy mężczyzna po prostu odwraca się od chorego dziecka, od wykończonej żony i idzie przed siebie, zupełnie jakby to, co zostawia, nie miało już dla niego żadnego znaczenia.

Rozmawiałam jakiś czas temu z Iwoną. Mamą sześciolatniej Justynki. Mamą dziecka z glejakiem.

– Muszę zorganizować jakoś na szybko pomoc sąsiedzką. Na razie chociaż tyle, a potem może uda mi się ściągnąć moją mamę z Podkarpacia.

– Pomoc sąsiedzką? – nie rozumiałam.

– Nie mam już męża. Myślałam, że to chwilowe, że poszedł tylko zaczerpnąć powietrza, ale on najwyraźniej zaczerpnął wolności. Powiedział, że przerosła go choroba naszego dziecka i że życia nie można spędzić na szpitalnych korytarzach.

– A gdzie? – spytałam, tłumiąc wściekłość.

Wzruszyła ramionami.

– W drodze. Byle przed siebie i byle nie tkwić w jednym miejscu, bo to człowieka ogłupia. Powiedział też, że nie wytrzyma dłużej bez seksu.

Nie mogłam w to uwierzyć. Ale mama Iwona nie płakała i nie załamywała rąk. Spięła włosy szybkim ruchem w kucyk i zapięła bluzę.

– Gdybym mogła jakoś pomóc... – powiedziałam nieśmiało.

– Nie trzeba. Muszę to wszystko sama ogarnąć, bo koniec końców i tak zostaniemy same. Sąsiedzi wytrzymają kilka tygodni, na tyle ich szacuję. Potem każdy będzie musiał wrócić do swoich obowiązków, więc i współczucie z nich wyparuje. Mama zostanie ciut dłużej, ale ona też ma swoje życie.

– Ma pani jeszcze inne dzieci? – bardziej stwierdziłam, niż zapytałam.

Skinęła głową.

– Dwójkę, ale na szczęście starszych. Nie pomachali ojcu na do widzenia, zresztą nie miały jak. Uciekł, kiedy spali.

Przysięgę małżeńską łatwo wypowiedzieć przed ołtarzem, trudniej powtórzyć ją wtedy, kiedy nie ma żadnych świadków.

KAROLINA

Jedno trzeba było przyznać lekarzom i pielęgniarkom z dziecięcych oddziałów onkologicznych – zazwyczaj nie trzeba ich było zbyt długo na nic namawiać. Co prawda, głośno było ostatnio o pewnym dupku z Gdańska, który kazał matkom sypiać w samochodach na parkingu zamiast na karimatach koło łóżek, ale to były jednak wyjątki. Większość rozumiała nawet najbardziej absurdalne zachcianki i dopóki w żaden sposób nie kolidowały one z pracą szpitala i nie narażały dzieciaków na niekontrolowane pogorszenie stanu zdrowia, lekarze przymykali oko na małe uchybienia w regulaminie.

– Czyli ty nie jesteś stąd? – spytała Karolinę siostra A. Kuleczka (przynajmniej tak miała napisane na plakietce) i pogroziła jej dla żartu palcem.

– Nie, ja przyjechałam tu z bratem i jakoś tak od razu trafiłam na Ninę. Ale potem pojedziemy dalej, bo muszę w sumie odwiedzić sześć różnych miejsc. Naprawdę nazywa się pani Kuleczka? – spytała zaciekawiona.

Pielęgniarka pokiwała głową.

– Mąż nazywa się Nowacki, ale oboje doszliśmy do wniosku, że powinnam zostać przy Kuleczce. Zwłaszcza że pracuję w takim miejscu.

– A imię?

– Zwykle. Aneta. Dlatego wolę, jak mówi się do mnie po nazwisku – uśmiechnęła się do Karoliny i Wiktora. – No dobrze, kochani, muszę przyznać, że sama jestem ciekawa tej Little Unicorn. Od córki wiem, że to megagwiazda i że nawet nie mam pojęcia, jak bardzo mega. Mam koniecznie wziąć autograf i zrobić sobie z nią zdjęcie – westchnęła.

Trzy godziny później w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym we Wrocławiu pojawił się duch jednoroźca.

Nina usiadła na łóżku i z wrażenia zapomniała mrugać. Wpatrywała się w Little Unicorn tak intensywnie, aż w końcu jej oczy zwilgotniały, a po policzkach popłynęły łzy.

Little Unicorn spojrzała zaniepokojona na Karolinę i pielęgniarkę, które niemal jednocześnie powiedziały jej, żeby się absolutnie niczym nie przejmowała. Nina nie płacze, to zwykły odruch wywołany brakiem mrugania powiekami. Oko musi się nawilżyć i oczyścić, by znowu normalnie funkcjonować.

– To naprawdę ty... – wyszeptła Nina i ostrożnie dotknęła białego sweterka swojej idolki, na którym tańczył tęczyowy jednorożec wraz z dwoma kumplami.

Little Unicorn uśmiechnęła się jakoś tak niezgrabnie, nie do końca orientując się w szpitalnej etykietce. Czy na oddziale onkologicznym wypada się śmiać? Czy może jednak należy zachować powagę i w skupieniu obserwować chorych pacjentów? Czy sweterek z jednorożcem nie jest czasem zbyt krzykliwy?

– Widziałas go kiedyś naprawdę? – Nina wskazała podbródkiem na sweter-

kowy rysunek.

Little Unicorn zastanowiła się przez chwilę, na szczęście Nina była szybsza.

– Bo ja chyba tak. Nie jestem oczywiście zupełnie pewna, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej wierzę w to, co widziałam. To było w zeszłym roku, nad morzem. Tata nie pozwolił mi się bawić na wydmach, ale mnie coś tam ciągnęło. I kiedy w końcu zorientowałam się, że wcale nie czyta, tylko udaje i chrapie w najlepsze schowany za okularami, poszłam na te wydmy. I on tam był. Schowany za wysokimi trawami, ale bardzo czujny. Jak tylko usłyszał, że się zbliżam, natychmiast zniknął. Ale ja widziałam jego tęczyowy ogon i światło, jakie biło od złotego rogu. Szkoda, że uciekł, bo mogłam go nakarmić gofrem. Chociaż one podobno jedzą tylko zielony groszek.

Little Unicorn poczuła, jak pierwsze napięcie powoli z niej wyparowuje, ustępując miejsca błogości, którą odczuwała zawsze, gdy słyszała historie o jednorożcach. Ona sama nie spotkała wprawdzie nigdy żadnego z nich, wystarczyło jej, że na stałe pojawiły się w przemyśle rozrywkowym, a ilość gadżetów z nimi związana była wprost imponująca. Szybko postanowiła zrobić ze zwierzęcia ze złotym rogiem swój znak rozpoznawczy, zanim jakaś inna miłośniczka unicornów sprzątnęłaby jej ten pomysł sprzed nosa. Co prawda, podobno każdy zasługuje na jednorożca, ale Little Unicorn cieszyła się, że to właśnie ona stała się jego główną przedstawicielką w Polsce.

– Mam dla ciebie kubeczek z jednorożcem, breloczek, koszulkę oraz gumki do włosów – oznajmiła zachwyconej Ninie i sięgnęła po torbę leżącą na ziemi. I jeszcze pomyślała, że ze swoją jednorożcową siłą przebicia z pewnością udałoby się jej zebrać pieniądze na operację za granicą. Chyba można to zaproponować?

– A zaśpiewasz mi? – spytała błagalnie Nina, czym wprowadziła Little Unicorn w niemałe zdziwienie.

Zaśpiewać? Tutaj? Bez mikrofonu? Bez zespołu?

– Ale poczekaj, ja zawołam też inne dzieci, siostrzyczko Kuleczko, czy ja mogę? – Złożyła błagalnie ręce i spojrzała na pielęgniarkę wzrokiem prosiącym, któremu absolutnie nikt nie potrafił się oprzeć.

– Zapytam lekarza – powiedziała siostra Aneteczka i poklepała Little Unicorn po ramieniu. – Szykuj się na występ.

O na dupę srebrnego jednorożca! Tego się nie spodziewała!

Po dwudziestu minutach pokój Niny i jej dwóch koleżanek wypełnił się małymi widzami. Lekarz zgodził się pod warunkiem, że śpiewanie nie potrwa zbyt długo, a dzieci nie zaczną tańczyć z kroplówkami.

– Panie doktorze, a mogę się chociaż trochę pokołysać? – spytała jakaś dziewczynka i zachichotała na widok groźnej miny lekarza.

– Macie być absolutnie grzeczne, a dzisiaj wieczorem pięknie zjeść kolację, rozumiano? I bardzo proszę, żeby wszyscy z was mieli jutro idealne wyniki.

– Tak jest! – zawołali chórem, a Little Unicorn głośno przełknęła ślinę. A potem wstała i zaśpiewała.

Karolina pomyślała, że bez względu na stopień jednoróżcowego zboczenia, ilość puchu na sweterku, koński ogon z tęczowymi pasemkami oraz ogólne zamiłowanie do kiczu, Little Unicorn śpiewa po prostu pięknie. Cicho, ale wyraźnie. Miała głos o dość ciemnej barwie, dzięki czemu brzmiała łagodnie i głęboko.

– Ale to przecież nie jest muzyka, którą ona wykonuje – szepnęła zdziwiona Karolina.

Wiktor wzruszył ramionami.

– Myślę, że tak, tyle że bez tej całej elektroniki. Jak dodasz dźwięki i jeszcze je specjalnie zmiksujesz, to brzmisz zupełnie inaczej.

– Ale po co miksować?

– To chyba ma związek z szukaniem nowych stylów w muzyce. I na koncertach takie śpiewanie wzmocnione komputerem daje ogromnego kopa. Czujesz, że możesz przenosić góry, że masz moc nieziemską. Jakbyś była czymś naładowana. Pozytywną energią.

– Ja czuję teraz power. O wiele większy niż na koncercie, wierz mi – powiedziała Karolina, patrząc na zachwycone dziecięce buzie, wychudzone, blade, z wielkimi błyszczącymi oczami, przytulone do siebie lub stojaków z kroplówkami.

Siostra Kuleczka posłała jej spojrzenie pełne radości i zrobiła już chyba setną fotkę z Little Unicorn, aby jej córka miała pełną dokumentację spotkania z gwiazdą. Megagwiazdą, oczywiście.

MAGDALENA

Zniżka w Prosiaczku

Aleksander przyszedł do domu i oznajmił mi, że dostał całkiem spory rabat na parówki w Prosiaczku.

– Z jakiej okazji? – dziwię się.

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem, pewnie dlatego, że ciągle je kupuję. Nie pytali mnie, po co i dla kogo, pewnie uznali, że jestem uzależniony. Więc dostałem rabat, żeby się lepiej poczuć – chichocze.

Ola zajada się tylko parówkami. Po sterydach narasta w niej wilczy głód, ale z jakiegoś powodu chce jeść ciągle to samo. Chyba każdy z nas słyszał o tym, co siedzi w parówkach, z czego zmielony karton i tak jest najmniej drastycznym składnikiem. Aleksander uparł się zatem, żeby kupować najdroższe parówki cieleńce, może w nich chociaż karton jest bardziej szlachetny.

– Niech je – mówi siostra Lilka. – Świństwo, bo świństwo, ale to akurat jej nie zaszkodzi.

Tamtego wieczora zasnąłam wyjątkowo szybko. Śniła mi się Ola, bawiąca się z jakąś dużą dziewczynką, tańcząca z nią i zajadająca czekoladowe cukierki. Czy mogłam się uśmiechnąć przez sen?

I wtedy ten telefon postawił mnie na równe nogi. Było wcześniej rano i kiedy zobaczyłam na wyświetlaczu napis „Szpital”, ze strachu nie byłam w stanie naciśnąć guzika.

Aleksander odebrał.

– Biorą ją na USG. Ola źle oddycha, podejrzewają wodę w płucach – powiedział tylko, a ja chciałam jechać tak, jak stałam. W piżamie.

Kiedy wpadliśmy na oddział, nie słyszałam niczego poza uderzeniami swojego serca. A może to było serce Olka? A może serca wszystkich rodziców, którzy też już tu byli, z najróżniejszych powodów.

– Już wszystko dobrze. – Lekarka uśmiecha się do nas normalnie, bez tego napięcia na twarzy. Po tylu miesiącach spędzonych w szpitalu, jestem w stanie rozpoznać każdy grymas. Każde zawahanie w głosie, niepewność, mówienie przez zęby. To był normalny głos i normalny uśmiech. Żadnej maski.

– Przejadła się...

– Słucham?

– Przeżarła się parówkami – chichocze lekarka, a ja siadam na podłodze i wyję ze szczęścia.

– To jechać dzisiaj po te parówki? – pyta nieco ogłupiony Olek.

Kiwam głową.

– Jedź. I przywieź mi też ze dwie.

KAROLINA

Sierpień. Upalny sierpień, który w mieście tylko wkurzał.

Tymczasem Edna mówiła kompletnie od rzeczy.

– Zrezygnowaliśmy z tego wyjazdu nad morze. Doszłam do wniosku, że pogoda nad Bałtykiem jest potwornie kapryśna, więc to naprawdę nie miało żadnego sensu.

Serio?

W całym kraju było jakieś czterdzieści stopni.

– Poza tym Krzysztof przyjechał tylko na cztery dni, więc i tak nic by z tego nie wyszło. Musiał znowu wracać do Australii, podobno wynagrodzi nam to w przyszłe wakacje. – Wzruszyła ramionami. – Wiktor może dalej odwiedzać z tobą szpitala.

Przełknęła ślinę.

– A czy...?

– Nie – Edna zrozumiała od razu. – Nadal nic nie wie. Ale może już czas?

Karolina pokręciła przecząco głową.

– Nie. Jeszcze nie.

Niech siedzi w tej Australii nadal niczego nieświadomy. Zresztą w czym on mógłby jej teraz pomóc?

Poza tym miała inne plany.

Siostra Aneta Kuleczka z Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego zadzwoniła do Karoliny w pewne piątkowe popołudnie.

– Mam dla ciebie dwa sprawdzone miejsca. Szpital w Olsztynie oraz drugi, w Warszawie, przy Mazowieckiej. W obu pracują moje znajome i obiecały, że chętnie ci pomogą. Wystarczy, że się do nich zgłosisz.

– Dziękuję! – ucieszyła się Karolina. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale dopadł ją paskudny kaszel. Przez moment pomyślała nawet, że brzmi jakoś inaczej niż do tej pory, ale postanowiła nie zawracać sobie tym głowy.

Było tyle do zrobienia!

Wiktor natychmiast oznajmił, że jadą razem. Karolina początkowo bardzo się ucieszyła, potem przez głowę przeleciała jej myśl, że może jednak za bardzo go wykorzystuje. W końcu chłopak mógł naprawdę robić w wakacje coś zupełnie innego, nawet jeśli nie miałyby to być wczasy nad Bałtykiem. Spotykać się z kolegami, jeździć na basen, nudzić się chociażby, zamiast włóczyć z nią po szpitalach, w których na dzień dobry stawali oko w oko z paskudnymi chorobami. Mógłby wreszcie pojechać do ojca do Australii, zawsze to ciekawsze niż łyśa siostra.

Ale znając go, pewnie nie pozwoliłby jej dojść do słowa. Przyjechali z Edną niemal od razu, a kiedy zastanawiali się, jak najlepiej dostać się do Olsztyna, Edna skrzyżowała ramiona na piersiach, zmrużyła oczy i popatrzyła raz na jedno, raz

na drugie.

– Mamo, czy ty próbujesz być groźna? – upewnił się Wiktor.

Kiwnęła głową.

– Muszę. Bo ja rozumiem, że wy chcecie we dwójkę i sami, ale podobnie jak z Warszawą, również tym razem po prostu muszę wziąć w tym udział. Nie puszcze was samych do Olsztyna. Poza tym ja też mam wakacje i nie chcę się nudzić.

Karolina zmarszczyła nos. Ale potem w jej głowie zatańczyła myśl, że nawet się z tego cieszy. Przecież lubiła Ednę. Polubiła ją niemal od razu. Była normalną, miłą i bardzo ładną mamą Wiktora. I pewnie Wiktor częściowo był taki właśnie dlatego, że ona była jego mamą. Bo po ojcu to chyba zbyt wiele nie odziedziczył. No, może włosy. I nos trochę.

Edna miała w sobie spokój. Widać było, że martwi się losem Karoliny, ale z drugiej strony od razu spodobał jej się pomysł spełniania cudzych życzeń. Co nie znaczy, że zgadzała się absolutnie na wszystko.

– Zawiozę was. To uspokoi również twoją mamę, a to nie jest bez znaczenia. Poza tym będę na miejscu w razie gdyby... gdyby... – zawiesiła na moment głos.

– Ja wiem. I dobrze, pojedźmy razem – zgodziła się Karolina, a Wiktor spojrział na nią ze zdumieniem.

– Serio?

– Pewnie. Poza tym nie chciałabym już więcej jechać z kimś, kto właśnie przewozi nieświeże flaki albo, nie daj Boże, inne ścierwo. – Zachichotała na samo wspomnienie ich niedawnego wyjazdu.

Podróż zajęła im siedem godzin. Siedem monottonnych godzin, z których połowę przespała, zupełnie nie rejestrując, co się wokół niej dzieje. Obudził ją cichy głos Wiktora.

– Wiesz, mamo, czuję się trochę tak, jakbyśmy z Rolką adoptowali marzenia innych dzieci. To jest bardzo fajne, a najbardziej zaskakuje mnie fakt, że tyle osób próbuje nam pomóc. Jak dotąd nie trafił się nam żaden dupek.

– Wiktor!

– W sensie niemiły człowiek – poprawił się natychmiast.

Edna zastanowiła się przez chwilę.

– Myślę, że to efekt zaskoczenia. Nie dajecie im szansy, żeby to przemyśleli, rozważyli wszystkie za i przeciw. No i zadajecie bardzo niewygodne pytania.

– Jakie?

– Czy chcielibyście pomóc dziecku choremu na raka? Wyobrażasz sobie, jaką trzeba być szują, żeby odmówić? A nikt przecież nie chce dobrowolnie zostać szują.

Wiktor roześmiał się.

– Te marzenia... One są zupełnie inne niż zdrowych dzieci, wiesz? – powiedział jeszcze.

Skinęła głową.

– To normalne. Kiedy jesteś tak bardzo chory, kiedy nie masz żadnej gwarancji, że zobaczysz następną zimę, lato, że znowu pojedziesz na wakacje albo pojedziesz do kina, granice marzeń się przesuwiają. Dotyczą albo czegoś niezwykłego, co wydaje się tak bardzo nierealne, że aż magiczne, albo są maleńkie, zwykłe, nic nieznaczące dla zdrowego dziecka. Pójść z mamą do zoo. Albo z bratem na basen. Zjeść wielki tort.

– Dostać różowy domek – przypomniał Wiktor. – Mamo, ale Rolka będzie zdrowa, prawda? Nie przegra?

Edna zamyśliła się na moment.

– Tu nigdy nie ma przegranych.

– Nawet jeśli ktoś umiera?

– Nawet wtedy. Te dzieci walczą od pierwszego dnia do ostatniego oddechu. Nie liczą wkluć, siniaków, kroplówek, wlewów, operacji. Rozciągają każdy kolejny dzień, jakby rozsmarowywały odrobinę masła na kromce chleba. I zaczynają od nowa. A kiedy wiedzą, że nadeszła ich pora, przechodzą spokojnie na drugą stronę. O wiele spokojniej niż dorośli.

– Dlaczego?

– Nie wiem. My chyba kurczowo trzymamy się pazurami życia, bo przeraża nas wizja świata bez nas. Boimy się zapomnienia, tego że naszą ostatnią rolą będzie udział w pogrzebie, a potem już nic. Dzieci patrzą na to inaczej. Czasem wydaje mi się, że mniej się boją. To my nie wyobrażamy sobie życia bez nich i nie chcemy ich wypuścić.

– To źle?

– Nie, to normalne.

– Rolka jest Wojowniczką.

– Jest. Wymyśliła cudowny sposób na walkę z własnym strachem. Jest też Motylem.

– Kim?

– Motylem. Ty zresztą też. Tak mówi się o ludziach, którzy pomagają umierającym czy też śmiertelnie chorym. I chociaż wierzę, że ci, którym pomożecie spełnić marzenia, będą żyć długo i jeszcze dłużej was wspominać, to jednak to określenie idealnie do was pasuje. Motyle z jednej strony kojarzą się z przemijaniem, z drugiej z czymś delikatnym i wrażliwym. Z czymś, co wprawdzie jest ulotne, ale i tak pozostawia po sobie piękne wspomnienia.

Wiktor pociągnął nosem.

– Są jeszcze Anioły – odezwała się Karolina.

Oboje aż podskoczyli.

– Takie w niebie? – spytał Wiktor.

– Podobno. Ale ja osobiście wolę tego nie sprawdzać. Poza tym mam tutaj

na ziemi sporo do zrobienia. No i muszę rozliczyć się przed Olą z wykonanych zadań – dodała, przeciągając się i spytała: – Jest coś do jedzenia?

Edna i Wiktor roześmiali się, a potem samochód wypełnił po brzegi zapach kanapek z jajkiem na twardo i kiszonym ogórkiem.

– Pycha – oznajmiła Karolina. – Pachnie piękniej niż najdroższe perfumy.

Późnym popołudniem dotarli wreszcie do Olsztyna.

– Chcecie jeszcze dzisiaj pójść do szpitala? – spytała Edna.

Karolina zastanowiła się.

– Zadzwońię do siostry Ewy, tej, do której dostałam namiary. Jeśli nam pozwoli, to pojedziemy od razu, a jeśli nie, to dopiero jutro.

Wiktor tymczasem wyciągnął torby i spojrział z zaciekawieniem na niewielki pensjonat.

– Fajnie nawet. Ten żółty kolor ma w sobie coś niepokojącego, ale chyba jestem w stanie go zaakceptować.

Edna parsknęła śmiechem.

Pensjonat rzeczywiście był niezwykły. Żółte ściany nie były może aż tak fascynujące, ale budynek miał również żółty dach oraz żółte okna, przy czym każdy z tych odcieni kompletnie do siebie nie pasował.

Na szczęście recepcjonistka ubrana była na czarno.

– Pokój dla trzech osób? – powtórzyła.

Edna skinęła głową.

Był żółty. Miał też żółte zasłony w czarne żuki oraz pościel w żółto-białą kratę.

– Może to jakiś zabobon? – zastanowił się Wiktor. – Może tymi kolorami przepędzają złe duchy? Zastanówmy się... Żółty to chyba symbol zazdrości. Ale możliwe też, że poprawia nastrój, przynajmniej ja czuję się tu dość ożywiony. Rolka, a jak jest z tobą?

Karolina usiadła na łóżku.

– Trochę mieni mi się w oczach. Zupełnie jakbym zbyt długo patrzyła na słońce – stwierdziła w końcu. – Ale ogólnie odczuwam przyjemne wibracje, choć nie wiem, czy chciałabym wiedzieć, co właściciel miał na myśli, upierając się na takie nagromadzenie żółci.

– Ulał żółcią – zachichotał Wiktor, a Edna zajrzała do łazienki.

Była żółta.

MAGDALENA

Przeprowadzka

Budowanie własnego domu zawsze jest symboliczne. To nie tylko cegły, okna i drzwi, to coś, w co wkładasz całą duszę, wszystko co w tobie najlepsze i co ma ci starczyć do końca życia. Nawet ornitolodzy uważają, że budowanie gniazda nie jest tylko objawem instynktu przetrwania, ale czymś znacznie więcej: tworzeniem rodziny, ugruntowywaniem przynależności i zależności od drugiego osobnika. To analogia do czegoś bezpiecznego, miejsca, do którego zawsze można wrócić.

A my wprowadzamy się do naszego nowego domu bez Oli. Bez jej szczebiotu, bez jej decyzji i wskazówek. Podczas przepustki wybrała kolory ścian, tapety i meble. Fiolet, fiołki, lila bez. Ale to przecież nie tak miało wyglądać. Mieliśmy razem urządzać jej pokój, oglądać różne meble, szukać lamp, wieszaków, półek i dekoracji. Wszystko dokumentowaliśmy na zdjęciach i zawoziliśmy jej do szpitala.

– Ładne – mówiła, patrząc, jak powstaje nasz nowy dom, do którego ona na razie nie miała dostępu.

Głaskała fotografie, oglądała je w wielkim skupieniu i cały czas się uśmiechała. To niewiarygodne, ile radości ma w sobie nawet bardzo chore dziecko. Powinam się od niej uczyć. Powinam codziennie rano wklepywać optymizm jak krem przeciwzmarszczkowy. Nakładać go na całe ciało i dopiero wieczorem pozwolić sobie na demakijaż.

– To będzie piękny domek – mówi zachwycona.

Będzie.

Ale dopiero jak wrócisz, jak wejdiesz do swojego pokoju, jak zawołam cię na kolację, a ty powiesz: „Mamo, zaraz!”

– Jaskółki też zbudowały tu wiosną dom. – Wskazuje ręką na okno. – Ale siostra Lilka powiedziała, że im nie wolno. Na szczęście wybrały taki mały kącik i niewiele osób o nich wiedziało. Widziałam potem małe pisklaki, darły się straszliwie.

– Jak wy z Mateuszem, kiedy się kłócicie?

– Podobnie. Mateusz będzie miał niebieski pokój?

Kiwam głową.

– Ja się cieszę, że mój jest liliowy. Jak bzy i jak fiołki. Wiesz, że są cukierki o smaku fiołków?

Nie wiem.

– Są. Kuba dostał je od swojej cioci, która była w Portugalii. I dał mi jednego.

– Dobrze?

– Nie wiem właśnie. Smakują tak, jak pachną fiołki. Ale nie wiem, czy to jest dobry smak, czy nie.

– Ja chyba wolałabym zapach – mówię.

Ola zwija się na łóżku jak kotek i zamyka oczy.

– Spać – ziewa szeroko.

Spać.

A gdyby tak było można zastosować w realnym świecie komputerową opcję „wytnij, wklej”? Wyciąć Olę ze szpitala, wkleić do łóżeczka w naszym domu i owinąć kołdrą w kolorze lawendowym.

Zaangażowałam się w pomoc dla małego chłopca, którego rodzice zbierają na operację neuroblastomy w Niemczech. Nie wiem czemu akurat tam, zresztą to nieważne. Szukając w Internecie historii ze szczęśliwymi zakończeniami, natrafiłam na ten apel. Nie chciałam tego czytać, ale potem pomyślałam, że nie mogę wiecznie uciekać od przypadków, które kończą się nie tak, jakbyśmy tego chcieli. A może jeśli ja pomogę Oliwierowi, ktoś kiedyś podobnie pomyśli o Oli?

Na pewno.

Przecież wszyscy jesteśmy jakoś od siebie zależni, choć czasem naszym życiem rządzi przypadek. Wpłaciłam na operację Oliwiera i rozesłałam wiadomość do znajomych. I jeszcze dokleiłam ten list z sieci, choć wiem, że ludzie nie lubią, kiedy bombarduje się ich nieszczęściem. Nie lubią płaczu i bólu zamkniętych w ekranie komputera. Ale czasem nie ma innego wyjścia.

Nigdy nie zapomnę przeraźliwego krzyku i płaczu innej mamy na oddziale onkologii, której dziecko przegrało walkę z rakiem... Nie zostało jej nic prócz łez...

Proszę o pomoc, abym nigdy nie musiała tak płakać. Mój synek ma jedynie pięć lat, z których dwa zabrał mu już rak. Ten podstępny nowotwór chce zabrać nam o wiele więcej, a właściwie wszystko, chce zabić moje dziecko, a egzekucję bestialsko rozciąga w czasie. Dlaczego nie mogło być normalnie? Dlaczego szpital znamy lepiej niż dom i w końcu, dlaczego ciągle musimy bać się dnia, w którym to wszystko się skończy?

Nikt nie lubi takich pytań, prawda? Czasem te opisy wydają się egzaltowane, nasączone dramatyzmem, jak sztuki Szekspira. Ale kiedy to twoje dziecko leży w szpitalu, nagle okazuje się, że nie widzisz w tym nic teatralnego. Patetyczność ustępuje miejsca strachowi i łzom. A każde słowo trafia w punkt.

KAROLINA

– Zapowiedzieć pogodę? W prawdziwej telewizji? – upewniła się Karolina. Do szpitala wybrali się jednak następnego dnia, zaraz po obchodzie.

– Będę na was czekać w holu na dole, wszystko już wiem od Kuleczki – powiedziała przez telefon siostra Ewa.

Była niska, drobna, ale miała w sobie tyle energii, że mogłaby przenosić góry. Nie chodziła, tylko biegła, niemal unosząc się nad ziemią.

– Podoba mi się ten wasz pomysł. – Uśmiechnęła się na ich widok. – Czasem przychodzą do nas wolontariusze i organizują dla dzieci różne pokazy albo czytają im książki, ale jeszcze nikt nie wpadł na pomysł spełniania indywidualnych życzeń. I ja chyba mam kogoś dla was. Ale oczywiście to wy sami zadecydujecie.

Karolina z zaciekawieniem zajrzała do niewielkiej sali, w której stały trzy łóżka. Na szczęście pościel była różnokolorowa, bo na widok żółtego chyba dostałaby drgawek. Jedna dziewczynka czytała właśnie *Przygody Pippi Langstrumpf*, druga spała, poświstując śmiesznie przez nos, a trzecia wpatrywała się w okno.

– Niebo jest idealnie czyste, ale i tak nie możemy zobaczyć, co dzieje się po drugiej stronie Galaktyki, ponieważ w centrum znajduje się materia międzygwiazdowa – oznajmiła głośno i pokiwała głową.

– To Jagoda – przestawiła dziewczynkę siostra Ewa. – Nasza specjalistka od prognozy pogody i rodzajów chmur. Wie o nich wszystko, podobnie zresztą jak o mgłach, mgławicach, burzach oraz ponurych wronach.

Karolina i Wiktor podeszli do dziewczynki i chyba od razu poczuli dokładnie to samo.

– Wiecie, że chmury to nic innego jak tylko skondensowane kropelki wody? – spytała ich z uśmiechem.

Prawdopodobnie wiedzieli, ale za żadne skarby nie potrafiliby tego tak fachowo określić. Pewnie całkiem sporo dorosłych miałoby z tym problem.

A potem Karolina wyjęła czerwony balonik.

Jagoda aż się zaczerwieniła z podniecenia na samą myśl, że mogłoby się to udać. Szpital w Olsztynie znała już chyba lepiej niż własny pokój. Rok temu podczas wakacji spadła z roweru i przecięła sobie nogę. Tyle że krew nie chciała przestać lecieć. W końcu udało się ją zatamować w szpitalu, ale przy okazji lekarze znaleźli coś, co spowodowało, że wakacje przestały być fajne. Może to dlatego, że wymiotowała? I że nie mogła patrzeć w górę, bo strasznie kręciło jej się w głowie?

Guz mózgu. Lekarze powiedzieli to takim tonem, jakby sami byli ogromnie zaskoczeni. A potem wszystko potoczyło się szybko i zgodnie z procedurami.

– Wiesz, jak się nazywa? – spytała Jagoda Karolinę. – Gwiazdziak. I powiem ci, że ta nazwa trochę mnie uspokoiła. Coś, co ma tak ładną nazwę, nie może mnie

po prostu zabić. Za bardzo kojarzy się z gwiazdami, a gwiazdy to niebo, o którym chcę się kiedyś wszystkiego dowiedzieć. Chcę wiedzieć, skąd się biorą burze i pioruny, dlaczego jednego dnia świeci słońce, a innego wieje tak strasznie, że trzeba do butów nalać kleju.

– Kleju? – zdziwiła się Karolina. – A po co?

– No, żeby wiatr cię z nich nie wyrwał. Jak jesteś skleciona z butami, to trudniej cię porwać.

Jagoda był uroczym dzieckiem. Buzia jej się nie zamykała i ciągle wyszukiwała powody do śmiechu.

– Masz w sobie więcej energii niż tsunami – zdumiał się Wiktor. – Lub jak siostra Ewa, bo ona zdaje się też jest chodzącym dynamitem.

– Wszyscy mi to mówią. Dlatego początkowo trudno było uwierzyć, że ktoś taki jak ja ma guza. Że coś mnie skubie od środka i to od samej głowy. – Popukała się w łyse ciemię.

– A czemu chcesz zapowiadać pogodę?

Jagoda zastanowiła się przez chwilę.

– Powody są dwa, choć tak naprawdę oba sprowadzają się do jednego. Do mojego dziadka.

Unieśli z zaciekawieniem brwi.

– Po pierwsze, dziadek doskonale przepowiadał pogodę, ale tylko po zachowaniu zwierząt i obserwacji nieba. Wiedzieliście, że czerwone niebo o wschodzie lub zachodzie słońca zwiastuje zwiększenie zachmurzenia, deszcz oraz silny wiatr następnego dnia? A tak ładnie wygląda. Coś jeszcze zapowiada deszcz. Wrona.

– Wrona?

– Pod warunkiem że siedzi na płocie zgarbiona, nastroszona, z opuszczonymi skrzydłami. I kracze rozpaczliwie. Z kolei zimą, kiedy siada na czubku drzewa, to znaczy, że idzie mróz.

– A jak siądzie na śniegu?

– To będzie odwilż.

– Fascynujące – szepnął Wiktor. – I to wszystko wiesz od dziadka?

– Absolutnie. Dziadek jest w tej dziedzinie mistrzem i z tym wiąże się inna historia, a właściwie drugi powód, dla którego chcę zostać pogodynką.

– Mów! – zawołali na trzy, cztery Karolina i Wiktor.

– Tylko to musi pozostać tajemnicą. Otóż, dziadek straszliwie kochał się w pewnej pani zapowiadającej pogodę. Nazywała się Ela Sommer, a sommer to lato. Po niemiecku chyba. Dziadek mówił na nią Chmurka, ale potem okazało się, że wszyscy tak mówili. Chmurka na takiej tekturowej planszy pisała kredą, ile będzie stopni. Dziadek mówił, że tuż nad jej głową wisiał mikrofon zawieszony na kiju i ten, kto go trzymał, musiał się niezauważalnie przemieszczać między mapą a tablicą.

– Rozumiem, że babcia nic o tym nie wiedziała? – Karolina puściła oko do Jagody.

– Nic a nic! – zawołała dziewczynka. – Tylko raz się zdziwiła, jak dziadek otworzył szampana, kiedy okazało się, że z telewizji odchodzi Wicherek, a zostaje Chmurka.

– Wicherek?

– On też zapowiadał pogodę. Czasami przynosił do studia grzyba, którego znalazł w lesie albo opowiadał dowcipy. Dziadek mi mówił. Był nawet śmieszny, ale dziadek stanowczo wołał Chmurkę. Najbardziej mu się podobała w krótkich sukienkach i włosach do ramion. Uważał, że jest najmądrzejszą kobietą świata, bo kiedyś pracowała w Dowództwie Wojsk Lotniczych. I nawet się zastanawiałam, czy nie zostać pilotką, ale jednak wolę zapowiadać pogodę. Ale by się dziadek zdziwił, gdyby mnie zobaczył w telewizji! – zawołała.

Dziewczynka, która wcześniej czytała *Przygody Pippi Langstrumpf*, już jakiś czas temu odłożyła książkę i przysłuchiwała się całej rozmowie z dużym zainteresowaniem.

– Jestem Amelia. – Wyciągnęła rękę do Karoliny i Wiktora, którzy widzieli, że bardzo chce o coś jeszcze zapytać, ale zupełnie nie wie jak.

– Śmiało, mów – zachęcił ją chłopiec. – Bo inaczej się zadławisz.

Amelia zaczerwieniła się.

– Czy myślicie, że można napisać dwa życzenia? To znaczy, czy jeden balonik poradzi sobie z podwójną ilością?

Karolina zastanowiła się. W zasadzie można spróbować, pod warunkiem jednak, że nie będzie to lot na Księżyc albo randka z Justinem Bieberem. Już Little Unicorn było trudno namówić na wizytę, z Justinem niestety może w ogóle się nie udać.

– Bo ja czekam na szpik. I czeka też taki Maciek, i jeszcze dwie dziewczynki. I sobie pomyślałam, żeby ktoś wymyślił wielką szpikową agencję. Z telefonem czynnym całą dobę. Taki sklep, gdzie wchodzisz i zamawiasz to, czego potrzebujesz i jeszcze nie musisz za to płacić. A jeśli się okaże, że danego towaru akurat nie ma, to można go zamówić. Z dostawą do domu.

Wiktor przygryzł wargi, a Karolina pomyślała, że w tym przypadku oba marzenia po prostu muszą zostać spełnione. Co prawda, nie miała pojęcia, jak się za nie zabrać, ale skoro udało się z Little Unicorn, to wiedziała, że nie ma rzeczy niemożliwych. Są tylko trudne i trudniejsze. Na początek – pogodynka.

– Trzeba zadzwonić do jakiejś stacji telewizyjnej. I wszystko wyjaśnić – powiedział Wiktor.

– Tyle to i ja wiem, tylko najpierw trzeba wiedzieć, do kogo zadzwonić. Obawiam się, że większość nawet nas nie wysłucha do końca, a od razu się rozłączy. Pewnie codziennie mają setki telefonów z dziwnymi prośbami.

Usiedli na murku przed szpitalem i wystawili twarze do słońca. Karolina zakasłała i poczuła, jak na jej czole pojawiają się kropelki potu.

– Co jest? – Wiktor od razu wyczuł zmianę.

– Nie wiem. Chyba nic.

– Ale kaszlesz.

– Coś mnie podrażniło w gardle. Ty nigdy nie kaszlesz bez powodu?

– Nie pamiętam. Ale chyba nie. Poza tym jesteś blada.

– Od jakiegoś czasu jestem blada. Zresztą nigdy nie opalałam się zbyt szybko, a teraz pewnie moja skóra w ogóle inaczej reaguje na rzeczywistość i zanim chwyci trochę promieni słonecznych, musi się dobrze zastanowić. – Puściła do niego oko.

Ale Wiktor nie do końca był przekonany.

– Chodź na obiad, umówiłem się z mamą, że będzie na nas czekać w pizzerii Diabolino, czekaj, tu zapisałem ulicę. – Podał jej kartkę. – Ale może weźmiemy taksówkę?

– Daj spokój, przejdę się. Poza tym ruch dobrze mi zrobi, a patrząc na dzisiejsze niebo, pogoda nam sprzyja. Warunki meteorologiczne są idealne, nie widzę w pobliżu żadnej ponurej wrony. Chodźmy!

Wiktor chciał ją wziąć pod rękę, ale tylko się odmachnęła.

– Poczekaj z tym, aż będę miała osiemdziesiąt lat, okej? – Pokręciła z niedowierzaniem głową.

Pizzeria Diabolino pachniała kapustą i grzybami, co mocno zaciekało Wiktora. Na ogół pizzerie wydzielają charakterystyczny aromat pieczonego ciasta, ewentualnie oregano, tutaj jednak zdecydowanie królowała kapusta.

– To na pewno pizzeria? – spytał mamę.

Edna wskazała głową na szyld.

Chwilę później pojawiła się kelnerka z uroczymi dołeczkami w policzkach.

– Polecam pizzę z kapustą i grzybami, czyli w zasadzie kulebiak.

Karolina zachichotała i spytała grzecznie:

– A macie jakieś pizze bardziej włoskie?

Kelnerka zastanowiła się przez chwilę.

– Chyba nie. To znaczy ciasto jest włoskie, ale dodatki zdecydowanie rodzime. Jak kulebiak czy też pizza kaszankowa.

– O matko – przeraziła się mama Wiktora.

– Niesłusznie pani się obrusza.

– Nie jestem obruszona, raczej zaskoczona – wyjaśniła Edna.

Kelnerka pokiwała głową.

– To akurat zrozumiałe. Ale proszę nie ulegać chwilowej chęci ucieczki z naszej pizzerii. Gwarantuję, że będziecie zachwyceni. Mamy też pizzę z polskimi grzybami oraz z farszem rybnym na słodko.

Edna, Wiktor i Karolina zamarli na moment, by po chwili dać się jednak uwieść tej nietypowej ofercie kulinarnej. Trudno. W końcu życiem czasem rządzi przypadek, a czasem bohaterstwo. Choćby miało ono polegać na zjedzeniu kaszan-kowej pizzy.

– Nie wiem, jak ugryźć sprawę tej telewizji – powiedziała pół godziny później Karolina, pochłaniając kolejną porcję kulebiaka, który miał dokładnie taki smak, jaki uwielbiała – kwaskowaty i odrobinę pikantny. O agencji szpikowej na razie w ogóle nie mówiła, bo kompletnie nie miała pojęcia, jak się za to zabrać.

– A może przez jakąś fundację? – podsunęła im Edna.

Spojrzeli na nią pytająco.

– No wiecie, przy każdej dużej stacji telewizyjnej działa zawsze fundacja pomagająca albo chorym dzieciom, albo chorym w ogóle. Oni na pewno was wysłuchają. Trudno powiedzieć, czy pomogą, ale nie wyobrażam sobie, żeby mogli odmówić. Pamiętasz, co ci mówiłam? – zwróciła się do Wiktora. – Ludzie zazwyczaj pomagają chorym dzieciom, żeby nie podpaść nikomu tam na górze. Nawet jeśli są niewierzący, to na pewno obawiają się złej karmy, która może podstawić im nogę.

Karolina uniosła w górę kciuk. Nie mogła w tej chwili krzyknąć z zachwytu, bo jej usta przepełnione były kapuścianym szczęściem. Chwilę później krzyknęła jednak z bólu, a potem wszystko potoczyło się szybko i zupełnie inaczej, niż by sobie tego życzyła.

W Olsztynie spędziła dwie kolejne doby, niestety nie w przedziwnym pensjonacie żółtym do szpiku kości, z żółtymi zasłonami w żuki oraz wanną w odcieniu musztardowym, tylko w szpitalnym łóżku. Wiktor ani Edna nie mogli jej odwiedzić, na chwilę zajrzała tylko Jagoda, którą jednak też szybko przepędzono do siebie. Pozwolono wejść tylko mamie, która przyjechała pierwszym możliwym pociągiem do Olsztyna.

– Ale mnie nastraszyłaś! Ja wiem, że dzieci często to robią swoim rodzicom, ale może już więcej mnie nie strasz, okej? – uśmiechnęła się do córki, choć widać było, że walczy ze łzami.

Karolina przytuliła się do niej z całych, choć dość wątłych sił.

Po ustabilizowaniu kaszlu i uśmierzeniu bólu wypuszczono ją w końcu do domu, wcześniej jednak informując doktor Lucynę o stanie jej pacjentki.

– Mała, ty chyba wzięłaś za dużo na swoje barki – powiedziała jeszcze siostra Ewa. – Pamiętaj, że nawet największy siłacz musi czasem odpocząć.

Po powrocie miała natychmiast stawić się w szpitalu.

Wiktor przez całą drogę powrotną nie odezwał się ani słowem, tylko co chwila patrzył z przestachem na swoją siostrę. Edna i Ewelina próbowały go czymś zagadać, ale nie dał się wciągnąć w żadne dyskusje.

– Jestem Wojowniczką, pamiętaj. A to oznacza, że od czasu do czasu muszę

wyść na pole bitwy, w przeciwnym razie straciłabym tytuł.

– Od czasu do czasu to ty musisz wziąć na wstrzymanie – wszedł jej w słowo. – I pozwolić się rozpieszczać.

MAGDALENA

Dwa grantowe paznokcie

Czy wolno mi napić się wina, obejrzeć film w telewizji, przeczytać książkę?
Czy wolno mi uprawiać seks?

Chciałabym pójść do kosmetyczki. Zafundować sobie masaż, ładny manicure, nałożyć maseczkę na twarz.

Czy matka, która ma chore dziecko, w ogóle może o sobie myśleć? A jeśli ściągnie tym złe wyniki? Co, jeśli los odpowie pogorszeniem stanu zdrowia Oli?

Tylko że ja jestem również kobietą, żoną i matką dziecka, które nie chce mnie widzieć jedynie w szarościach.

– Malujemy paznokcie? – kosmetyczka patrzy na mnie z uśmiechem.

Spoglądam na swoje dłonie. Wolno mi?

– Może je trochę ożywimy i zrobię wszystkie bordowe, a dwa granatowe? – kosmetyczka zerka na mnie pytająco.

Nawet mi się podobają. Tak jak relaksujący masaż twarzy jakimś cudownym olejkiem o zapachu mielonych migdałów. Prawie zasypiam, odpływam w nicość, w której najpiękniejsza była obojętność. Nic mnie nie martwi, nic nie spędza snu z powiek. Serce bije miarowo, przez głowę przepływają spokojne obrazy, a myśli mnie nie szturchają. Tkwię w jakimś półśnie, który mnie oszczędza, który nie dopuszcza słowa „nowotwór” i którego podsumowaniem jest maseczka z białych alg.

– Ładne! – godzinę później Ola chwyta mnie za ręce i dokładnie ogląda paznokcie. – Śliczne! Też takie chcę!

Czuję się rozgrzeszona.

Wieczorem siedzimy z Olkiem w kuchni, a on co chwila spogląda na mnie z uśmiechem.

– Ładnie wyglądasz.

Zaprzeczam.

– To tylko chwilowe działanie maseczki. Pod spodem ciągle mam wymalowany na twarzy strach. I coraz więcej zmarszczek.

Wstaje z krzesła, podchodzi do mnie i z całej siły przytula.

– Kocham każdą twoją zmarszczkę. I każdy grymas strachu. Każdą łzę. Żaden makijaż ani najlepsza maseczka nie mogą równać się z całą paletą emocji, które układają się na twojej twarzy w jedno słowo – Ola.

Nie trzeba nosić szpilek ani czerwonej sukienki, nie trzeba mieć pomadki na ustach ani czarnych pończoch, by znowu poczuć się kobietą.

Wolno mi.

Nie wiem, kto to powiedział, ale wiem, że jeśli podda się moja głowa, podda się też cała reszta. Nie wiem, co w tej chwili myśli Ola, dlatego ja muszę myśleć

za nią. Nie poddawać się, nie wyobrażać sobie, że te kable, rurki, igły, kroplówki są tylko po to, by oddalić śmierć, która i tak będzie potrafiła się przez te wszystkie zabezpieczenia przedostać.

Nie pozwolę na to.

Siła woli w tym drobnym ciałku musi być wprost proporcjonalna do mojej. A w zasadzie to moja powinna być jeszcze większa.

Nie wiedząc, gdzie jej szukać, zwróciłam się do Boga. Pamiętam, kiedy jedna z matek, widząc mnie z różańcem w dłoni, pokręciła tylko przecząco głową.

– To nie pomaga – szepnęła. – Próbowалам wszystkiego i to nie pomaga. Pomagają leki, operacja i cud. Ale Bóg wcale nie chce pomóc. Czasem myślę, że obraził się na moje dziecko, tylko zupełnie nie wiem dlaczego. Nie mógł wybrać mnie?

Jeszcze inna powiedziała kiedyś: „W dupie mam twojego Boga. Musi się strasznie nudzić, skoro bawią go chore dzieci”.

Ale ja postanowiłam próbować dalej. Przecież to nie może zaszkodzić. Te wszystkie życzenia znajomych, przyjaciół, msze zamawiane dla Oli, moje prośby, modlitwa, którą Olek codziennie czytał naszej córce, a którą specjalnie dla nas napisał przyjaciel. Banalna? Śmieszna? Trywialna?

Dla mnie też pewnie byłaby taka, gdyby nie chodziło o moje dziecko. W takiej sytuacji człowiek chwytą się absolutnie wszystkiego. Żal mi ludzi, którzy w nic nie wierzą. Bo jeśli chemia zawiedzie, a operacja się nie uda, to co im zostaje? Kogo poprosić o cud? Kogo próbować przekupić, wyżebrać nadzieję? Niektórzy przyprawdzali szamanów. U nas na oddziale lekarze powiedzieli, że można pod warunkiem, że nie będą się wtrącać do leczenia i nie będą samodzielnie niczego podawać. Moja rodzina znalazła jakiegoś bioenergoterapeutę. Była różdżka, były zaklęcia. Postanowiłam, że zgadzam się na wszystko. Suma tych wszystkich sił płynących do nas z każdej możliwej strony nie miała prawa zawieść. Wierzę, że siłą woli można rozpałić ogień. Czy zatem kumulacja takiej wiary nie uleczy mojego dziecka?

Dostałam małą buteleczkę z olejkiem z jakiegoś sanktuarium. Codziennie wieczorem robiłam Oli na czole znak krzyżyka. Krzywiła się. Kiedyś na moment odwróciłam się, sięgając po torebkę, a Ola zawołała zadziornie:

– I tak wytarłam!

Niech wyciera.

Ja będę wierzyć dalej, żeby nie stanąć pewnego dnia przed drzwiami, za którymi nie będzie już nic.

KAROLINA

Doktor Lucyna zagryzła wargi, a potem usiadła na łóżku Karoliny.

– Mówić bez ogródek, prawda?

– Jasne. Co prawda, jeśli chce mi pani powiedzieć, że umrę jutro, to kiepsko, bo mam jeszcze trochę spraw do załatwienia. – Przełknęła ślinę. Nie jest łatwo być twardym, kiedy lekarz ma gówniane wiadomości.

Doktor Lucyna uśmiechnęła się nieznacznie, a potem przystąpiła do wyjaśnień:

– Z tą śmiercią to sobie jeszcze poczekajmy, dobrze? Na razie nakreślę ci co i jak. Otóż chemia nie pomogła nam tak bardzo, jak byśmy sobie tego życzyli. Prawdopodobnie twój chłoniak to twarda sztuka i chce nam pokazać, że nie pozbędziemy się go tak łatwo. Dlatego postanowiliśmy, że wytoczymy kolejne działo. Czasem w przypadku takiego nowotworu jak twój można przeszczepiać komórki macierzyste, własne lub pochodzące od dawcy. Komórki macierzyste to inaczej pierwotne komórki krwi. Jest oczywiście małe „ale”...

– Jak zawsze – wtrąciła Karolina.

– Ten sposób leczenia wiąże się z możliwością wystąpienia różnych działań niepożądanych, dlatego nie stosujemy go rutynowo. Zanim podejmiemy ostateczną decyzję, musimy wziąć pod uwagę twój ogólny stan zdrowia oraz wiek.

– A jeśli te testy przejdę pomyślnie?

– Pobierzemy od ciebie komórki macierzyste, które przechowamy do czasu, aż będziesz gotowa do przeszczepu po skończonej chemioterapii, która zlikwiduje komórki nowotworowe.

– Czyli uderzamy chemią raz jeszcze?

Doktor Lucyna kiwnęła głową.

– Musimy. Rozmawiałam już o tym z twoją mamą. A potem, kiedy będziesz już gotowa, przez kroplówkę wprowadzimy do twojego krwiobiegu komórki macierzyste. Przedstaną się do szpiku kostnego, gdzie zaczną produkować komórki krwi. Nazywamy to przeszczepem autologicznym. Ale bierzemy pod uwagę jeszcze inną opcję, czyli przeszczep komórek macierzystych pobranych od innej osoby.

– Będę musiała znaleźć dawcę?

– Możliwe.

– A jak się nie uda? Czy istnieje coś takiego jak agencja szpikowa?

– Nie... ale są fundacje, które pośredniczą w znajdowaniu dawcy.

– Ale to nie o tym mówiła Amelia.

– Amelia?

– Ta dziewczynka ze szpitala w Olsztynie. Ona mówiła zupełnie o czymś innym.

– Rolka...

– No dobrze, to może zacznijmy od tego autoprzeszczepu, przynajmniej znam dawcę. – Karolina spojrzała zrezygnowana na lekarkę.

– Zobaczmy. To dość bezpieczna metoda, bo nie ma ryzyka choroby przeszczepu przeciw gospodarzowi, jak my to nazywamy.

– Odrzucenie?

– Coś w tym rodzaju. W wyniku wprowadzenia obcych komórek do organizmu może dojść do niepożądanych reakcji immunologicznych. Z drugiej jednak strony, przy autoprzeszczepie istnieje ryzyko wznowy choroby. Dlatego musimy to omówić na konsylium, raz jeszcze przeprowadzić wszystkie badania i zobaczyć, jak zareagujesz na kolejną chemię. Ale pamiętaj – dopóki mamy broń w dłoni, nie jesteśmy łatwym przeciwnikiem. A nawet jak się ją nam wytrąci, to ciągle jeszcze możemy użyć własnych rąk. My nie wywieszamy tak szybko białych flag. – Poklepała Karolinę po ręce. – Idę. A ty odpoczywaj, bo ostatnie wydarzenia raczej mocno dały ci w kość. – Pogroziła jej palcem.

Wieczorem przyjechał Wiktor z mamą.

– Moja droga, wyglądasz kwitnąco – oznajmił tuż na progu, a Edna uniosła w górę kciuk. – Co prawda, nadal nie rozumiem, dlaczego postanowiłaś tak bardzo mnie przestraszyć, no ale najwyraźniej taka już twoja natura. Udało ci się, choć nie należę do osób specjalnie strachliwych. Czy wiadomo już, co dalej? – Karolina doskonale wiedziała, że próbuje zagadać własny niepokój i oddalić ewentualną informację, że nie jest dobrze.

Co i jak mu powiedzieć?

– Mamy nowe plany z moją panią doktor. Ale na razie Jagoda.

Westchnął i włączył telewizor.

Minął zaledwie tydzień od czasu, kiedy mała dziewczynka wypowiedziała na głos swoje życzenie, a już zostało ono spełnione. W sprawę zaangażowała się siostra Ewa, która miała krewnego w lokalnej telewizji. Nie szukali więc fundacji, nie szukali znajomych, którzy mogliby jakoś im pomóc – sprawa potoczyła się równie szybko jak spadające z nieba gwiazdy.

– Siostra Ewa powiedziała, że na razie lokalna telewizja wystarczy, ale po tym programie z pewnością zapamiętają Jagodę. Niestety nie mogła pojechać na nagranie, to wiązałoby się ze zbyt dużym stresem, dlatego ekipa telewizyjna przyjechała do szpitala – opowiadał z wypiekami na twarzy Wiktor. – I kiedy dowiedzieli się, że dziadek Jagody jest fanem Chmurki, to przygotowali takie papierowe tablice, jakich dawniej używano. Zresztą sama zaraz zobaczysz.

Karolina żałowała, że nie może być teraz przy małej Jagodzie, trzymać ją za rękę i razem przeżywać pierwszy występ w telewizji. Co prawda, nie był to występ na żywo, ale emocje równie wielkie.

Zapowiedzieli ją!

– Dzisiejszego wieczoru wystąpi przed państwem ośmioletnia Jagoda Mrów-

czyńska, która zapowie prognozę pogody na jutro oraz najbliższe dni. Jagoda marzy, aby w przyszłości zostać prezenterką telewizyjną, na razie jednak musi stoczyć walkę z prawdziwą burzą, która zaskoczyła ją ponad rok temu. Jagoda jest chora na raka, ale to nie znaczy, że zrezygnowała z własnych marzeń.

Na ekranie telewizora pojawiła się drobna, łysa dziewczynka. Karolina uśmiechnęła się. Jagoda nie chciała ani peruki, ani chustki. Chciała pokazać się taką, jaka jest teraz. W końcu to tylko włosy, a ona ma mówić o pogodzie. Nie występuje w programie dla fryzjerów.

– Czwartek zapowiada się dość pochmurno. W części kraju spodziewamy się również opadów deszczu. Na ogół będzie dużo chmur, jednak możemy liczyć na niewielkie przejaśnienia. Synoptycy, czyli ludzie zajmujący się zawodowo prognozowaniem pogody, zaznaczają, że miejscami w całym kraju może popadać. Termometry w najcieplejszym momencie dnia wskażą od czternastu stopni Celsjusza na Suwalszczyźnie do dwudziestu dwóch w Małopolsce. Wiatr będzie słaby i umiarkowany, a okresami silniejszy, wschodni.

Jagoda była bardzo skupiona. Mówiła wolno, wyraźnie i odważnie patrzyła w kamerę. Za jej plecami widać było starą tekturową planszę, na której narysowano mapę Polski, a na niej zaznaczono większe miasta wraz z symbolami słońca, chmur i deszczu.

– Myślę, że jutro warto zabrać ze sobą parasole. A dzieci niech założą kalosze, bo nie ma nic fajniejszego niż taplanie się w kałużach – zakończyła z uśmiechem i pomachała wszystkim widzom.

Karolina poczuła wielką dumę. Zupełnie jakby to ona nauczyła Jagodę zachowania przed kamerami.

– Świetna była! Po prostu rewelacyjna! Myślę, że w przyszłości jeszcze o niej usłyszymy!

Wiktor spojrzał na nią spod oka.

– Rolka...?

– No?

– Co z tobą?

– W porządku. Muszę dostać jeszcze jedną chemię, tym razem taką naprawdę silną. Nie będziemy się mogli wtedy zobaczyć, bo będę wyjałowiona jak gaza. Przezroczysta. Antyseptyczna. Wypłukana. Nawet czyjś oddech mógłby się dla mnie skończyć jakąś infekcją. Ale to oczywiście minie. Chemia zabije komórki rakowe i wtedy doktor Lucyna wytoczy najcięższe działło. Autoprzeszczep. Chyba.

– Co znaczy chyba?

– Bo może to nie będzie „auto”, tylko cudzy.

– Nie rozumiem.

– No, dostanę szpik od kogoś innego.

– Ja ci dam! Rolka ja ci dam cały szpik, jaki mam! Będę wtedy twoim naj-

prawdziwszym bratem. Żadnym „pół”, bo wiem, że czasem ciągle tak jeszcze myślisz! Rolka, ja zaraz pójdę do tej twojej pani doktor i każę jej wziąć mój szpik!

Karolina schowała się pod kołdrą, żeby jej samozwańczy szpikowy brat za żadne skarby nie zobaczył, jak bardzo się rozkleiła.

Wieczorem wyciągnęła czerwony balonik z myślą, że może powinna go wykorzystać już teraz. W końcu jeden i tak był przeznaczony właśnie dla niej. Zostały jeszcze trzy... Tyle że najpierw miała spełnić marzenia innych, a dopiero na końcu swoje.

Nie ma zatem wyjścia.

Musi poczekać. Być może z tym przeszczepem wszystko pójdzie dobrze, więc może warto zostawić balonik na inną okazję. Kiedy nie będzie już żadnej nadziei, a Świniak znowu podniesie wysoko swój wieprzowo-rakowy łeb.

Następnego dnia, siedząc naprzeciwko doktor Lucyny, poczuła, że jednak się boi. Co prawda, w dzień wszelkie strachy chowały się pod łóżko, ale dzisiaj było jakoś inaczej. Jakby wypełzły ze swoich kryjówek i przysiadły na jej ramieniu.

– Zdecydowaliśmy. Ponieważ nawroty są częstsze u biorców autologicznych, zdarzają się aż u siedemdziesięciu pięciu procent chorych, nie będziemy ryzykować. Będziemy szukać dawcy – powiedziała Lucyna i uniosła w górę oba kciuki. – Ale najpierw chemia.

Karolina uśmiechnęła się blado, z domieszką nastoletniej odwagi. Skoro jej lekarka uważa, że tak będzie lepiej, to najwyraźniej jest w tym jakiś sens.

– Łatwo jest znaleźć dawcę?

– Nie – przyznała szczerze doktor Lucyna. – Ale to nie jest niemożliwe. Zaczniemy od rodziny, od twoich najbliższych. Jeśli się nie uda, będziemy szukać dalej.

– Jak?

– W bankach szpiku.

– Będzie dobrze, prawda? – spytała Karolina i zacisnęła w dłoni nienadmuchany czerwony balonik. W razie czego ciągle ma jeszcze swoją ostatnią deskę ratunku.

Każda myśl uruchamia inną. Niekoniecznie u nas samych – czasem czyjeś podświadome pragnienie budzi w kimś, oddalonym od nas o setki kilometrów, dokładnie tę samą potrzebę.

Dziesięcioletnia Amelia wspomniała o wielkiej szpikowej rodzinie, która ma jeden numer telefonu. Czynny całą dobę. Teraz szpiku potrzebowała Karolina.

W tym samym czasie dorosła już Dorota, matka trójki dzieci, pomyślała o drużynie szpiku, działającej na zasadzie Drużyny Pierścienia. Fundacja już była, teraz wystarczyło stworzyć dodatkową platformę, której celem byłoby maksymalne zwiększenie liczby osób zarejestrowanych w Centralnym Rejestrze Niespokrewnionych Potencjalnych Dawców Szpiku i Krwi Pępowinowej, a tym samym zwiększe-

nie szans na wyzdrowienie nie tylko jednej Amelii, Karolka, Maćka czy Karoliny, ale i setek podobnych dzieci.

Karolina wyobraziła sobie moment, w którym dowiaduje się, że jest dawca.

Wiktor przywołał w wyobraźni elfa o włosach jak puch ostu, który przecież uwielbiał zabawy w życie i śmierć.

Drużyna Szpiku musiała więc wystartować, by każda rejestrująca się osoba mogła uratować czyjeś życie.

MAGDALENA

Drużyna Szpiku

Anna Wierska.

Nie poznałam jej osobiście, ale poznałam jej historię. Dzięki Dorocie. I dzięki innym mamom, które opowiadały sobie o Ani, o jej walce i niesamowitej sile, z jaką walczyła do samego końca. I tak sobie pomyślałam, że to nieważne, czy życie układa nam się miękko i łatwo, czy raczej każe się potykać o kamyczki, gałęzie, a nawet głązy. W każdej konfiguracji spotkamy ludzi, którzy nas w taki czy inny sposób kształtują. Idąc różową ścieżką, być może natrafiłabym na barwne ptaki, na artystów lub poetów. Idąc czarną, spotykam Motyle. Wojowników. Marzycieli. Anioły, choć bez skrzydeł. Ludzi, którzy niechcący mnie potracili i zarazili swoją wiarą w innych, swoją chęcią niesienia pomocy i przekonaniem, że żyjemy nie tylko dla siebie.

Ania. Marzycielka, romantyczka i siłaczka. Walczyła nie tylko z białaczką, brakiem dawcy szpiku, ale przede wszystkim z ludzką niewiedzą i obojętnością. Zamarzyła, by oswoić strach przed oddaniem „kropli krwi”. Zamarzyła. Zdążyła зараzić innych swoimi marzeniami i założyć Fundację Dar Szpiku. A szpik to szansa na dalsze życie. Ania jej nie dostała, ale nasionko zdążyło wykiełkować.

Choroba spadła na nią znienacka, zupełnie jakby chciała przekonać się, jak zareaguje człowiek aktywny i pełen optymizmu. Diagnoza: przewlekła białaczka szpikowa. I rozpoczęły się walka, badania, chemie i kolejne informacje, że „w światowych bankach nie ma dla pani dawcy”.

Mimo to nie gasła w niej nadzieja i wiara, że kolejny dzień przyniesie nie tylko poprawę wyników, ale i informację „pani Aniu, jest”. Po roku pojawił się promyk nadziei – dawca z USA. Miał zgodność antygenów, jednak jego stan zdrowia nie pozwolił na życiodajny przeszczep.

„Mój dawca jest blisko, muszę Go tylko znaleźć” – to słowa, które powtarzała każdego dnia. Słowa, które były motywacją do dalszego działania. Rozmawiała ze wszystkimi, młodymi, starymi, matkami i nastolatkami. Nie bała się powiedzieć „potrzebuję Was, a wy możecie zrobić coś ważnego i wyjątkowego – dać życie”. Wierzyła, że nawet jeśli jej się nie uda, to warto i trzeba robić to dla wszystkich innych. Świat dzieli się na ludzi zdrowych i chorych. Zdrowi mogą chorym pomóc, chorzy nauczyć zdrowych empatii. System wzajemnych połączeń zawsze się sprawdza. Fundacja Anny Wierskiej Dar Szpiku to było Jej marzenie, ale zobowiązanie nas wszystkich.

Nie ma już Ani. Ale jest Dorota.

Patrę na nią, na tę drobną blondynkę z włosami do ramion, która mogłaby teraz siedzieć w ogródku i podlewać kwiatki albo malować paznokcie w salonie

urody. Wybierać sukienkę na lato. Pudrować nos. Bawić się beztrąsko ze swoimi dziećmi, które są zdrowe. Ale Dorota stoi naprzeciwko kamery telewizyjnej i skupiona mówi: – Mamy Drużynę Szpiku. Ilość miejsc nieograniczona. Bilety wstępu niepotrzebne. Bo trzeba pomagać. Dla jednych będzie to oddanie szpiku, mówienie na czym polega przeszczep, dla innych bieganie maratonów w naszych koszulkach czy organizowanie zbiórek krwi i spotkań w szkołach. Dla artystów to charytatywny udział w kampaniach społecznych. Wszyscy są potrzebni, bo ta Drużyna to nic innego jak łańcuch składający się z niekończących się ogniw. Każde z nich ma swoje zadanie. Na tym polega właśnie nasza wyjątkowość – na różnorodności. Wnosimy do niej to, co mamy najpiękniejszego, co umiemy, robimy i lubimy. Chowamy strach do słoików i szczelnie je zakręcamy. Tu nie ma miejsca na jakieś obawy. Tu tylko trzeba wyjść krok przed swój wrodzony egoizm i powiedzieć sobie – dobrze, pomogę komuś drugiemu. Obcemu. Komuś, kogo nie znam i kto tak naprawdę jest mi obojętny. Łatwiej jest oddać krew czy szpik bliskim znajomym, gorzej, kiedy biorca nie ma twarzy. Ale wtedy wystarczy wyobrazić sobie, że ma twarz naszego dziecka. Matki, przyjaciółki, brata. Bo to przecież może być ta twarz, prawda?

Nie wiem czemu, ale poczułam się tak, jakby Ola już wyzdrowiała, chociaż ona przecież nie potrzebuje szpiku. Ale nigdy nie wiadomo. Nigdy...

To nie jest tak, że przed urodzeniem losujemy karteczki z napisem „choroba” lub „beztroskie życie”. Czasem w tym beztroskim życiu pojawia się rak, a czasem po chemii następuje całkowite rozpozgodzenie. Przyszłość jest znakiem zapytania i to też jest w niej piękne.

KAROLINA

– Cześć. – Uśmiechnęła się do Oli, która znowu siedziała na parapecie okna i malowała coś palcem po szybie.

– Cześć. – Uśmiechnęła się mała.

– Jaką masz tajemnicę? – spytała Karolina.

– Nadal neuroblastomę. A ty?

– Nadal chłoniaka. Mówię o nim Świniak.

– Też taki niedobry?

– Niestety. I bardzo lubi stawać do walki. Obrywa z każdej strony, ale wstaje i walczy dalej. Na szczęście trafił na godnego sobie przeciwnika. – Puściła do niej oko.

– Mój też jest zły. Wrócił po raz kolejny.

Karolina zamilkła na moment. Kolejna wznowa? Jak ona to wytrzymuje?

– Ola, to niemożliwe, znowu?

Dziewczynka kiwnęła głową.

Karolina pogłaskała ją po ślicznej buzi i z werwą powiedziała:

– A wiesz, że troszkę podkradłam twój pomysł na spełnianie marzeń? Jeżdżę po różnych szpitalach i wypytuję dzieci o to, co chciałyby najbardziej dostać. Albo kogo spotkać. Co zrobić szalonego. I potem zapisujemy to marzenie na karteczce, doczepiamy do balonika i wysyłamy w stronę nieba – oznajmiła z dumą.

– Działa?

– Na razie tak. I tak sobie myślę, że to w bardzo dużej mierze twoja zasługa.

Ola uśmiechnęła się szczęśliwa.

– A wiesz, że mój brat mówi na mnie Pikuba?

– Ładnie! A mój na mnie Rolka.

– Masz starszego brata?

– Młodszego. W zasadzie to jest brat przyrodni, bo mamy tylko wspólnego tatę, ale kocham go jakby był moim bliźniakiem. – Zawahała się na moment.

Chyba po raz pierwszy powiedziała to głośno i wyraźnie. I nawet ładnie to zabrzmiało.

– Znowu uciekłaś ze swojego piętra? – spytała Ola.

Karolina przytaknęła.

– Bardzo lubię tu zaglądać.

– Dlaczego?

– Trudno powiedzieć. Jesteście mniejszymi dziećmi i jest tu głośno, ale i tak wolę ten hałas niż moją ciszę pierwszego piętra. Mam wrażenie, że u nas jest jakoś bardziej smutno.

– Może macie za mało pluszaków? – podsunęła Ola.

Karolina roześmiała się.

– To jest możliwe! No i nie mamy żadnego wózka z lalkami. Kiedy byłam mała, wolałam chłopięce zabawki, takie jak pistolety, noże czy samochody, ale teraz chętnie pobawiłabym się lalką. – Mrugnęła do niej.

– Ja dostałam na urodziny wózek od siostry Lilki i innych pielęgniarek. A one znowu dostały od mojej mamy śledzie. Mama dała im też przepis, ale i tak chcą takie już zrobione. Chcesz się ze mną pobawić?

Karolina ze zdumieniem uzmysłowiła sobie, że o niczym innym nie marzy. Swoją drogą sałatkę śledziową z cebulą i jabłkiem też by chętnie zjadła.

– Moja droga, czy ty wiesz, co to jest pogrzeb? – Oli zupełnie nie przeszkadzało, że mówią o śmierci w taki sposób, jakby rozprawiły o rodzajach ciastek.

Karolina początkowo miała pewne opory, ale po chwili uznała, że czarny humor sprawdza się czasem lepiej niż niekompetentne i smętne pocieszenie. „Będzie dobrze, zobaczysz...” – chyba każdy chory dostawał wysypki na sam dźwięk tych słów.

A zatem porozmawiajmy o śmierci.

Wzięła do ręki uroczą lalkę w niebieskiej sukience z kręconymi jasnymi włosami.

– Jestem Petronela, właśnie wracam z pogrzebu mojego przyjaciela misia – powiedziała nienaturalnie wysokim tonem, co za każdym razem wywoływało uśmiech na twarzy Oli. – Miś dał mi do zrozumienia, że było bardzo ponuro.

– Nie było soczku? Ani lodów? – spytała Ola, udając, że jest lalką numer dwa, w zielonych spodniach i zielonej koszulce.

– Niestety. – Pokręciła głową Petronela. – Nie było też fajerwerków ani żadnych wesołych zabaw, od których kręci się ze szczęścia w głowie.

– To wróćmy tam i zrobmy piknik!

– Na grobie? – zdumiała się Petronela głosem Karoliny.

– Tak, tak! – Podskakiwała Ola. – Kupimy czekoladowe cukierki i przynieśliemy magnetofon.

Obie roześmiały się jak na zawołanie.

– Boisz się? – spytała Karolina.

Ola pokręciła głową.

– Boję się, że wszyscy będą smutni. Że będą płakać i że to będzie przeze mnie. A ty?

Karolina zastanowiła się. To nie był strach przed samą śmiercią, tylko raczej potworny żal, że nie będzie miała okazji zrobić tylu rzeczy! Wyjechać z Wiktoorem na prawdziwe wakacje, pocałować Pawła... No dobrze, nie chciała o tym myśleć, jakoś tak samo wyszło. Z drugiej strony, co w tym dziwnego? Jak można umrzeć, zanim się kogoś po raz pierwszy pocałuje?

– Ja chcę żyć. I pójść z tobą na lody.

Ola uśmiechnęła się.

– Albo na parówki. Ciągłe mi smakują i nawet siostra Lilka powiedziała, że trudno. Że mam jeść to, co lubię.

Petronela i ta druga lalka w zielonym ubraniu („nie pasuje do niej żadne imię” – powiedziała Ola) usiadły na ziemi i zamarły na moment.

– Mój kolega powiedział, że jak kiedyś umrze, to zmieni się w kościotrupa i będzie straszyć dzieci. – Ola poprawiła lalce w zielonym ciemny warkoczyk.

Karolina zaśmiała się.

– Słaby pomysł. Kościotrupów nikt się już nie boi. Mój brat nosi spodnie w trupie czaszki, koszulki z kościotrupem i nawet na skarpetkach ma wzorek z kości. Inna sprawa, że on wierzy w duchy, magików oraz różne dziwadła, które ciągle balansują na granicy życia i śmierci.

– To my? – spytała Ola.

Karolina spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Jak to my...? A wiesz, że tak! – zawołała nagle. – Ani nie jesteśmy w stu procentach po tej stronie, ani po tamtej. Dziwadła z nas straszliwe.

– A panienka nie pomyliła czasem oddziałów? – Przed Karoliną stanęła wysoka pielęgniarka i ujęła się pod boki.

– Ja do Oli.

– To widzę. Ale i tak zapraszam piętro niżej. Trochę późno się zrobiło.

Karolina westchnęła.

– Przyjdiesz jeszcze? – spytała Ola.

Pielęgniarka uniosła brwi.

– No pewnie, w końcu wolno nam się odwiedzać! – powiedziała Karolina i naciągnęła na łysą głowę kaptur od szlafroka. – Wiesz, co jest dobre w kolejnych chemiach? – spytała jeszcze, odwracając się i patrząc na Olę.

– Nie...

– To, że nam już bardziej włosy nie wypadną. – Roześmiała się łobuzersko i poszła w kierunku windy.

MAGDALENA

Pani w zielonym berecie

Spotkałam go! Spotkałam tego artystę ulicznego, który namalował Olę starszą o rok. Myślałam, że już nigdy go nie zobaczę, ale najwyraźniej mieliśmy jeszcze kiedyś na siebie wpaść. I wcale nie siedział w tym samym miejscu co poprzednio. A ja też poszłam do szpitala zupełnie inną drogą. Trochę dookoła, trochę wydłużyłam trasę i trochę nawet pobłądziłam. Myślałam o filmie, który Drużyna chciała nakręcić o Oli.

Wyjść do świata z naszym strachem? Odsłonić się? Pokazać coś tak intymnego jak ból i łzy?

I wtedy go zobaczyłam.

– Pamięta mnie pan? – Podbiegam do niego, nie zwracając uwagi na innych ludzi, którzy przypatrywali się jego pracy.

Patrzy na mnie trochę nieprzytomnie, ale chyba mnie rozpoznaje.

Zresztą od razu wyciągam najnowsze zdjęcie Oli i mu je podaję.

– Narysował pan jakiś czas temu moją córkę. Ale to nie był portret taki idealny ze zdjęcia, tylko o rok później.

– Pamiętam. – Kiwa głową. – To było dość zaskakujące zamówienie.

– Teraz będzie takie samo! Proszę, tu jest jej aktualna fotografia. Proszę ją narysować znowu o rok starszą.

– Wznowa?

Skąd on wie?

Nieważne! Niech tylko ją narysuje, wtedy będę mogła znowu spokojnie spać.

– Przepraszam, ale chyba byłam przed panią – mówi jakaś kobieta w zielonym berecie. Swoją drogą było chyba za ciepło na nakrycia głowy? Ale może to kwestia mody.

– Proszę mnie przepuścić. To jest sprawa życia i śmierci, a w podziękowaniu kupię pani... – waham się – pomarańczowy beret!

– A po co?

– Bo chyba je pani lubi?

– Nie. Mam jeden i czasem go zakładam. Nie kolekcjonuję beretów i nie rozumiem, skąd pani to przyszło do głowy. Za to chciałabym mieć swój portret.

Przełknęłam ślinę. Pewnie myśli, że jestem niezrównoważona psychicznie. Bo pewnie jestem. Każda matka chorego dziecka prędzej czy później odrobnie fiksuje.

– To ja za niego zapłacę.

– No... dobrze. Skoro pani nalega.

Nie nalegam. Po prostu muszę być pierwsza.

Ola ma na rysunku piękne długie włosy. I jeszcze większe oczy, jeśli to w ogóle możliwe. Jest śliczna. Już się nie mogę doczekać, kiedy ją taką zobaczę.

– Wrócę do pana – obiecuję artyście, płacąc za portret mojej córki i za ten pani w berecie.

– Mam nadzieję, że nie będzie pani musiała. – Uśmiecha się do mnie, a ja czuję, że unoszę się nad ziemią.

Czasem człowiek wierzy w różne absurdalne znaki, w jakieś wizje urojone, irracjonalne symbole nie wiadomo czego. I czasem okazuje się, że miał rację. Że piórko na wietrze może coś oznaczać, podobnie jak znaleziony grosik w trawie czy słowa ulicznego artysty.

W szpitalu zastałam niecodzienny widok. Dwie babcie i dwóch dziadków Oli udających zwierzęta. Plus Mateusz pokładający się ze śmiechu.

– Kalambury? – odgadam natychmiast.

– Proszę cię, zgadnij, kim jestem, bo dłużej tak nie wytrzymam. – Mruga do mnie tata wyciągnięty w dziwnej pozycji na ziemi. Rozdziawia też nagle usta i zaczyna nimi kłapać.

– Krokodyl! – wołam, a tata oddycha z ulgą.

Ola i Mateusz śmieją się jak zwariowani.

– Myśleliśmy, że dziadek jest dżdżownicą.

– Dżdżownice nie mają paszczy – obrusza się dziadek.

– Ale ty się wiłeś tak śmiesznie – mówi Mateusz, a Ola podskakuje na łóżku.

Może ją wypuszczą na kilka dni? Pojechalibyśmy do lasu, nad jezioro albo po prostu poszli na spacer. Wszyscy razem, tyle że bez kroplówki.

– Mamo, teraz ty! Wymyśl coś, ale musi być zwierzę.

Lew? Paw? Małpa!

Kucam i zaczynam skakać, drapiąc się jednocześnie ręką po głowie. Przechodząca właśnie korytarzem grupa studentów udaje, że absolutnie mnie rozumie i wcale ich nie dziwi, że udaję małpę. Po ich twarzach widzę jednak, że mocno to nimi wstrząsnęło.

KAROLINA

– Jesteś sławna! – Karolina szturchnęła Olę i pokiwała z uznaniem głową. – Napisali o tobie w gazetach i to niejednym razem! Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dopiero siostra Lilka pokazała mi te wszystkie artykuły. Zazdroszczę ci, podbiłaś serce poznańskiego piłkarza.

Reiss prosi o krew

– *Chcę pomóc Oleńce. Dziewczynka jest w wieku mojej córki i ma groźny nowotwór. Pierwszy zjawilem się, by oddać dla niej płytki krwi. Musimy ją ratować!* – apeluje kapitan Kolejorza Piotr Reiss.

„Fakt”, 26 lutego

Ola wyciągnęła też całe mnóstwo kartek z życzeniami, rysunkami od innych dzieci i rozsypała to wszystko na łóżku.

– Niesamowite. Zazdroszczę ci, że masz tylu przyjaciół! I że tyle osób trzyma za ciebie kciuki. A jakie są plany na najbliższe dni?

Ola wzruszyła ramionami.

– Autoprzeszczep – Karolinę dobiegł głos lekarki dziewczynki, która właśnie weszła do sali. – Początkowo szukaliśmy dawcy, ale jednak zdecydowaliśmy się na wersję autoprzeszczepu. Przez jakiś czas nie będziesz mogła odwiedzać Oli.

– Wiem. Ale będę mogła tu przychodzić i chociaż na nią popatrzeć? Wiem, że będzie leżeć w namiocie i że nawet telewizor będzie musiał być w folii, ale chociaż mnie zobaczy.

– Jasne. Po prostu nie będziecie mogli rozmawiać.

– Napiszę do niej! I dam siostrze Lilce do przeczytania. Ola uwielbia dostawać listy. Poza tym muszę ją informować, jak tam postępy z balonikami.

– Z czym? – nie zrozumiała lekarka.

– A, to taka nasza mała konspira szpitalna.

– Rozumiem. Byle legalna.

Karolina pomachała Oli ręką na do widzenia i poszła do siebie.

Ależ nuda. O wiele fajniej było tam na zewnątrz, kiedy mogła jeździć po całej Polsce i chociaż ciągle dotykała najbardziej paskudnych chorób, to jednak czuła się zdecydowanie lepiej niż tutaj. Niestety, musiała na jakiś czas zostać w szpitalu, zwłaszcza po takich akcjach jak ta ostatnia. No i czekała ją jeszcze kolejna chemia. Ale doktor Lucyna powiedziała, że organizm znowu nabrał siły, a to bardzo dobrze, bo w im lepszej pacjenta jest kondycji, tym większa szansa na udany przeszczep.

Uśmiechnęła się. Marzenie Amelii zaczęło się spełniać zupełnie niechcący, bez większego udziału Karoliny. Tylko szkoda Wiktora...

Kiedy tylko dowiedział się, że Rolka potrzebuje szpiku, jako pierwszy zgłosił się na ochotnika.

– Nie boisz się? – spytała Karolina.

– No przestań! Przecież ja tylko oddaję krew. Wszystko już jest ustalone i zaplanowane. Mogę zjeść śniadanie i wypić szklankę soku. Potem pobiorą mi dwie próbki krwi do badań antygenów HLA. Nie do końca jeszcze wiem, co to znaczy, ale doczytam i dopytam. Wiem tylko, że to coś jak linie papilarne – niezwykle trudno trafić na podobne. Z krwi z jednej próbki zrobią w laboratorium badanie pod kątem antygenów zgodności tkankowej – wyrecytował dokładnie wyuczony tekst – a druga próbka zostaje zamrożona i będzie przechowywana jako próbka archiwizacyjna. Fajnie, nie? Zarchiwizują mi krew!

Karolina patrzyła na niego z zachwytem, czując, jak coraz bardziej się rozkleja.

Odchrząknęła więc, aby ukryć zmieszanie, i powiedziała:

– Żebyś tylko nie zemdlał.

Wiktor obruszył się.

– Moja droga, ja nie jestem z tych facetów, których osłabia kolor czerwony. Również igła mnie nie przeraża, nawet taka, która wkłuwa się w moje ciało. Jestem po prostu twardzielem i gwarantuję ci, że będę stawiany za wzór wszystkim innym mężczyznom powyżej dziesiątego roku życia.

– Z tego co wiem, to osoby niepełnoletnie nie mogą być dawcami. Jak to zrobiłeś?

– Mogą, jeśli zgodę wyrażą rodzice oraz sąd i jeśli przeszczep dotyczy kogoś z rodziny. Zgodę sądu mama załatwiła niemal od ręki, bo na szczęście ma tam jakąś znajomą.

Wiedziała, że i tak nic by go nie powstrzymało. Przekonałby samego diabła, gdyby zaszła taka konieczność.

– A wiesz, że pierwsze próby ze szpikiem stosowano już pod koniec dziewiętnastego wieku? Tylko trochę na innych zasadach. Nie było wtedy żadnych przeszczepów, po prostu lekarze serwowali chorym na niedokrwistość szpik zwierzęcy. Dobrze, że teraz nie musisz wysysać kości z nogi niedźwiedzia albo innego potwora, tylko po prostu weźmiesz go ode mnie. Kulturalnie, w sterylnych warunkach.

Karolina roześmiała się. Z każdą minutą uwielbiała go coraz bardziej, chociaż wydawało jej się, że to już niemożliwe.

– W moim szpiku powinna się namnożyć duża liczba komórek krwiotwórczych, które przejdą do krwi obwodowej i będą sobie u mnie krążyć. A teraz jest najlepsze. Pobiorą mi krew z żyły, następnie wpakują ją do czegoś podobnego do wirówki, która wyizoluje prawie wyłącznie komórki krwiotwórcze, a pozostałe komórki wrócą do mojej innej żyły. A to, co wywirują, podadzą tobie. Uważam, że to genialny plan, genialna maszyna i ogólnie całość brzmi trochę jak z filmu science fiction. Sam proces niewiele może ma wspólnego z magią, choć oczywiście można sobie wyobrazić, jak te komórki krwiotwórcze pojawiają się tak z niczego,

jakby jakieś zaklęcie je przywoływało. Medycyna to są takie trochę czary, prawda?
Skinęła głową.

– Są. Gdyby było inaczej, miasto musiałyby budować cmentarze zamiast nowych bloków.

Wiktor zaczął podskakiwać na jednej nodze i robić głupie miny.

– Ale się cieszę, że dostaniesz mój szpik. Pan Norrell lepiej by tego nie wymyślił. To nas połączy na wieki wieków.

Szansa na występowanie u rodzeństwa tego samego układu zgodności tkankowej wynosi jeden do czterech. To sporo. A jednak nie wystarczyło. Badanie wykazało bowiem, że o przeszczepie nie mogło być mowy i chociaż Karolina brała pod uwagę taką możliwość, to jednak rozczarowanie Wiktora było gorsze od samych wyników. Po raz pierwszy zobaczyła go na skraju rozpacz.

I po raz pierwszy nie wiedziała, jak zareagować.

MAGDALENA

Nic mi się nie śni

Nie mogę dotknąć mojego dziecka. Ola już miesiąc leży w tym wielkim przezroczystym namiocie, a ja czuję się tak, jakby była za szkłem. Kiedy spadła jej zabawka, wiedziała, że nie może jej dostać, dopóki nie przejdzie dezynfekcji. Była całkowicie wyjałowiona. Ale patrzyła na mnie przez tę folię i ja widziałam uśmiech. Wyniki krwi nie poprawiały się, ale i nie pogarszały. To też było dobre. Każdy kolejny dzień był nowym życiem. Nową szansą i nadzieją, że coś się zmieni.

Postanowiłam nie płakać, bo płacz nie daje żadnej motywacji. Nie wiem tylko, dlaczego czasem łzy lecą same, zupełnie jakbym nie miała nad nimi żadnej kontroli.

Mogę stracić wszystko, więc muszę błagać o pomoc. Ale przecież wszyscy błagają. To kogo wybrać? Komu pomóc, a przed kim bezradnie rozłożyć ręce? Wygrywają wyżsi z ciemnymi włosami czy może kobiety z małym biustem? Albo takie, które nie jedzą mięsa. Czy istnieje jakiś algorytm wysłuchiwanym?

Dzień i noc zlewają się w jedno. Nie wiem nawet, jaki jest dzień tygodnia. To niedobrze, bo przecież już nauczyłam się jakoś organizować swoje codzienne życie. A teraz znowu jestem w punkcie wyjścia. Kiedy Ola się do mnie uśmiecha, wyrastają mi skrzydła, kiedy patrzy smutno, tracę grunt pod nogami.

Nic mi się nie śni.

Zupełnie nic.

Mateusz napisał do Oli list. Mam go jej pokazać przez folię albo przeczytać.

Czekam na ciebie znowu. Nie mam się z kim kłócić. A wiesz, że znam na pamięć flagi wszystkich krajów? Na pewno mi nie wierzysz, więc wróć już, to bardzo się zdziwisz.

Twój M.

KAROLINA

Rok szkolny zaczął się zdecydowanie za szybko. Gdyby nie konieczność kolejnej chemii i gdyby wszystkie te dodatkowe badania nie poszatkowały tak wakacji, z pewnością zdążyłaby rozdać baloniki. Tyle że zaplanować można sobie co najwyżej najbliższą minutę, a i tak nawet wtedy nie ma się pewności, czy w tym właśnie momencie nie spadnie nam na głowę cegła z dachu.

Na razie nie ma dawcy. Więc trzeba walczyć inaczej. W tym samym czasie Edna bez większego zastanowienia sięgnęła po telefon...

Chemia tym razem uderzyła mocniej i nie pytała o próg bólu. Nie zastanawiała się, ile jest w stanie wytrzymać nastolatka ważąca czterdzieści trzy kilogramy. Uderzyła w mięśnie i zaserwowała zespół permanentnego zmęczenia. Nie pomagał sen, nie pomagało leżenie w łóżku i odpoczynek. Karolina nie miała siły unieść ręki. Była apatyczna, na wpół omdlała. Do tego nudności i wymioty.

– To normalna reakcja na działanie cytostatyków – wyjaśniła doktor Lucy na. – Wynikają z pobudzenia ośrodka nerwowego. Ale to minie.

I doszło coś jeszcze.

Polineuropatia. Karolina pomyślała, że tak mogłaby nazywać się jakaś magiczna kraina, zamieszkiwana przez elfy. Tyle że te brzydsze, te nie do końca przyjazne ludziom. Drętwienie kończyn i dziwne uczucie, jakby ktoś poraził ją prądem. Dwa tygodnie żyła między światami. Zapadała w szybki sen, ale niewystarczająco głęboki, by móc się zregenerować. Kiedy się budziła, nadal nie wiedziała, gdzie jest. Znowu chciało jej się spać. Głos mamy słyszała jak przez mgłę, z Wiktorem nie była w stanie w ogóle rozmawiać, choć wiedziała, że dzwonił do niej codziennie. I przyjechał raz z Edną, ale może tylko jej się to śniło?

Kiedy w końcu wybudziła się naprawdę, kiedy minął ból, a ona znowu poczuła, że wraca jej apetyt, była już końcówka września. Nie szkodzi. Czasu nie da się zatrzymać, więc spróbuje dotrzymać mu kroku.

Dwa tygodnie później była gotowa do dalszych działań, choć doskonale wiedziała, że żaden lekarz na to by się nie zgodził. Nie zamierzała jednak pytać nikogo o zgodę.

– Mama zgodziła się na weekendy – tym razem odebrała telefon od Wiktora i rozumiała każde słowo. W głowie przestało szumieć. Ból całkowicie zniknął. Może tym razem się uda?

– Przywiezie mnie w piątek wieczorem, a w sobotę od rana możemy ruszać. Tyle że z nią, to jedyny warunek. Powiedziała, że za diabła nie puści nas samych i na dodatek porozmawia z twoją mamą.

– Nie musi – Karolina westchnęła. – Moja oznajmiła, że mnie ubezwłasnowolni, jeśli gdziekolwiek pojedę bez opieki. To i tak cud, że nie próbuje mnie namawiać, żebym leżała w łóżku.

Żal jej było, że nie może na razie wrócić do szkoły. Zastanawiała się nawet nad indywidualnym tokiem nauki, żeby tylko nie wypaść z rytmu. Nie może przecież pozwolić rakowi całkowicie zapanować nad jej życiem i pozbawiać ją kolejnych elementów życiorysu.

– Możemy się tak umówić, że dopóki nie będzie wiadomo, kiedy wracasz i na jakich warunkach, będę ci podrzucał lekcje – zaoferował się Paweł, a w sercu Karoliny na moment wyrosła łąka. Nawet jeśli martwił ją fakt, że nie może chodzić do szkoły, to w tej właśnie chwili wszystko się zmieniło. Będzie ją odwiedzał, przynosił zadania, testy, referaty, a przy okazji będą rozmawiać.

Ale na razie Warszawa. I to najbliższy z możliwych weekendów, póki dobrze się czuje.

Edna jak zwykle stanęła na wysokości zadania. Przygotowała owsiane batoniki domowej roboty, z dodatkiem cytrynowej skórki. A rano razem z mamą Karoliny zrobiły kanapki z pastą marchewkową i kiszonym ogórkiem. Edna początkowo chciała spać w hotelu, ale mama Karoliny natychmiast wybiła jej to z głowy.

– Nie. Śpisz u nas. Nie wiem, jak to się stało, ale jesteś rodziną i to bliższą niż niejedna z moich kuzynek, które widziałam ostatnio na pierwszej komunii. Poza tym miałyśmy tego samego męża, to znaczy ty masz nadal...

Edna uśmiechnęła się trochę niepewnie, ale mama Karoliny nie miała najmniejszego zamiaru niczego jej wyrzucać.

– Ciągłe nie ma go w Polsce? – spytała tylko.

– Znowu go nie ma. W ciągu ostatnich miesięcy odwiedził nas trzy razy, ale był tak zajęty, że nawet nie wiem, czy to zauważył. Teraz ma podobno przylecieć pod koniec października. Chciałam mu o wszystkim powiedzieć, ale Karolina stanowczo mi zabrania. Jest potwornie uparta, jeśli chodzi o Krzysztofa. Nie wiem, czy dobrze robię, być może powinien jednak wiedzieć, ale nie chcę robić niczego wbrew Rolce. Dla dzieci to gorsze niż zdrada.

Ewelina spojrzała na nią niepewnie.

– A jeśli będzie potrzebny szpik? Wiem, że na razie lekarze postanowili zastosować nowe cykle chemii, ale nigdy nic nie wiadomo. A moja krew jednak się nie nadaje. – Spuściła głowę. – Nie wiem, czy powinnam słuchać Karoliny. A co, jeśli to właśnie jego szpik uratuje życie mojej córki?

Edna wzięła głęboki oddech.

– Coś ci powiem, już do niego zadzwoniłam, tak na wszelki wypadek. Ale nie powiedziałam, że chodzi o Rolkę, tylko o moją przyjaciółkę z dzieciństwa. I żeby oddał krew do badania.

– Zgodził się?

– Powiedział, że jak znajdzie chwilę, to zgłosi się do szpitala. Ale może nie powinniśmy jednak czekać. Po prostu mu powiedzmy. Bez pytania Karoliny. Czasem trzeba za kogoś zdecydować, nawet za cenę chwilowej utraty zaufania.

– Zadzwoiłam do wszystkich naszych znajomych. Niektórzy od razu zadeklarowali, że oddadzą krew do badania, inni tylko obiecali, że w „razie czego – oczywiście”, ale dwie moje koleżanki po prostu odmówiły.

Edna spojrzała na Ewelinę z zaskoczeniem.

– Jak to?

– No właśnie. Powiedziały, że nie mogą ryzykować własnym zdrowiem, bo nigdy nie wiadomo, co im przyniesie los. I że być może ich dzieci zachorują. Nawet nie dały mi dojść do słowa! Nawet nie pozwoliły wytłumaczyć, że na razie mają tylko oddać krew i że być może nie będzie żadnej zgodności. Zupełnie jakbym je poprosiła o nerkę dla znajomego.

Edna uśmiechnęła się smutno.

– Ja wierzę, że jeśli będzie taka potrzeba, znajdą szpik dla Rolki. Żałuję, że moja krew również nie spełnia warunków. Ale jestem pewna, że wszystko się uda, a Rolka pewnie dalej będzie jeździć po Polsce i spełniać życzenia chorych dzieci.

Następnego dnia ruszyli o szóstej rano. Słońce dopiero budziło się po nocy i bardzo niechętnie dotykało ziemię pierwszymi promieniami. Nad polami unosiła się leniwa mgła, a drogi były na szczęście puste.

– Straciłam czucie w lewej ręce – powiedziała Karolina. – To taki skutek uboczny chemii. Nie wiem, czy trzymam filiżankę, czy kartkę papieru, czy w ogóle coś trzymam. Rano jest lepiej, ale w ciągu dnia mam wrażenie, że ktoś mi dokleił dłoń i ona w ogóle nie chce współpracować z resztą ciała.

– Ale to przejdzie? – spytał Wiktor.

– Podobno tak. Na razie plus jest taki, że nie czuję również gorąca. Możesz więc wylać na moją rękę wrzątek, a ja pewnie zanotuję tylko, że jest mokra. – Uśmiechnęła się pod nosem.

Edna pomyślała w tym momencie, że jej mąż jest idiotą. Ale żeby nie stał się jeszcze większym, zadzwoni do niego raz jeszcze, mimo że Karolina ciągle stanowczo tego zabrania. To niewiarygodne, jak bardzo zawzięte potrafią być nastoletnie zranione dusze. Jak bardzo nie chcą pomocy od kogoś, kto raz je odrzucił. Ale ona nie będzie dłużej czekać i kłamać, że potrzebny jest szpik dla przyjaciółki. A jeśli on chce zobaczyć swoją córkę? Poznać, zanim...

Nie. Nie będzie żadnego „zanim”.

Karolina wyzdrowieje.

Kurwa, jak człowiek szybko myśli o najgorszym.

To nie był jakoś bardzo przyjazny szpital. Albo może lekarz, na którego trafili, miał gorszy dzień. Lub był też po prostu dupkiem, co zdarza się czasem nawet wśród aniołów, choć nie wszyscy o tym wiedzą.

– Jesteś naszą pacjentką? – spytał, przewiercając Karolinę zielonym wzrokiem, od którego poczuła się jakoś gorzej.

Na Wiktora w ogóle nie zwrócił uwagi.

– Nniee. Ja chciałam...

– Tu jest oddział onkologiczny, a nie miejsce wycieczek. Jak chcesz coś zwiedzić, to polecam ogród zoologiczny.

– Po co? – mruknął Wiktor. – Pawiana już mamy.

– Słucham?

– Nic takiego. Gadam czasem sam ze sobą. Może to schizofrenia – powiedział chłopiec zaczepnie i spojrzął na lekarza gniewnie.

– To również nie ten szpital. Żegnaj – powiedział lekarz i wskazał im ręką wyjście.

– Przyjdziemy za godzinę. Może będzie operował albo pójdzie do domu – stwierdził Wiktor.

– Musimy znaleźć siostrę Anię. Tylko nie wiem, jak się nazywa, zgubiłam gdzieś karteczkę. Ale siostra Kuleczka powiedziała mi, że ona nam na pewno pomoże. Z siostrami zawsze lepiej można się dogadać, bo one są jak przyszywane mamy. A lekarze czasem miewają humory, bo mężczyźni gorzej znoszą stres – oznajmiła Karolina.

– Serio? – zdziwił się Wiktor.

Dziewczyna skinęła głową.

– Mama mi to wyjaśniła, tłumacząc, dlaczego tata dał nogę. Podobno nam, kobietom, jest łatwiej, bo zazwyczaj wyrzucamy z siebie emocje.

– Czyli wrzeszczycie?

– No tak, można to tak nazwać.

– Tupiecie nogami i rzucacie żelazkiem o ścianę?

Karolina spojrzała na Wiktora ze zdumieniem.

– Widzę, że u was w domu jest wesoło.

Roześmiał się.

– Nie, żelazkiem jeszcze mama nie rzucała, ale tata kiedyś oberwał twarogiem.

– Rozumiem. – Z trudem powstrzymała się od śmiechu. – Ale wracając do męskiego stresu, to faceci zazwyczaj wszystko duszą w sobie. Nie chcą pokazać innym, że coś jest nie tak, więc kumulują wściekłość. Ale po jakimś czasie ona i tak musi znaleźć jakieś ujście. I wtedy wyżywają się na wszystkich dookoła. Są nieprzyjemni. Albo uciekają na koniec świata, myśląc, że w ten sposób zostawią kłopoty za sobą.

Wiktor przygryzł wargę.

– Tata też zwiął. Tylko obawiam się, że w Australii znalazł inne problemy.

Karolina wzruszyła ramionami.

– Albo stare pojechały za nim. Problemy nie potrzebują ani paszportu, ani wizy.

– To prawda. – Przytaknął i zerknął na zegarek. – Próbujemy raz jeszcze? Może akurat ten zestresowany lekarz poszedł coś zjeść?

Tym razem postanowili nie szukać w ciemno i nie błąkać się bez celu po szpitalnych korytarzach. Karolina podeszła do recepcji i oznajmiła stanowczym tonem:

– Dzień dobry, szukam siostry Anny z dziecięcego oddziału onkologicznego. Miałam tu o nią zapytać. Chodzi o nowy rodzaj chemii, cykl wiedeński.

Starsza pani w okularach podniosła na nią wzrok, nic nie powiedziała, tylko wybrała numer telefonu.

– Co to jest cykl wiedeński? – szepnął Wiktor.

– To europejski schemat chemii, którą się aktualnie podaje. O nowym nic nie wiem, ale mam nadzieję, że ta kobieta również nie. – Wyciągnęła język i puściła do niego oko.

– Dzień dobry, Anna Piotrowska, nie bardzo rozumiem, o jaką chemię...

– Jesteśmy od siostry Kuleczki, już tu byliśmy, tylko że taki lekarz o zielonych oczach kazał nam iść do zoo – wyjaśnił Wiktor, zanim Karolina zdążyła cokolwiek powiedzieć.

– Doktor Nowakowski jest ostatnio trochę nie w sosie, ale to dobry lekarz. – Uśmiechnęła się siostra Anna.

– Tak, domyśliliśmy się, że to męski stres – powiedział Wiktor.

Tym razem siostra roześmiała się na cały głos.

– To wy jesteście od balonów, prawda?

Potwierdzili.

– Chodźcie ze mną do dyżurki, zrobię wam herbaty. Mam pacjenta, który wylądował u nas z zaawansowaną białaczką. Uwielbiam go, bo nie robi nic innego, jak tylko chodzi i pociesza inne dzieci. Ma dziewięć lat, a rozbroił niejednego granat – westchnęła.

– To znaczy? – spytał Wiktor.

– Potrafi największy smutek obrócić w żart, a największego pesymistę przekonać, że szklanka do połowy pusta ciągle jest lepsza od takiej, w której naprawdę nie ma już nic. Ostatnio powiedział mi, że nie umrze, dopóki nie załatwi sobie cmentarza z widokiem na morze.

– A on... – zaczęła Karolina.

– Czeka na dawcę. Na razie nie udało się nikogo znaleźć, ale Wojtek jest przekonany, że im dłużej będzie czekał, tym bardziej wartościowy szpik dostanie. W myśl zasady, że co przychodzi zbyt łatwo, zazwyczaj nie jest wiele warte.

– Niesamowite.

– To prawda. – Siostra Anna kiwnęła głową. – Wojtek epatuje optymizmem i dotyka tym innych. Czasem starcza na bardzo długo, czasem niektóre dzieci muszą go znowu zobaczyć, żeby poczuły się lepiej.

– A to marzenie? To jest ten cmentarz z widokiem na morze? – zaniepokoiła się Karolina.

Siostra Anna uśmiechnęła się.

– Na szczęście nie. To coś bardzo męskiego. Dla prawdziwych twardzieli. Wojtek chce zostać policjantem, oczywiście kryminalnym. Czasem sam rysuje z pamięci portrety pamięciowe. Pyta wszystkich, jak wyglądają jego znajomi, kole-dzy, krewni, a potem ich z głowy rysuje. I muszę wam powiedzieć, że są nawet po-dobni! Co prawda, moja ciotka w wersji Wojtka jest dużo ładniejsza, ale przynaj-mniej od razu ją rozpoznałam. – Wyciągnęła z szuflady jakiś portret...

Rysunek przedstawiał kobietę podobną do borsuka, tyle że z bardziej gęstym wąsem. Głowę miała nieproporcjonalną do ciała – małą, długą i wąską, oczy i uszy drobne, a szyję bardzo grubą.

– Tak, wiem, nie jest zbyt urodziwa, ale za to charakterystyczna.

– To borsuk przecież! – zawołał Wiktor, a siostra Anna wybuchnęła niekon-trolowanym śmiechem.

– Nikt w naszej rodzinie dotąd głośno tego nie powiedział. Rzeczywiście, przypomina borsuka, tyle że nie ma ogona.

MAGDALENA

Film

Mogę to odtwarzać godzinami. Patrzyć i słuchać, słuchać i patrzeć, i ciągle od nowa wracać myślami do każdej chwili, w której się bałam i każdej, która dawała nadzieję.

Drużyna Szpiku nakręciła film o Oli. Dorocie udało się pokazać wszystko to, co było naszym życiem przez ostatnie lata.

Jest mój mąż. I ja. I Ola.

Nie było wynajętego studia, pani, która poprawiała nam makijaż, nie było reżysera i krzeselka, na którym by siedział. Kręciliśmy w parku, kawiarni, w naszym domu. Mówiliśmy. O Oli, o nas, o naszym strachu, ale i o nadziei, która ciągle pcha nas do przodu. Początkowo myślałam, że będę się wstydzić mówić do kamery, odsłaniać siebie tak bardzo i wpuszczać obcych ludzi do swojego świata. Ale potem pomyślałam, że chcę. I muszę.

Przewijam od początku...

Aleksander: „Strach to moje drugie imię, ale można się do tego przyzwycząić. Mówię Bogu – hej, w niebie masz już tylu świętych, po co Ci kolejny? Po co Ci Ola? Zostaw ją na ziemi. Może kiedyś będzie pomagać innym, może zostanie onkologiem, może to, co teraz przeżywa, da jej motywację, by czynić dobro. Uciekłem z jednego badania, kiedy Oli miał być pobierany szpik. Nie wytrzymałem, uciekłem. Na parkingu dotarło do mnie, że je tam zostawiłem. Moje dziewczyny. Ale nie mogłem”.

Olek opowiadał szybko, bez namysłu, może nieco chaotycznie, ale przecież tak właśnie wyglądało ostatnio nasze życie.

Że dla Oli najważniejsza jest mama i tata. Że została kiedyś laureatką konkursu plastycznego dla dzieci onkologicznych. Temat: „Jak chcę spędzić Dzień Dziecka”. Niektóre dzieci rysowały karuzelę, kino, morze. Ola narysowała Mamę, Tatę, Brata i siebie... Żeby jej nie zabrakło.

A potem jeszcze pojawił się mały chłopiec, który tak prosto wszystko wyjaśnił.

Pięćdziesiąta ósma sekunda filmu: „Czasem lekarz patrzy na mnie z rozczarowaniem. A przecież byłem grzeczny, nie krzyczałem, kiedy bolało, brałem lekarstwa. Ale najwyraźniej zawiodłem, pokazałem, że nie ma czegoś takiego jak nieograniczone możliwości medycyny. Stałem się złym pacjentem”.

To bardzo zwykły film, bez żadnych efektów specjalnych, ale potrzebny każdemu, kto kiedykolwiek zetknął się z chorobą nowotworową. Prosta historia, jakich wiele, coś, co może przytrafić się każdemu.

Patrzę na twarz mojego męża.

Aleksander: „Kiedy Ola wygrała po raz pierwszy walkę z rakiem, w prasie ukazał się artykuł, który każdy rodzic chorego dziecka musiał koniecznie przeczytać. Że się udało, że Ola jest zdrowa, że mimo takiego stanu jest dzisiaj z nami. Ale po czternastu miesiącach wróciła na oddział. Artykuł stracił aktualność. A przecież ona nadal jest wzorem. Jest źle, ale Ola żyje”.

I będzie żyć.

Chciałabym, żeby cały świat zobaczył ten film.

Chciałabym, żeby każdy poznał Olę.

KAROLINA

Do samego końca wszystko pozostało tajemnicą. Najpierw przyszła siostra Anna i oznajmiła Wojtkowi, że musi jechać na specjalistyczne badania do innego szpitala.

– Ale dlaczego? Przecież zawsze tu wszystko sprawdzaliście? – zdziwił się.

– Czasami inne szpitale mają lepszy sprzęt. To normalne procedury, niczym się nie przejmuj, zresztą wieczorem znowu do nas wrócisz.

Pojechali taksówką, z mamą, tatą i jeszcze siostrą mamy – ciocią Kicią, którą uwielbiał, bo miała wściekle rude włosy, które zawiązywała w trzy koczki na czubku głowy.

– Ale dobrze się czujesz? – pytała co chwila mama, chociaż zarówno lekarz, jak i siostra Anna zapewnili ją, że Wojtkowi nic się nie stanie. I że jest stabilny.

Chłopiec tylko kiwnął głową, a kiedy wysiedli, zaniemówił z wrażenia.

– To chyba nie jest szpital – powiedział w końcu, widząc napis „Komenda Główna”. Mama, tata i ciocia nic nie odpowiedzieli, tylko delikatnie popchnęli chłopca w stronę budynku.

Przy wejściu czekała już na nich nadkomisarz Ewa Mazurska z prawdziwym pistoletem przy pasie.

– Rodzicom już dziękujemy, zresztą w akcji mogą brać udział tylko kompetentne osoby. Przeszkolone, wyspecjalizowane, no i całkowicie pozbawione lęku.

Ciocia Kicia mrugnęła do Wojtka i oznajmiła, że odwagę chłopiec ma po niej. Ale że rozumie i nie będzie nalegać, aby ją też zabrano.

Wojtek zastygł na moment w bezruchu i wbił wzrok w nadkomisarz Ewę.

– Balonik do was doleciał? – spytał tylko.

Kiwnęła głową.

– Zapraszam. Czeką nas ciężki dzień. Musisz się nauczyć pobierania odcisków palców, wykonania odcisku buta z błota i pakowania walizki technika. Wiemy, że jesteś dobry w portretach pamięciowych, ale z pewnością nie miałeś jeszcze do czynienia z profesjonalnym programem, który ułatwia nam stworzenie takiego rysunku.

Wojtek zacisnął pięści i obliznął wargi.

– Jestem gotowy – szepnął tylko i pomachał rodzicom. Oraz cioci Kici, która wysoko uniosła oba kciuki.

W pokoju czekał już na niego inny policjant, który siedział przed komputerem.

– Siadaj. – Ustąpił mu miejsca. – Kawy? – spytał bardzo poważnym tonem.

Wojtek uśmiechnął się kącikami ust.

– A macie zbożową?

– Jasne! Przyniosę i zabieramy się do roboty.

Dwie minuty później Wojtek dostał niebieski kubek z napisem „Policja. Wojtek. Chwila na kawę” i z wrażenia zapomniał mrugać.

– Tu jest moje imię... – powiedział tylko.

– Oczywiście. Każdy policjant u nas ma kubek z imieniem. No, zabieramy się do roboty. Przed sobą masz program do obróbki graficznej, idealny do tworzenia portretu pamięciowego. – Policjant wprawnym ruchem pokazał Wojtkowi podstawowe funkcje i wyjaśnił mu zasady działania programu. – Teraz zadawaj mi pytania, a ja postaram się opisać ci człowieka, którego właśnie oglądam na zdjęciu. Oczywiście tobie nie mogę go pokazać. – Puścił do niego oko.

Wojtek poprawił się na krześle, odchrząknął i zadał pierwsze pytanie:

– Proszę mi powiedzieć, ile lat może mieć sprawca i jaką ma sylwetkę?

– Około trzydziestki, dość wysoki i szczupły.

Wojtek otworzył bazę i zaznaczył, że szuka twarzy, którą może mieć trzydziestoletni mężczyzna.

– Owalna, kwadratowa?

– Hmm – zamyslił się policjant. – Raczej okrągła, nawet bardzo. Coś jak księżyc w pełni.

Wojtek zachichotał pod nosem.

Twarz z bazy trafiła na ekran komputera.

– Czoło miał trochę wyższe.

Wojtek poprawił czoło.

– A włosy? – spytał.

– Na pewno czarne. I krótkie, to znaczy po bokach krótkie, ale grzywka dłuższa. I zaczesana na bok.

– Brwi? Oczy?

– Brwi gęste, oczy... nie pamiętam koloru.

– Ale raczej duże czy małe? Szeroko rozstawione czy wąsko?

– Dobre pytanie. – Wojtek aż pojaśniał z dumy. – Małe i blisko nosa. Tak, bo zawsze wydaje mi się, że kolega ma brwi nieproporcjonalne do oczu.

Chłopiec naniósł wszystkie uwagi i spytał:

– A może skoro kolega, to znaczy sprawca, ma gęste brwi, to ma również ciemne oczy?

– Tak, to jest możliwe. Wydaje mi się, że są brązowe.

Godzinę później portret był gotowy. Kiedy policjant porównał go ze zdjęciem kolegi, aż sam przetaił ze zdumienia oczy. Rysunek w komputerze był niemal identyczny!

– Brawo! Jesteś absolutnym mistrzem! Ja sam czasem pracuję ze świadkiem nawet osiem godzin, a i tak koniec końców okazuje się, że mój portret pamięciowy znacznie odbiega od oryginału.

Wojtek był przeszczęśliwy. I gotowy do dalszych działań.

– Wiesz, co to jest walizka technika kryminalistycznego? – spytała nadkomisarz Ewa.

Skinął głową.

– Sprzęt, który zabierają policjanci na akcje. Żeby zabezpieczyć ślady. Czytałem kiedyś, że nie ma zbrodni doskonałej, bo zawsze przestępca o czymś zapomni. I technicy są właśnie od tego, żeby to znaleźć.

Nadkomisarz Ewa poklepała go po ramieniu.

– Doskonale. To teraz chodź, pokażę ci, jak pakujemy taką walizkę i co jest w niej niezbędne. Najpierw przygotujemy zestaw oględzinowy. Mamy tu wszelkiego rodzaju proszki, rękawiczki, poduszki, szpatułki, pędzelki, maseczki przeciwpyle, worki, a nawet mydło. Jest przyrząd do liczenia linii papilarnych, plastelina do wypełniania form, torebki strunowe na dowody rzeczowe, komplet numerków samoprzylepnych i lupa daktyloskopijna.

Wojtek był zachwycony. Po raz pierwszy zobaczył na własne oczy wszystkie te rzeczy, o których do tej pory słyszał lub które widział na filmach. Brał do ręki nożyczki, silikon w spreju ułatwiający zdejmowanie odlewu, suwmiarki i całe mnóstwo pędzli, w tym jeden z włosia wiewiórki. Walizka była po brzegi wypełniona skarbami, z których każdy miał swoje ważne zadanie do wykonania podczas oględzin miejsca zbrodni.

– Niesamowite – wyszeptał tylko. – Jak to wszystko widzę, to mam wrażenie, że żaden przestępca wam nie ucieknie.

– Niestety, nie zawsze nam się udaje, ale faktem jest, że dzisiejsi fachowcy mają o wiele łatwiejsze zadanie niż jeszcze dziesięć lat temu. Potrafią pozyskać dowód z kropelki krwi, ze łzy lub śliny, z pojedynczego włókna tkaniny, zapachu, ze zniszczonego telefonu, wyczyszczonego dysku komputera albo odręcznie napisanej literki. Każdy zostawia jakieś mikroślady, nawet jeśli wydaje mu się, że o wszystkim pamiętał. Wystarczy, że otrze się o ścianę, drzewo albo jego gałązkę. To ciekawa praca, nie dziwię się, że ci się podoba.

– A to worek na ciało? – wyszeptał, wskazując na czarną folię z zamkiem i uchwytami po bokach.

Nadkomisarz Ewa pokiwała głową.

– To co? Nauczyć cię teraz jak się pobiera odciski palców?

O godzinie osiemnastej Wojtek nie mógł uwierzyć, że tak szybko minął ten dzień. Udało mu się zaliczyć jazdę radiowozem z włączonym kogutem i wykonać profesjonalny odcisk śladu buta w błocie. Wystawił też swój pierwszy mandat i zrobił profesjonalną fotkę dokumentacyjną prawdopodobnych narzędzi przestępstwa. Kiedy wieczorem wrócił do szpitala, nie potrafił wydusić z siebie słowa.

Siostra Ania wyściskała go z całej siły, a potem otuliła kołdrą i chwilę z nim posiedziała. Cmentarz z widokiem na morze? Ten chłopiec jeszcze długo nie bę-

dzie potrzebował cmentarza, a ona zrobi wszystko, żeby znaleźć dla niego dawcę. Karolina opowiedziała jej o Drużynie Szpiku.

– To się może udać – szepnęła do siebie i uśmiechnęła się do zasypiającego Wojtka.

MAGDALENA

Jeziro

– Czerwony pasek, biały, czerwony?
– Austria!
– Żółty krzyżyk na niebieskim tle?
– Szwecja!
– Ale tego nie wiesz. Niebieski pasek, potem czerwony i zielony, i jeszcze jest księżyc i gwiazdka.

– Jak w Turcji?

– Tak, ale to nie Turcja.

– Daj mi chwilę... Azerbejdżan!

Ola odpytuje Mateusza z flag i jest naprawdę zdumiona. Jej starszy brat jak dotąd nie popełnił ani jednego błędu. Zna się na flagach równie dobrze jak na samochodach i jest bardzo z tego dumny.

– Mamo, jak on to robi? – pyta mnie Ola.

Wzruszam ramionami.

– Moim zdaniem ma jakąś zadziwiającą pamięć. Ja sama nie znam połowy tych flag – przyznaję z uśmiechem.

Połowy?

Byłoby dobrze, gdybym rozpoznała dwadzieścia.

Zamykam oczy i przypominam sobie czasy, kiedy byłam małą dziewczynką. Jeździłam z rodzicami nad jezioro i bardzo powoli wchodziłam do wody. Najpierw po kostki, potem po kolana. Trzęsłam się okropnie z zimna, ale za nic nie chciałam zanurzyć się od razu. Krok po kroku. Teraz też stawiamy z Olą małe kroki i bardzo ostrożnie badamy grunt. Żeby się nie pośliznąć, nie zachłysnąć niepotrzebnie i nie stracić równowagi. W końcu obie zanurzymy się aż po szyję i popłyniemy przed siebie. Słońce będzie świeciło nam w twarz, woda łagodnie nas obmywała, a wiatr dmuchał w nasze piegi na nosie. To wszystko wróci, tylko trzeba bardzo ostrożnie posuwać się do przodu.

Stan Oli znacznie się poprawił. Nie leży już pod namiotem, znowu mogę ją dotykać. Huśtawka po raz kolejny poszybowała w górę. Myślałam kiedyś, że człowiek potrzebuje w życiu spokoju, że ciągłe zmiany mogą doprowadzić do obłądzenia, a teraz wiem, że absolutnie do wszystkiego można się przyzwyczaić. Czy każdy dzień powinien wyglądać tak samo? Czy naprawdę codziennie trzeba jeść płatki z jogurtem, smarować ręce kremem nagietkowym, a potem iść do tego samego sklepu po zakupy? Sami sobie narzucamy te rytuały, a potem każde odstępstwo od przyzwyczajzeń wywołuje w nas frustrację.

Moje życie jest chaosem. Stanem przed uporządkowaniem wszechświata.

Miejscem bez stabilnego gruntu. Miejscem bez ustalonych kierunków, bez drogowskazów i strzałek.

Rozmawiałam dzisiaj z Dorotą i ona odrobinę uporządkowała mój chaos. Lub przynajmniej nadała mu jakiś kształt.

Każdego roku u ponad tysiąca trzystu dzieci diagnozowany jest nowotwór. Tak naprawdę to diagnoza dla całych rodzin, bo kiedy pada hasło „rak”, chorują wszyscy.

– Wasze życie już nigdy nie będzie takie jak wcześniej, zresztą już nic nie będzie takie jak wcześniej. Leczenie dziecka trwa średnio dwa lata. To aż dwadzieścia cztery miesiące walki o każdy dzień, o każdy oddech. Ty walczysz już rok dłużej. Najczęściej przy łózkach siedzą matki, które w jednym ułamku sekundy odkładają na bok swoje marzenia, pasje, prace i plany. Wiesz, co mi się marzy? Zorganizować coś takiego jak Dzień Mamy Onkologicznej. Uzmysłować wszystkim jej przerażenie, samotność, strach, a jednocześnie ogromną odwagę i miłość.

– Czasem myślę, że strach jest większy niż miłość – powiedziałam cicho.

– To nieprawda. Nie mogę uwierzyć, ile potraficie znieść. Brak kuchni, łazienki, spanie na karimatach, brak wsparcia psychologicznego. Jesteście jak strażniczki. Myjecie, przewijacie, tulicie, sprawdzacie kroplówki, alarmujecie natychmiast, kiedy coś się dzieje. Patrzycie na te monitory, pomiary, czytacie epikryzy i jesteście coraz mądrzejsze. Coraz silniejsze. Taki dzień, nawet jeden w roku, pozwoliliby wam naładować akumulatory, pokazał, że nie jesteście same i że zdałyście najtrudniejszy egzamin z macierzyństwa. Trudniejszy nawet niż moja historia myśli politycznej u profesora Sobczaka, a wierz mi, to było nie do przejścia. – Puściła do mnie oko.

Ola znowu wygłupia się z siostrami i znowu spaceruje po szpitalnych piętrach, bo w łóżku jest nudno. Niedługo wraca do domu. To prawda, że niedobre dzisiaj minie już jutro. Powróci harmonia myśli i symetria szczęścia. Bo przecież ziemia kręci się tylko dlatego, że panuje na niej względna równowaga.

– Czerwony pasek, biały i potem jasnoniebieski?

– Luksemburg!

Chyba mam w domu geniusza.

KAROLINA

– Jakobini – lewica, popierani przez sankiulotów, czyli najuboższych mieszczan. Przywódcą jakobinów był Maximilien de Robespierre, a hasło rewolucjonistów brzmiało: „Wolność, równość, braterstwo”. Symbolem wolności zaś była czerwona frygijska czapka – Paweł streszczał Karolinie ostatnią lekcję historii, a ona zastanawiała się, jak to jest możliwe, że właśnie na widok tego konkretnego chłopaka miękną jej nawet kości.

W klasie było kilku przystojniaków, niektórzy mieli naprawdę spore powożenie, a jej właśnie spodobał się Paweł z brązowymi oczami i włosami do ramion. Nie był jakoś szczególnie ładny, a to, co podobało jej się w nim najbardziej, to jakiś spokój, nonszalancja w ruchach i całkowita pogarda w stosunku do modnych rzeczy. Nie nosił koszulek polo, nie słuchał Ushera, za to kibicował babci oglądającej z nabożeństwem *Modę na sukces*, chociaż wszyscy wyśmiewali ten niekończący się serial.

– Naprawdę oglądasz go z babcią? – spytała Karolina.

– Tak. Babcia nie we wszystkim się orientuje i ciągle mnie pyta, kto aktualnie jest z kim. Muszę być na bieżąco, żeby jej to wyjaśnić. Zresztą mam pewne podejrzenia, że nawet reżyser powoli gubi się w tych dziwnych układach. Na szczęście ja wszystko dokładnie zapamiętuję.

– Jesteś ekspertem w temacie Brooke, Ridge’a i Sally Spectry?

– Oraz czterdziestu innych postaci. Tak, można tak powiedzieć. Znalazłem nawet kilka nieścisłości fabularnych, ale postanowiłem nie denerwować babci. Ale teraz wróćmy do Francji. Mamy rok 1793 – zgilotynowanie Ludwika Kapeta, powstanie koalicji mocarstw europejskich przeciwko rewolucjonistom i królóbójcom. Konwent ogłasza masowy pobór do wojska i armia francuska liczy wtedy ponad milion żołnierzy. To prawie tyle, ile odcinków *Mody na sukces* – puścił do niej oko.

Jest absolutnie doskonały. Tylko szkoda, że porusza wyłącznie tematy dotyczące rewolucji francuskiej przemieszane z fizyką. Elektryzowanie ciał. Ciało naelektryzowane posiada przewagę ładunków jednego znaku. Jej ciało jest również naelektryzowane i przyciąga inne ciało, które niestety jest bardzo skupione na przekazywaniu wiedzy.

Z drugiej strony, może to i lepiej...

Przecież już wtedy w ogrodzie mamy Antosi obiecała sobie, że na pewne rzeczy trzeba poczekać. Najpierw rozprawić się z chorobą, potem nadrobić zaległości, co dzięki tym spotkaniom nie powinno być trudne, a potem wskoczyć na głęboką wodę zakochania. Każda inna kolejność jest zupełnie nie na miejscu.

Te oczy nie są brązowe... Są jak żółędzie na dębach. Mokre i błyszczące.

O Boże, robi się egzaltowana.

Elektryzowanie przez dotyk polega na dotknięciu ciała obojętnego elektrycz-
nie ciałem naelektryzowanym. Wskutek tego ciało obojętne naelektryzuje się takim
samym znakiem jak ciało, którym zostało dotknięte.

To brzmi raczej jak wychowanie seksualne...

A potem weszła mama i rozpędziła motyle zapachem kanapek z pasztetem
i pomidorem. Każda poezja bowiem przyciąga prozę.

A gdyby...?

– W następnym weekend jadę z moim bratem do Łodzi. Do Kliniki Onkologii
Dziecięcej.

– Masz tam jakieś badania?

– Nie. Jadę tam szukać kolejnego dziecka, któremu pomogę spełnić marze-
nie.

– Jak Antosi?

– Dokładnie. I tak sobie pomyślałam...

– Mogę jechać z wami?

Uff. Jak to dobrze, że spytał pierwszy! Bo oczywiście miał prawo odmówić
i to z różnych powodów, ale i tak czułaby się wtedy niezręcznie. Teraz przynaj-
mniej sytuacja była jasna. On spytał, ona uda, że się waha, a potem się zgodzi.

– No nie wiem...

– Proszę! Ten domek, który robiliśmy dla Antosi, i ta cała idea, uważam,
że to fantastyczny pomysł. Tak jakbyś pracowała w aptece marzeń. Tyle że leczysz
spełnianiem życzeń, co w sumie jest dużo lepsze niż te wszystkie tabletki, syropy
i czopki. – Puścił do niej oko.

Apteka marzeń.

Fajnie to wymyślił.

– To co, mogę jechać? Może wam się do czegoś przydam? No i muszę przy-
znać, że polubiłem Wiktora.

Karolina postanowiła zignorować wibrujące myśli oraz ogólną zwiotczość
ciała i zachowywać się normalnie. Musi nad sobą zapanować, w końcu nie jest bo-
haterką lukrowanego harlequina!

– No dobrze. Spytam na wszelki wypadek Ednę, ale nie sądzę, żeby miała
coś przeciwko. Edna to mama Wiktora – wyjaśniła jeszcze.

– Super! – naprawdę się ucieszył. – A w przyszłym tygodniu wpadnę oma-
wiać dalej Francję oraz magnesy.

Każdy magnes wytwarza wokół siebie pole magnetyczne, czyli przestrzeń,
w której działają siły magnetyczne.

Paweł był magnesem, a jego pole zdecydowanie obejmowało przestrzeń,
w której znajdowała się Karolina. Kwestią czasu było tylko, kiedy przyciągną się
tak, że żadna siła ich nie rozdzieli.

Edna pociągnęła za sobą Wiktora i szepnęła mu do ucha:

– Usiądź ze mną z przodu, dobrze?
– Ale ja chcę koło Rolki! Będę siedział w środku, między nią a Pawłem.
– No właśnie, chodzi o to, żebyś nie siedział w środku. Poza tym samochód będzie lepiej wyważony, jak się podzielimy dwójkami.

Wiktor z niedowierzeniem spojrział na mamę.

– To chyba jakaś bzdura, raczej.
– Możliwe, ale jednak bardzo cię proszę.
– Mamo!

Edna westchnęła i podrapała się po czole.

– Synu, ja mogę oczywiście jaśniej, ale nie wiem, jak na to zareagujesz.
– Co jest?
– Oni chyba chcieliby siedzieć koło siebie. Bez żadnej osoby towarzyszącej pośrodku.

Wiktor zasłonił sobie usta ręką i odwrócił wzrok w stronę Karoliny i Pawła.

– To jest miłość?
– Nie wiem, czy już miłość, ale faza wstępnej fascynacji z pewnością.
Chłopiec odrobinę się naburmuszył.

– Rolka jest moja. Nawet jeśli nasza krew do siebie nie pasuje, to ona jest moja.

– No oczywiście, ale to chyba dobrze, że coraz więcej osób ją lubi i kocha. Poza tym Paweł musi być w porządku, skoro chce z nami jechać i pomagać w spełnianiu marzeń.

– Niby tak, ale jakoś straciłem do niego wstępną sympatię.

Edna roześmiała się.

– Daj spokój! Ty też kiedyś poznasz jakąś fajną dziewczynę i co wtedy? Chyba nie chciałbyś, żeby Rolka miała coś przeciwko temu?

Wzruszył ramionami i usiadł z przodu. Postanowił nie odzywać się przez całą drogę, ale już po półgodzinie uznał, że sprawdzi, jak bardzo ta dwójka jest sobą zafascynowana. Bo może mamie się tylko tak wydawało?

– Wiecie, że kiwi składają proporcjonalnie największe jaja ze wszystkich ptaków? Takie jajo niemal całkowicie wypełnia samicę, do tego stopnia, że ciężko jej się odдыcha. A potem ona składa jajo i funkcje opiekuńcze przejmuje samiec – powiedział i zerknął do lusterka.

Karolina wyglądała całkiem normalnie, Paweł raczej też. Nawet słuchał z dużym zaciekawieniem.

– Skąd to wiesz? – spytał po chwili.

– Wiktor uwielbia zachwycać ludzi ciekawostkami. Więc wyszukuje różne dziwne informacje, a potem obserwuje reakcje innych – wyjaśniła Karolina.

Wzruszył ramionami. No dobrze, to próbujmy dalej.

– To całkiem dobra strategia, która świetnie sprawdza się w szkole. Jak nie

znam odpowiedzi na jakieś książkowe pytanie, to zawsze mogę zaskoczyć nauczyciela wiedzą pozaszkolną. Kiedyś spytałem panią od biologii, czy wie, co to jest uta plamoboka. I wiecie co? Nie miała pojęcia!

– Ja też nie mam – przyznał Paweł.

– To po prostu jaszczurka, o tyle ciekawa, że samce występują w trzech rodzajach, przy czym każdy z nich ma inny kolor podgardla. Żółty, pomarańczowy i niebieski. Pomarańczowe są najbardziej naładowane testosteronem i chcą zdobyć jak największą ilość partnerek. – Wiktor znowu zerknął w lusterko. Czyżby oboje ciut się zaczerwienili? – Niebieskie z kolei wołają jedną samiczkę i są jej bardzo wierni.

Tak, zdecydowanie zmienił im się kolor policzków.

– A żółte? – spytała Edna.

– A żółte są najbardziej sprytne, bo podrywają samice pomarańczowych. W sumie wygląda to tak: pomarańczowy bije niebieskiego, ale niebieski żółtego, bo samice niebieskiego są mu wierne, a z kolei żółty bije pomarańczowego.

Z tyłu jakoś nikt tego nie skomentował. Wiktor westchnął. Mama miała jednak rację, coś jest na rzeczy, w przeciwnym razie włączyliby się do dyskusji, a nawet uznali ją za zabawną.

Ech. Jak to dobrze, że on jeszcze nie jest w tym wieku, kiedy z mózgu robi się jedna wielka papka i nawet kolory jaszczurczych samców wywołują dziwne skojarzenia.

Droga mijiała im dość spokojnie, choć to pewnie dlatego, że Edna prowadziła samochód wolno i kompletnie nie zwracała uwagi na trąbiących na nią innych kierowców. Jak chcą, niech wyprzedzają.

– Zrobimy sobie piknik? – spytała nagle i zanim odpowiedzieli, skręciła na pobocze, a potem wjechała w jakąś leśną drogę i zatrzymała się dopiero kilkadziesiąt metrów dalej.

Mieli szczęście. Był las, kawałek miejsca, które można było uznać za polanę i brak innych turystów. Nikt nie sikał po krzakach, nie wyrzucał śmieci i nie szukał grzybów.

Edna najwyraźniej już wcześniej miała wszystko zaplanowane. Z bagażnika wyjęła koc, koszyk z jedzeniem, a nawet kilka poduszek. Wiktor próbował usiąść przy Rolce, ale Paweł był pierwszy. Co więcej, czuł się na kocu jak u siebie w domu! Pomagał Ednie wszystko rozpakować, rozłożył kanapki na plastikowych talerzach, rozlał sok do kubków i zaczął nawet kroić ciasto. Wiktor pomyślał, że jednak nie zostaną przyjaciółmi, chociaż ich znajomość zapowiadała się całkiem dobrze.

– Rolka, wycisnąć ci cytrynę do soku? – spytał Paweł bezczelnie.

Rolka? Wiktor zmarszczył brwi.

A ona uśmiechnęła się tylko jakoś tak cukrowo, zupełnie jak nie ona i spoj-

rzała na tego Pawła wzrokiem zmiękczonej i odrobinę galaretowatym.

Obrzydliwość.

Wiktor wstał, otrząsał ręce i postanowił rozejrzeć się trochę po lesie. Nie będzie siedział z tą dwójką nastolatków, którzy kompletnie nie panowali nad własnymi hormonami. Obiecał też sobie, że z nim będzie zupełnie inaczej. Miłość miłością, ale człowiek musi nadal wiedzieć, że po świecie się chodzi, a nie lata.

Obserwował ich jeszcze trochę zza drzewa, zwłaszcza wtedy gdy Edna poszła szukać czegoś w samochodzie.

Paskudne. Patrzyli na siebie i nagle odwracali wzrok. Dotykali swoich dłoni, a potem odsuwali je, jakby ktoś ich wychłostał pokrzywami. Rolka siedziała jakoś krzywo, a Paweł zaczął nagle chodzić na rękach! Kompromitujące zaloty! Zwierzęta są o wiele bardziej pomysłowe. Lemury wabią zapachami, humbaki popisują się, uderzając płetwą o wodę, a króliki boksują się między sobą. A ten po prostu spaceruje na rękach i uważa zapewne, że jest niezwykle zabawny, odsłaniając swój płaski brzuch i wystające ze spodni czerwone bokserki.

Czerwone?

Wiktor pokręcił z niedowierzaniem głową i uznał, że pora jechać dalej. Człowiek nie może pozbawiać się apetytu na cały dzień.

W samochodzie zasnął i obudził się dopiero pod szpitalem.

I dobrze. Przynajmniej ominął go spektakl wzdychań i cichoszeptów, do których pewnie nikt by go nie zaprosił.

Pół godziny później jego myśli zaczęły krążyć wokół psa...

– Hm. Ciężka sprawa, bo jeśli rodzice nie zgadzają się na żadnego czworonoga, to zupełnie nie mam pomysłu, jak spełnić to marzenie – zmartwiła się Karolina.

Bo Maciek chciał psa. Po prostu. Nie interesowały go żadne podróże balonem, żadne Disneylandy ani spotkanie ze znanym aktorem. Chciał psa, który by go kochał, a on kochałby jego. I nic by tej wielkiej miłości nie było w stanie zmać.

Na Maćka natknęli się niemal od razu, a to dlatego, że urządzał właśnie minispektakl w swoim szpitalnym pokoju, wykorzystując do tego psią pacynkę.

– Hau, hau, jestem diabelnie groźnym wilczurem obronnym, strażnikiem każdego dziecka oraz jego snów. Kto spróbuje mu je odebrać, temu odgryzę pępek!

Karolina, Paweł i Wiktor natychmiast zrozumieli, że znaleźli balonikowego pacjenta. Nawet jeśli groził odgryzieniem pępków, co fizjologicznie chyba było niemożliwe.

Paweł zmarszczył teraz brwi i nad czymś się zastanawiał.

– Postaramy się jakoś przekonać rodziców Maćka, może w końcu ulegną? Na razie jednak mam pewien pomysł. Ale do tego będzie potrzebna zgoda lekarza.

Chwilę potem czuli, że grzęzną w bagnie, a chętnego na podanie gałęzi na razie nigdzie nie było.

– Chyba postradaliście zmysły! – zawołał lekarz dr W. Morawski, jak wynikało z plakietki oraz kilku dyplomów, które wisały w jego gabinecie. – Powinniście cieszyć się, że w ogóle wpuściłem was na oddział, chociaż nie jesteście moimi pacjentami. Ale pies? Pies w szpitalu? Może jeszcze lamę tu sprowadźcie i dwa nosorożce.

Paweł spróbował raz jeszcze:

– Można raczej zaprosić prasę i zrobić z tego cudny materiał.

– Niby na jaki temat? – zdziwił się lekarz.

– Wie pan, to byłoby takie wydarzenie bez precedensu. Dogoterapia na oddziale onkologicznym. Wyciągnięcie ręki do chorego dziecka, które nie marzy o niczym innym, jak o zabawie z psem.

Karolina spojrzała na Pawła z uznaniem. Trzeba przyznać, że brzmiał bardzo przekonująco, ona sama prawie się wzruszyła.

– Absurd.

– Przecież zachowamy wszystkie środki ostrożności.

– Ciekawe jak?

– No, to już pan musi nam powiedzieć, ale z pewnością jest jakiś sposób.

– Pies nie może wejść na oddział.

– A na balkon?

Lekarz wywrócił oczami i sięgnął po kubek z kawą.

– Może da się to jakoś załatwić? Maciek nie ma nakazu leżenia. Jest wprawdzie dość mocno obolały, ale kiedy tylko dowie się, że specjalnie dla niego i tylko dla niego pojawi się w szpitalu pies, z pewnością od razu poczuje się lepiej. Na Zachodzie takie procedury są bardzo często stosowane – powiedział jeszcze Paweł.

– Nie muszę chyba mówić, że nie jesteśmy Zachodem?

– Bo najwyraźniej nie chcemy. A skoro sprawdziło się to w szpitalach we Francji, Niemczech czy Ameryce, to nie bardzo wiem, dlaczego mielibyśmy być gorsi? Albo nasze psy?

– A słyszał pan o psie, który potrafi wywąchać zbyt niski poziom cukru u człowieka? – wtrącił Wiktor.

– Nie, nie słyszałem, co więcej – nie widzę związku między tą informacją a obecnością psa w szpitalu – oznajmił sucho lekarz.

Wiktor jednak nie zamierzał się poddawać. Poza tym Paweł nie mógł być jedynym bohaterem w oczach Karoliny. Wystarczy, że zdobył przy niej miejsce na kocu i w samochodzie.

– Bo tu wymagana jest dalekowzroczność. Czasem psie zarazki są zdecydowanie mniejszym zagrożeniem niż smutek u pacjenta, zwłaszcza dziecięcego. Pies motywuje do wyzdrowienia. Ale to nie wszystko. Czytałem kiedyś o psie, który lizał swojego pana po ręce. Ciągle to samo miejsce. W końcu ten człowiek zgłosił się do lekarza i okazało się, że ma raka skóry. Dokładnie w tym miejscu, które liza-

niem wskazał jego pies. Wniosek jest prosty – pies ratuje ludziom życie, a w przypadku Maćka dałby mu porządny zapas energii i hormonów szczęścia. To nie jest bez znaczenia, prawda?

– Nie jest. Ale...

– Proszę pana. – Wiktor spojrzał bardzo poważnie w oczy lekarza. – Problem polega na tym, że dorośli zawsze mają w zanadrzu zapas „ale” i wyciągają je nawet wtedy, kiedy nie jest to konieczne.

– W tym przypadku jest.

– Nie sądzę. Pana „ale” związane jest z przepisami, a przecież to również pan ustala przepisy. I wierzę, że mają sens, choć znam takie, które nie mają.

Lekarz chwycił się za głowę i spytał:

– Na przykład?

– Podobno w New Jersey psy nie mogą szczekać od ósmej wieczorem do ósmej rano. A w miejscowości Fairbanks w stanie Alaska nie wolno częstować myszy wódką.

Lekarz aż się wyprostował.

– To jakiś dowcip?

– Właśnie nie. Kiedyś przyłapano bowiem młodego człowieka, który poił mysz nalewką i od tamtego czasu wprowadzono taki przepis.

– W takim razie miał on sens.

– W Tanzanii z kolei istnieje limit długości włosów. Nie mogą być one dłuższe niż trzydzieści sześć centymetrów.

– Ja nie bardzo rozumiem, po co ty mi to wszystko mówisz. Nie bardzo też rozumiem samego siebie, dlaczego w ogóle cię słucham.

– Ponieważ wyjaśniam panu, że pewne przepisy są po prostu idiotyczne. I że zawsze znajdzie się ktoś, kto z jakiegoś powodu czegoś zabroni czy zakazuje, nie myśląc w ogóle o tym, czy to ma sens. Czy naprawdę trzydziestosiedmiocentymetrowe włosy komuś by zaszkodziły?

– Włosy nie – zgodził się lekarz. – Ale pies w szpitalu już mógłby.

– Ale na balkonie mniej.

– No, mniej – zgodził się lekarz.

– Proszę zatem nagiąć ten przepis. Wpuścić raz jeden psa na balkon i pozwolić Maćkowi na taki zwariowany dzień. Wiemy, że nie powinien wstawać z łóżka, ale na wózek można go przecież jakoś przenieść.

Lekarz zastanowił się przez chwilę.

– Zgoda. – Kiwnął głową. – Pod warunkiem że podasz mi jeszcze jeden światowy zakaz, który mną wstrząśnie.

Wiktor zmarszczył brwi, ale po chwili jego twarz pojaśniała.

– W stanie Illinois w Ameryce kobieta ważąca powyżej stu kilogramów nie ma prawa jeździć konno w podkoszulku.

Lekarz roześmiał się.

– Nic dziwnego! – zawołał i dodał: – dobrze. Ale pies będzie na balkonie i nawet pół jego łapy nie dotknie szpitalnej podłogi.

Paweł spojrział na Wiktora z dużym uznaniem.

– Zaimponowałeś mi – powiedział w końcu. – Co prawda, już od naszego wyjazdu do Antosi podejrzewałem, że jesteś równym gościem, a nawet o wiele ciekawszym niż niejeden kumpel z mojej klasy, ale teraz tylko utwierdziłeś mnie w przekonaniu, że miałem rację.

Wiktor pomyślał, że wprawdzie Paweł niepokojąco zbliżył się do Rolki, to jednak lepiej, że zbliża się właśnie ktoś taki, niż nieopierzony dupek bez polotu i wyobraźni. Koca i chodzenia na rękach mu jeszcze nie wybaczył, ale odrobinę stopniał w swej niechęci.

– Znasz pana Norrella? – to miał być ostatni test.

Paweł przecząco pokręcił głową.

No dobra. Ma chłopak jeszcze pewne braki, ale na pewno można je skorygować. Jak krzywe uzębienie.

MAGDALENA

Piaskownica

Był ciepły, jesienny dzień. Kiedyś podział pór roku zdawał się być bardziej oczywisty, teraz na taki prawdziwy, jesienny dzień trzeba poczekać. Ale nam się udało. Liście szeleściły obiecująco, kasztany pęczniały na drzewach, słońce grzało tak mocno, że nawet pozwoliłam Oli zdjąć czapkę, a powietrze pachniało dymem i wiatrem.

Jesień jak z książki. Jak z obrazka, tylko brakowało dymu z ogniska i pieczonych ziemniaków. Z Olą i Mateuszem poszliśmy do parku, nacieszyć się niczym. Nawet telefonu ze sobą nie wzięłam, żeby kompletnie nic mnie nie rozpraszało. Będę chłonąć jesień całą sobą, będę zbierać kasztany i nawet pies, który właśnie patrzy mi prosto w oczy, jednocześnie załatwiając swoje potrzeby fizjologicznie, nie popsuje mojego nastroju.

– Zrobił kupę – zauważa Ola, w przeciwieństwie do właściciela psa, który najwyraźniej uznał, że kupa w parku jest elementem naturalnym i pasującym do krajobrazu.

– Może by pan sprzątnął? – proponuję z uśmiechem.

Patrzy na mnie oburzony.

– W życiu. Brzydzę się! – oznajmia i odchodzi szybkim krokiem, wzdrygając się co chwila.

Niewiarygodne.

Przenieśliśmy się na ławkę obok, blisko piaskownicy.

Ola i Mateusz bawią się w cukiernię z piaskowymi babkami, a ja odpowiadam na zaczepny uśmiech siedzącej obok mnie kobiety.

– Ile lat ma pani córeczka?

– Sześć.

– I nie ma jeszcze włosów.

Powiedzieć?

– Jest po chemii, ma nowotwór – decyduję się.

A potem chce mi się już tylko śmiać.

– Arletko, do mnie! Arletko, musimy już iść. – Pani zrywa się z ławki, chwytając za rękę zdumioną Arletkę i obie gnają w stronę wyjścia, pozostawiając w piaskownicy kolorowe foremki. Arletka wprawdzie drze się przeraźliwie, ale uścisk matki musi być bardzo stanowczy, bo mimo swoich krótkich nóżek dotrzymuje jej kroku.

Pamiętam, kiedy jedna z onkomam wspominała mi o znajomych, którzy odsunęli się od jej dziecka, bo mogło ich zarazić białaczką. Myślałam wtedy, że to niemożliwe. Że nawet głupota i niewiedza mają swoje granice. Arletka miała

katar, bo ciągle pociągała nosem. To ja powinnam być ostrożna, żeby Ola nie zła-
pała od niej żadnego wirusa. To ja powinnam zabrać ją z piaskownicy i poszukać
miejsca bez dużej ilości ludzi.

Rakiem nie można się zarazić.

Ale można mieć zarażony mózg.

– No dobrze, mamy dla was pewną niespodziankę – oznajmił wieczorem
Olek, sadzając Mateusza i Olę na kanapie, a mnie zapraszając na środek pokoju.

O matko, co on znowu wymyślił?

– Zatańczymy wam popisowy numer Johnniego i Baby z naszego ukochane-
go filmu.

Nie!

Próbuję się wykręcić, uciec, gdzie pieprz rośnie, albo chociaż schować się
pod kocem. Ale Olek jest niewzruszony, a dzieciaki za wszelką cenę chcą zobaczyć
naszą kompromitację. Ola klaszcze w ręce, Mateusz tylko zabawnie wywraca ocz-
mi.

– To będzie megaobciach. Mega. I dlatego muszę to zobaczyć – oznajmia.

To był megaobciach. Johnniego i Baby nie przypominaliśmy nawet w ułam-
ku procenta. Nie te ciała, nie te mięśnie, nie te ruchy. Przewróciliśmy się ze dwa-
dzieścia razy, więc od razu odpuściliśmy sobie scenę, w której Baby szybuje
w górę i tam jest podtrzymywana przez silne ramiona swojego partnera. Nie
wszystko bowiem da się odtworzyć idealnie.

Ale śmiechu, który wypełnił nasz dom tak szczelnie, że prawie popękały
ściany, nic mi nie zastąpi.

KAROLINA

Zwykle lustra w domach są jakieś dziwne. Te w sklepach zawsze pokazują ludzi ładniejszymi i bardziej szczupłymi. Te w domu mówią niestety prawdę.

Karolina skrzywiła się na widok swojej poszarzałej buzi. I worków pod oczami. Choć tak naprawdę martwiło ją zupełnie coś innego.

Dlaczego znikają znajomi? Tak jakby ludzie byli przekonani, że im mniej raka w ich otoczeniu, tym mniejsze ryzyko zachorowania. O czym rozmawiać z chorym? Przecież nawet przez zwykłe słowa może przebijać widmo śmierci, a nikt nie chce poczuć jej oddechu. A jeśli obudzi to, co uspięne? A jeśli niezdrowe komórki tylko na nas czekają?

Karolina patrzyła na mamę, której po raz kolejny nie udało się zaprosić dawnej koleżanki.

– Wyjeżdża? Umarł jej piesek czy złapała może trądzik młodzieńczy? – spytała w końcu.

Mama wzruszyła ramionami.

– Ma jakieś zobowiązania wobec ciotki i musi się zajmować jej mieszkaniem. Nie wiem dokładnie, po prostu nie pasuje jej ta kawa w sobotę. To nic takiego, przecież ludzie mogą mieć inne plany.

Karolina uśmiechnęła się pod nosem.

– Boją się mnie.

– Nieprawda – zachnęła się mama. – Moim zdaniem jesteś zbyt przewrażliwiona. Gdybyś nie była chora, pewnie w ogóle nie zwróciłabyś na to uwagi.

– Gdybym nie była chora, nie istniałaby również ta ciotka, której mieszkaniem rzekomo trzeba się zająć.

Mama nie powiedziała już ani słowa, tylko poszła do kuchni wypróbować przepis Edny na krem z pieczonego groszku.

– Rolka, jesteś zła? – spytał Wiktor. – Może po prostu ta znajoma naprawdę nie mogła przyjść i nie ma to żadnego związku z tobą.

Karolina parsknęła, a potem spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

– Tu nie chodzi tylko o mnie. Ale o cały świat onkoludków, które wcale nie muszą mieć swojej odrębnej planety. My nie zarażamy. Nie dotykamy śmiercią i nie wywołujemy chorób u innych. Więc czemu jesteśmy przesuwani dyskretnie poza codzienność? Podobno w Europie wyrzuca się prawie dziesięć milionów ton żywności tylko dlatego, że nie pasuje ona kształtem lub rozmiarem do standardów. Z nami jest podobnie. Nie pasujemy do ogólnie przyjętych norm. Nosimy w sobie śmierć i tylko to staje się naszym wyznacznikiem. Nie walka, nie sposób, w jaki sobie radzimy z chorobą, nie stawianie czoła chemii i łysej głowie, nie zaciskanie zębów mimo bólu, ale właśnie to, że po kawałku umieramy. A nikt nie chce przyjaźnić się ze śmiercią.

– Ty nie umierasz.

– Każdy z nas umiera. Ja trochę bardziej niż inni, bo moje komórki są niestandardowe. Jak ta wyrzucana żywność. Wiele osób myśli, że najzdrowsze i najbardziej smaczne jabłko to to, które jest idealnie okrągłe i ma piękny czerwony kolor. Zbyt małe, niesymetryczne i pokryte jakimiś znamionami nie ma prawa dobrze smakować.

– O czym marzysz Rolka?

– Żeby nas wymieszać ze standardowymi jednostkami. Żeby nie patrzeć na nas jak na odpad, na coś, co nie mieści się w ogólnie przyjętych normach. Rozmawiać, zapraszać do siebie, zabierać na wycieczki, do kina, na majówki, a nawet wyprawę w góry, jeśli siły nam na to pozwolą. Nie patrzeć na chustkę na głowie. Przecież wszyscy biegniemy do tej samej mety, tylko niektórzy po prostu dobiegną szybciej. To jedyny wyścig, w którym wygrywa ten, kto przybiegnie ostatni.

– Co jest za metą? – wyszeptał Wiktor.

Karolina wzruszyła ramionami.

– To, co sobie wyobrazisz. Może lustro, przez które wszyscy musimy przejść? Ale takie sklepowe, takie które nas ulepsza. Może ogromna plaża? A może nic, ale tak bardzo ulotne, że jednak będziemy szczęśliwi.

– Ale ty dalej walczysz, prawda? Ty nie mówisz tego po to, żeby się jakoś pożegnać? Bo ja cię kocham, wiesz? Tu na ziemi. Nie po drugiej stronie lustra i nie tam, za metą. Tu i teraz, i chcę z tobą biec dalej. I nie chcę, żebyś mnie prześcignęła. I ciągle nie rozumiem, co było nie tak z moim szpikiem.

Karolina podeszła do Wiktora i przytuliła go tak mocno, że prawie zabrakło mu tchu.

– Uff, dasz radę. Ktoś, kto ma tyle siły, nie zniknie jak płatek śniegu – powiedział jeszcze i otarł łzy. Nie będzie się przecież mazał, w końcu ktoś mógłby jeszcze pomyśleć, że jest dzieckiem.

– Jedziemy jutro, nie? A... Paweł... też? – spytał niby zupełnie przypadkiem.

Pokręciła przecząco głową.

– W przyszłym tygodniu są jakieś ważne testy z historii. Próbował się wykręcić, ale rodzice powiedzieli, że tym razem ma zostać w domu i przez weekend zakuwać. Swoją drogą, ty się nie musisz uczyć?

Wzruszył ramionami.

– Ja mam talent wrodzony. Wystarczy mi to, co usłyszę w szkole, żeby wszystko zapamiętać. A jak nie jestem pewien, to czytam w samochodzie, kiedy do was przyjeżdżamy.

Karolina zamysliła się.

Edna i Ewelina zdawały się coraz lepiej rozumieć i oczywistym było, że za każdym razem, kiedy Edna przyjeżdżała do Poznania, nocowali z Wiktorem

w mieszkaniu Eweliny. Karolina zastanawiała się nawet, czy obie mamy rozmawiają czasem o ojcu. Była i obecna żona, kobiety tego samego faceta. Ale nawet jeśli tak, to najwyraźniej w żaden sposób nie wpływało to na ich wzajemne relacje. Razem się śmiały, razem oglądały wieczorami filmy i razem piły wino, choć dzisiaj Edna trochę mniej, bo następnego dnia musiała przecież jechać do Łodzi.

– Boisz się czasem? – spytała Ewelinę i spojrzała na nią poważnie.

– Czasem się nie boję – westchnęła. – Ale to są rzadkie momenty. Kiedy widzę, że jest lepiej, kiedy lekarka mówi mi, że po tej chemii organizm zareagował dużo lepiej, i widzę, że nie kłamie, to poluzowuję trochę mój strach. Dopuszczam do siebie myśl, że Karolina pokona to świństwo i że być może nawet przeszczep nie będzie konieczny.

– To naprawdę cud, że jest lepiej.

– Doktor Lucyna powiedziała mi, że być może zadziałała podświadomość Karoliny. Kiedy okazało się, że Wiktor nie może być dawcą, bardziej przejęła się jego rozpaczą niż faktem, że nie dojdzie do przeszczepu. Jej organizm się zmobilizował. Zaczął współpracować z jej myślami, z podświadomą chęcią udowodnienia bratu, że nic się nie stało. Że jednak poradzi sobie inaczej. Nie wiem sama... W medycynie przecież też mówi się o cudach. – Spuściła głowę.

Edna pogłaskała ją po rękę.

– Podziwiam cię. Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której choruje moje dziecko.

– Nikt sobie nie wyobraża, dopóki go to nie spotka. Chciałabym zabrać tego raka, chciałabym przenieść go na siebie, ale nie mogę. Nic nie mogę zrobić, poza tym, żeby przy niej nie płakać. I tego właśnie ona mnie nauczyła. „Płacząca matka boli bardziej niż dożylne wkłucie” – tak mi kiedyś powiedziała. I miała rację. Trochę czasu mi zajęło, żeby to zrozumieć, ale teraz przynajmniej wiem, jak się zachować.

– Obejrzymy jeszcze jakiś film?

– *Bridget Jones!* Bez względu na wszystko, to zawsze działa na mnie relaksująco.

MAGDALENA

???

Kontrola.

Guz jest mały, jakieś osiem na cztery milimetry.

Nie ulega wzmocnieniu po podaniu środka cieniującego, czyli specjalnej substancji chemicznej wprowadzanej do badanego narządu w celu uwidocznienia go na obrazie rentgenowskim.

Znowu brzmi bardzo naukowo, ale ja już wszystko rozumiem.

Tylko nie wiadomo na razie, co to jest.

Zmiany pooperacyjne?

Zwłóknienia po radioterapii?

Na Boga, co to jest?

KAROLINA

Pies z pewnością nie był rasowy, był raczej wielorasowy, przy czym każda z tych ras również była nieźle wymieszana. Był za to niezwykle spokojny i bardzo uważał, żeby nie podpaść nikomu z personelu. Nie nawiązywał zatem kontaktu wzrokowego z żadnym z dorosłych, a do dzieci zdawał się puszczać oko. Poruszał się niczym balerina, zwiewnie, elegancko i na samych czubkach swych białych łap, pokrytych czarnymi i brązowymi plamkami. Ogólnie był dość plamkowany, co nadawało mu wygląd przyjaznej salamandry. Jego właścicielka mówiła do niego cichym głosem, a on zdawał się rozumieć absolutnie każde jej słowo.

Rozumiał zatem, że sceną tym razem będzie balkon, a widownia pojawi się za szybą. Było to coś nowego, bowiem zazwyczaj widzowie wyciągali w jego kierunku ręce i często go głaskali, co nawet lubił pod warunkiem jednak, że nie ścisкали go zbyt wylewnie i nie próbowali całować dosłownie wszędzie. Pocałunki są cudowne, ale zwielokrotnione i pomnożone przez dziesiątki ludzkich ust, stają się w końcu odrobinę denerwujące. A najgorzej, kiedy te usta są pomalowane.

Tym razem jednak było zupełnie inaczej. Gościem honorowym był blady chłopiec, który siedział na wózku z doczepionym do niego dziwnym stojakiem, do którego również coś było doczepione. Obok chłopca zgromadziło się całkiem sporo innych dzieci, kilka dorosłych kobiet, a nawet jeden dość groźnie wyglądający pan ubrany na biało, który patrzył mu prosto w oczy.

Sceptycyzm. Brak wiary, że pies potrafi coś innego, jak tylko zakręcić się w kółko i podać łapę.

To patrz, mój drogi.

Fundacja nazywała się Psi Uśmiech i współpracowała głównie z osobami, którym ten uśmiech był bardziej potrzebny niż przysłowiowa szklanka wody. Dwie młode dziewczyny, Helena i Alina, jeździły ze swoimi podopiecznymi po całej Polsce, rozbawiając wszystkich tych, którym na chwilę zabrakło radości. Zupełnie przypadkowo natrafiła na nie mama Karoliny, z czego była ogromnie dumna. Wreszcie też mogła się do czegoś przydać i wesprzeć swoją zwariowaną córkę, która zamiast leżeć, chorowała w biegu. Początkowo wydawało jej się to głupie i nieodpowiedzialne, wiedziała jednak, że nie przemówi do rozsądku piętnastolatce, która najwyraźniej wszystko wiedziała lepiej.

Wszystko może nie. Ale w tym jednym wypadku miała absolutną rację – ruch, zadania do wykonania i wreszcie skupienie całej uwagi na czymś innym niż własna choroba, pomagały Karolinie bardziej niż chemia. Szkoda tylko, że jej chłoniak okazał się tak bezwzględny graczem. Może inny nowotwór dawno by odpuszczył, ale on najwyraźniej polubił ich rakową grę w szachy. Prawdziwy wieprz. To miała być tylko jedna partia i tylko jedna strona mogła wygrać. Tymczasem nawzajem dawali sobie szacha, patrząc wyzywająco przeciwnikowi w oczy. Tyle

że Rolka miała swoich kibiców, a Świniak był sam. A jednak nie miał zamiaru oddać gry walkowerem.

– Ja chyba znalazłam psa – powiedziała Ewelina do Karoliny, kiedy siedziały razem w pokoju i oglądały jakiś smętny film o miłości niemożliwej.

– Psa? – ożywiła się jej córka, budząc się z chwilowej drzemki, kiedy para na ekranie rzewnie kwiliła na swój widok.

– Dzisiaj mówili o nich w radio. Fundacja Psi Uśmiech, prowadzą ją dwie dziewczyny, które mają kilka psiaków rozbawiających między innymi chorych ludzi. Jeżdżą po hospicjach, domach dziecka, domach samotnej matki. Najczęściej robią to charytatywnie, choć oczywiście cieszą ich spontaniczne datki.

Rolka zerwała się z kanapy. Trudno, nie obejrzy do końca wątku miłości niemożliwej, pies zdecydowanie z nią wygrał.

– Mamo! Masz ich adres? Albo telefon?

Ewelina uśmiechnęła się triumfująco.

– Już nawet do nich dzwoniłam. I powiedziałam, że w grę wchodzi tylko balkon, i że trzeba być wyjątkowo zdyscyplinowanym. Od razu padło na Korka. Podobno rozumieją się bez słów, no i już raz występował w szpitalu, tyle że nie w samym budynku, ale w parku.

– Mamo! Jesteś genialna, wiesz? Nie przypuszczałam nawet...

– Wiem... – przerwała jej Ewelina. – I właśnie dlatego, że podejrzewałam, iż nie przypuszczasz, postanowiłam coś dla ciebie zrobić. I dla baloników.

Karolina podeszła do mamy i zarzuciła jej rękę na szyję.

– Muszę jutro wpaść na krótko do szpitala i opowiedzieć o tym Oli. Na pewno ucieszy się, że mamy psa i że kolejny balonik poleci w kosmos.

Korek usiadł na podłodze i spojrzał na Helenę, przekrzywiając zabawnie główkę. Sztuczka ze skarbonką? Proszę bardzo.

Pośrodku balkonu stała niebieska świnka, a wokół niej rozsypane monety. Nic bardziej prostszego. Korek ostrożnie brał w zęby poszczególne metalowe krążki i ostrożnie wkładał jej do świnki. Oczywiście oklaski bardzo mu się spodobały, ale przecież to nie było aż tak trudne!

Torebka?

Tak, tu już trzeba nieco pomyśleć, ale jeśli odrobinę się skupi, poradzi sobie i z tym bez większego problemu.

– Przynieś portfel! – zawołała Helena i wskazała Korkowi leżącą na krześle torebkę.

Podbiegł do niej i rozsunał zamek.

– Portfel, portfel... Proszę, jest i portfel!

Dzieci roześmiały się tak głośno, że aż zadzwoniła szyba, a Maciek podskakiwał z radości na swoim wózku.

– Przynieś chusteczki!

Chusteczki... Szeleszczące, białe opakowanie. Dość miękkie!

– Proszę, są chusteczki!

Najgorzej było zawsze z batonikiem czekoladowym, który tak zawrotnie pachniał, że chyba żaden inny pies oprócz Korka nie potrafiłby mu się oprzeć. Ale Kerek wiedział, że jeśli nie zeżre po drodze batonika, dostanie przepyszne psie chrupki oraz bekonowe chipsy, które kochał najbardziej na świecie.

A potem podszedł do szyby, stanął na dwóch łapach i przylgnął nosem do szklanej powierzchni. Maciej nachylił się w jego stronę i również przystawił do szyby nos. I tak sobie stali przez parę minut, patrząc na siebie nawzajem i dopiero ten groźnie wyglądający lekarz przerwał ich niemą rozmowę. Na szczęście nie miał już tak zaciętego wyrazu twarzy, a Kerek mógłby przysiąc, że spojrzął na niego z dużym zaciekawieniem i nie mniejszym uznaniem.

No raczej.

Ciekawe, czy on oddałby dobrowolnie czekoladowy batonik?

Kiedy następnego dnia wrócili do domu, Ewelina pokazała im filmik, który ktoś wrzucił do sieci.

– Podobno zrobiliście furorę, a Kerek to już najbardziej. Zdaje się, że szpitale będą miały nie lada kłopot, bo posypią się zamówienia na psie występy. – Puściła do nich oko.

Piękne, umalowane oko.

– Mamo?

Ewelina skrzyżowała ramiona na piersiach i spojrzała na córkę z uśmiechem.

– To twoja zasługa i chociaż długo się opierałam, w końcu uległam.

– Wyglądasz zachwycająco. – Edna obeszła Ewelinę dookoła i z zachwytem aż gwizdnęła. Wiktor zdawał się być najmniej poruszony.

– Czy ty masz z tym coś wspólnego? – spytał, patrząc na swoją siostrę.

– Mama Ani, mojej koleżanki ze szkoły, jest wizażystką. Pomyślałam, że byłoby fajnie, gdyby pomogła mi wydobyć moją dawną mamę. Z ufarbowanymi, ładnie obciętymi włosami, z makijażem i pomalowanymi paznokciami. Kiedy spytałam Anię, czy byłoby to możliwe i w jakiej cenie, od razu zapaliła się do tego pomysłu. Jej mama za nic nie chciała wziąć za to pieniędzy. Umówiliśmy się tylko, że wpadnie do nas, kiedy będę w Łodzi, żeby mama miała czas tylko dla siebie.

– Obcięła mi włosy, nałożyła farbę, pokazała jakiś milion sztuczek z makijażem i zostawiła pełno kosmetyków – powiedziała Ewelina. – I kiedy teraz tak patrzę w lustro, to myślę, że chyba rzeczywiście było mi to potrzebne.

– To jest potrzebne każdej z was. – Karolina podeszła do niej i mocno się przytuliła. – Fajnie by było zmyć choć na chwilę to szpitalne zmęczenie i nałożyć na twarzy odrobinę brokatu. Poczuc się piękną.

Wiktor przewrócił zabawnie oczami.

– Ja zupełnie nie rozumiem, jak można czuć się pięknym z brokatem albo

czymś na powiekach. Ja się czuję piękny cały czas – oznajmił głośno i postanowił całkowicie zignorować potrójny wybuch śmiechu.

MAGDALENA

Czy bilans wychodzi na zero?

Kiedy weszłam do sali Oli, przy jej łóżku siedziała już doktor Agnieszka.

Lubię ją. Patrzy mi prosto w oczy, nie oszukuje, nie daje złudzeń. Mówi i patrzy prawdą. Nawet jeśli są dni, kiedy daje nam mniej nadziei niż zwykle, to i tak wolę to niż oszukiwanie.

Usiadłam naprzeciwko niej. Ola spała. Oddychała spokojnie, miarowo, tuląc do buzi pluszowego króliczka.

– Czy bilans tych, którzy odeszli i tych, których udało się uratować, wychodzi na zero? – pytam nagle.

Patrzy na mnie bez uśmiechu.

– Nie do końca. Za każdym razem, kiedy odchodzi jakieś dziecko, czuję się tak, jakbym czegoś nie dopilnowała. Spuściła z oka na sekundę i właśnie w tym momencie ktoś mi je zabrał. A potem inne nagle wychodzi ze szpitala i okazuje się, że już do nas nie musi wracać. Bo wyzdrowiało. Teoretycznie zatem jest jeden do jednego, ale w praktyce wygląda to zupełnie inaczej. Śmierć boli podwójnie i dlatego trudniej się z niej otrząsnąć. Zwłaszcza śmierć kogoś, o kogo tak zaciekle walczyliśmy.

– Czy one się boją? – szepczę, bo przecież ja sama boję się okropnie. Przez cały czas. Przez każdą minutę. Jestem sumą wszystkich lęków. Dzwoniącego telefonu, poszczególnych badań, każdego pobierania krwi, zwykłego USG, mierzenia temperatury. Otwierania szpitalnych drzwi i spojrzeń pielęgniarek.

– One szybciej dorastają. Każde dziecko, które leży tu na oddziale, przyjmuje śmierć jak coś oczywistego. My, dorośli, możemy się od nich uczyć. A wie pani, dlaczego? Bo my jesteśmy przywiązani do mnóstwa rzeczy, do planów, do marzeń, do przeszłości, którą sobie wizualizujemy. Tymczasem dziecko jest wolne od tego wszystkiego. Lżejsze o tę wiedzę, co jeszcze może je w życiu spotkać. Kiedy usłyszy, że będzie szczęśliwe, że „potem” nic już nie będzie bolało, radośniej odchodzi. I to mnie trochę pociesza.

Spuszczam głowę.

Słowa doktor Agnieszki wiszą w powietrzu między mną a nią, nad łóżkiem Oli. Niby wszystko do mnie dociera, staram się zrozumieć, co chce mi powiedzieć i staram się zaakceptować taką wersję odchodzenia. A jednak nie mogę.

Czy istnieje na świecie jakakolwiek matka, która może się z tym pogodzić?

– A wie pani, co powiedziała mi pewna dziewczynka jakiś czas temu? Miała nie więcej niż dwanaście lat i ostrą białaczkę szpikową. Wiedziałam, że ma małe szanse, ale postanowiłam wtedy udowodnić całemu światu, że uda nam się uratować nawet najbardziej beznadziejny przypadek.

– I co się stało? – pytam.

Doktor Agnieszka patrzy na własne dłonie, a potem uśmiecha się do mnie.

– Ta dziewczynka powiedziała mi wtedy, że nie wolno zawsze wygrywać. I że ona będzie moją porażką. Ale to dobrze, bo nikt nie lubi ludzi, którzy ciągle wygrywają. Ona była najlepsza w klasie w bieganiu. Zanim zachorowała. Początkowo wszyscy jej kibicowali, ale kiedy prześcignęła najszybszego chłopaka w klasie i w zasadzie nie miała już żadnego rywala, dzieci zaczęły jakoś mniej ją lubić. Tak już jest, że zwycięzców kocha się tylko do pewnego momentu. Potem muszą upaść, żeby znowu mieli o co walczyć.

– Umarła? – bardziej stwierdzam, niż pytam.

Przytakuje.

– Jeszcze tego samego dnia. Wieczorem, po cichu, zanim siostra przyniosła jej kolację.

Spuszczam głowę. Ile jeszcze takich historii przyjdzie mi usłyszeć? Czy one w jakikolwiek sposób mnie wzmacniają? Czy tylko jeszcze bardziej przerażają, że nikt nie ma wpływu na to, co nieuniknione? I że czasem wygrywa ten, który przegrał...

Jutro będą wyniki.

Kiedy wychodzę ze szpitala, jest już bardzo późno.

– Cześć. – Olek podchodzi do mnie i narzuca mi na ramiona jakiś szal.

– Co tu robisz? Miałeś dzisiaj koncert – dziwię się.

– Miałem. Ale już się skończył. A ja pomyślałem, że zrobiło się chłodno i trzeba się tobą ciut zaopiekować. No i czekam na zachwyty.

Patrzę na niego pytająco.

– Były owacje na stojąco?

– Zawsze są. Spójrz lepiej na ramiona.

Niebieski szal. A raczej chusta. Ale ja nigdy takiej nie miałam! Mięka, delikatna w dotyku, w cudownym kolorze nieba.

– Nie mów, że sam zrobiłeś na drutach! – śmieję się zachwycona.

– Nie, ja tylko batutą umiem wymachiwać, a szal akurat zrobiła moja mama.

Ale na moje specjalne zamówienie.

Mówiłam już, że jutro będą wyniki?

Muszą być dobre!

KAROLINA

Ola chwyciła Karolinę za rękę i pociągnęła ją w stronę okna.

– Lubię tęczę! – zawołała radośnie.

Karolina zmarszczyła brwi i dokładnie zlustrowała niebo.

Gdzie do diabła jest tęcza?

– No tam, zobacz, za drzewami!

Była. Małeńka, prawie niewidoczna, ale była. Wychodziła z korony kasztanowca i chowała się w nisko zawieszonych chmurach.

– Wiesz, ile osób nie dostrzega tęczy? Bo nigdy nie patrzą w górę. Wolą pomyśleć o różnych niepowodzeniach, narzekać na zły los i wbijać wzrok w ziemię. Słyszą burze, widzą błyskawice. A przecież tęcza pojawia się właśnie w takich momentach – powiedziała Karolina. – Nie kiedy jest błękitne niebo i świeci słońce, tylko podczas grzmotów i deszczu.

Ola uśmiechnęła się do niej łobuzersko i spytała:

– Czy tęcza jakoś smakuje?

– Nie wiem... Może watą cukrową? Albo owocami? – Karolina podrapała się po głowie. – A może wręcz przeciwnie? Może kiełbasą śląską albo kapustą kiszoną? – zachichotały już obie.

Siostra Liliana, która właśnie obok nich przechodziła, tylko pokręciła głową.

– Wybaczam wam, że znowu snujecie się po korytarzu, zamiast odpoczywać, bo wiem, że i tak mnie nie posłuchacie. Przypominam tylko, że zarówno jedna, jak i druga jest po badaniach i leżenie w łóżku byłoby bardzo wskazane. A już z pewnością bardziej niż sterczenie w oknie.

Karolina i Ola zrobiły bardzo potulne miny i nawet spuściły skromnie wzrok. Nie czuły się zmęczone. Ani słabe. Być może była to wina tęczy o smaku kiszonej kapusty albo po prostu roztańczonych endorfin.

Do kolejnej chemii zostały jej jakieś dwa tygodnie. Trzeba je dobrze wykorzystać, bo potem może być różnie. Na razie jest na badaniach kontrolnych i musi zostać dwa dni w szpitalu. Mało, ale z drugiej strony został jej jeszcze jeden balonik. Trzeba go wysłać w świat. A potem będzie musiała pomyśleć o własnym życiu. Chyba najprościej będzie poprosić o dawkę, a może od razu skupić się na całkowitym wyleczeniu? Z drugiej strony to może być marzenie zbyt ciężkiego kalibru.

Dawcy ciągle nie było. Teoretycznie na razie nie był potrzebny, chociaż zdaniem doktor Lucyny, to ostatecznie postawiłoby kropkę nad i. Choć i tak najpierw należało zabić komórki nowotworowe chemią.

Drużyna działała coraz prężniej, zataczała coraz szersze kręgi i zarażała kolejnych ochotników.

– To wszystko jest w zasadzie dość proste – tłumaczyła jej Dorota, którą Ka-

rolina poznała kilka dni temu. Cudowna, ciepła osoba. O energii siedmiu reaktorów jądrowych.

– Wstępne przeszukanie daje zestawienie wszystkich potencjalnych dawców obecnych w tej chwili w rejestrach światowych. Nie kontaktujemy się na razie z dawcami, tylko identyfikujemy ewentualną zgodność antygenową. Wstępne przeszukanie polega na automatycznym porównaniu z pacjentem ponad pięciu milionów potencjalnych dawców z całego świata, zgrupowanych w ponad pięćdziesięciu rejestrach dawców szpiku i bankach krwi pępowinowej – wyjaśniała Dorota.

– I z tych pięciu milionów nikt do mnie nie pasuje? – zdziwiła się Karolina.

– Niezły totolotek, prawda? – Uśmiechnęła się Dorota. – Ale pamiętaj, że codziennie rejestrują się nowi ludzie. Każdego dnia jest nowa szansa.

– A można szukać jeszcze jakoś inaczej? Równolegle? Pytać w różnych fundacjach, organizacjach?

Dorota pokręciła przecząco głową.

– Zwracanie się z prośbą o dobór dawcy do dwóch czy nawet stu ośrodków nie tylko nie przyspieszy procedury, ale – z powodu wzajemnego blokowania się – wręcz ją utrudni i spowolni. Nie martw się. Machina już ruszyła. Naprawdę każdy ma swojego szpikowego bliźniaka, twój też gdzieś na ciebie czeka.

– Wiktor okropnie się zmartwił, że nie może być dawcą.

– Nie dziwię się. Świadomość, że można pomóc najbliższej osobie, zawsze jest silniejszą motywacją niż ratowanie kogoś, kogo się nie zna. Zawsze powtarzam tym, którzy nie do końca są przekonani, czy się zarejestrować – nie pomagacie komuś obcemu, tylko inwestujecie we własne życie. Bo przecież nigdy nic nie wiadomo...

– A co, jeśli znajdę dawcę na przykład w Grecji? Będzie przystojnym Grekiem, opalającym się na plaży i pochłaniającym właśnie fetę z oliwkami, gdy nagle zadzwoni do niego telefon.

Dorota roześmiała się.

– Szpik pobierany jest od dawcy w pobliżu miejsca jego zamieszkania, oczywiście pod warunkiem, że znajduje się tam odpowiednia klinika czy szpital. Termin pobrania zsynchronizowany jest z odpowiednim przygotowaniem pacjenta do transplantacji. Szpik dostarczany jest przez specjalnego kuriera i podawany pacjentowi w postaci kroplówki, ale to już wiesz, bo Wiktor, zdaje się, wszystko dokładnie ci wyjaśnił. Regeneracja zarówno dawcy, jak i biorcy następuje zwykle po trzech, czterech tygodniach, a zatem po miesiącu Grek wróciłby na plażę, dalej wsuwając fetę z oliwkami i prężąc dumnie mięśnie, że w międzyczasie uratował komuś życie.

Zamilkły na moment. Gdyby to mogło być takie proste.

Karolina obracała w rękach dwa ostatnie czerwone baloniki. Wyniki na razie miała dobre, a to zawsze ogromnie motywuje. W najbliższy weekend chciała poje-

chać do Krakowa i chociaż zarówno mama, jak i Edna mówiły jej, że to jednak dość daleko, Karolina uparła się właśnie na to miasto. Zresztą nie miała innego wyjścia, bo pacjent czekający na balonik już tam był.

– Masz szczęście, że w poniedziałek nie muszę iść do szkoły – powiedział Wiktor. – Jest jakaś konferencja dla nauczycieli i mamy przyjść tylko na dwie godziny, na jakieś durne zajęcia sportowe. Mama powiedziała wprawdzie, że nie są durne, ale w drodze wyjątku mogę je opuścić. A to oznacza, że spędzimy w Krakowie trochę czasu. Swoją drogą, skąd wiesz, komu pomóc?

To była zasługa Doroty, a właściwie Drużyny.

Kraków szykował się właśnie na przeszczep dla ośmioletniego Mateusza, który znalazł swojego dawcę w Poznaniu. I pomyśleć, że zadziałał tu czysty przypadek. Dawcą okazał się niewierny mąż, który pragnąc odkupić swoje winy, postanowił wpłacić ogromny datek na Kościół, byle tylko żona mu wybaczyła. A przy okazji Bóg również. Żona jednak uznała ten pomysł za jeszcze gorszy niż sama zdrada (po pijaku, na wyjeździe służbowym) i kazała mu poświęcić się o wiele bardziej niż tylko finansowo.

– Masz. – Podała mu czerwoną ulotkę Drużyny Szpiku, którą znalazła za wycieraczką swojego samochodu.

– Oddać krew? – spytał zdziwiony.

– Szpik.

– Jak to szpik? – przeraził się nie na żarty.

– Normalnie. Najpierw krew, a jeśli zajdzie taka potrzeba, wezmą szpik. Wtedy może ci wybaczę.

Podczas pobierania krwi niewierny mąż zemdlał, choć przekonywał wszystkich, że to dlatego, iż dzień wcześniej struł się rybą. Po kilku dniach z kolei próbował zemdleć po raz drugi, kiedy okazało się, że jest zgodność, a dawca od kilku miesięcy nie opuszcza oddziału onkologicznego w Krakowie. I bardzo się ucieszył na wiadomość, że odnalazł swojego bliźniaka.

– Czy to boli? – spytał tylko.

– Nie bardziej niż rozwód – odpowiedziała jego żona, wskutek czego niewierny mąż nie zadawał już więcej żadnych pytań. A potem poczuł nawet coś w rodzaju wzruszenia, kiedy powiedzieli mu, że biorcą jest mały chłopiec, który serdecznie go pozdrawia.

– Mateusz jest teraz najszczęśliwszym dzieckiem na świecie, chociaż martwi go jedno. Podobno obiecał swojej koleżance z oddziału, że zorganizuje dla niej występ iluzjonistów, klaunów i magików, bo ta dziewczynka ma jakieś niesamowite zdolności i kocha magię ponad wszystko – opowiedziała Karolinie Dorota. – Mateusz twierdzi, że to ona właśnie wyczarowała dla niego dawcę i przykro mu, że nie będzie mógł się jej teraz odwdzięczyć, bo wiadomo, jak to jest przed i po przeszczepie.

– Ja pomogę! – zawołała Karolina. – I nawet zaoszczędzę dzięki tobie czas, bo już wiem, o jakie marzenie chodzi. Dziękuję!

– To teraz jesteśmy kwita – powiedziała Dorota.

– Jak to?

– Ty też podsunęłaś mi niezły pomysł, opowiadając o swojej mamie i jej przemianie w księżniczkę podczas weekendu. I od razu wpadło mi do głowy, że też to kiedyś zrobię. Metamorfozy Mam. Zmiana wyglądu będzie tu tylko pretekstem. Dzięki stylistom, fryzjerom i wizażystom przypomną sobie, że są również kobietami, żonami i przyjaciółkami. Mimo bólu, który przysłania im rzeczywistość. Dobra, lecę do fundacji. – Dorota uniosła w górę kciuk i pożegnała się z Karoliną.

A zatem Kraków. Tylko jeszcze zajrzy do Oli...

MAGDALENA

Dwanaście procent

Wydawało mi się, że wykorzystałam już swój limit nieszczęść. Pecha. Dramatów i tragedii. Ale najwyraźniej to jeszcze nie był ten moment.

Starłam się nie odrywać od profesora wzroku. Próbowałam nawet nie mrużyć, żeby nie utracić absolutnie niczego z tego, o czym mówił. Żeby wyczytać z jego twarzy prawdę. Nawet najgorszą.

Słowo „wznowa” nie przeraziło mnie tak bardzo jak świadomość, że przecież lekarze zrobili już wszystko, co mogli. Chociaż nie! Co on mówi? Jest jedna opcja! Wrócić do chemii sprzed kilkunastu lat.

– Na pięć składników chemii, którą Ola już dostała, w tej starej są dwa inne, których jej organizm jeszcze nie zna. Ale ja mówię od razu, że to będzie eksperyment. Wielka niewiadoma. Może te składniki zniszczą nowotwór, ale równie dobrze mogą nie zadziałać.

– Czy Ola to wytrzyma? – pytam bezbarwnym głosem.

Olek milczy. Jakby słowa uwięzły mu w gardle.

– Powiem tak. Na tym etapie, na którym znajduje się teraz wasza córka, to albo dziecko jest zdrowe i cieszymy się, że się udało, albo... już nie żyje. A Ola żyje i jest chora. I ja nie wiem, co dalej.

– Ile procent pan jej daje?

Zamyślił się.

– Dziesięć... Może dwanaście...

Dwanaście procent. Poczulałam, że za chwilę zwymiotuję. Ktoś właśnie dał mi dwanaście procent na życie mojego dziecka. Mam podziękować? Czy rzucić mu się do gardła i domagać się choćby kilku procentów więcej? Czy można je gdzieś dokupić? Pożyczyć od kogoś innego?

Profesor patrzy na mnie ponuro.

– Mamy dwa wyjścia. Albo daję wam Olę do domu i niech w spokoju...

Macham w powietrzu rękoma, żeby przestał. Żeby głośno tego nie powiedział.

– ...albo bierzemy pod uwagę drugą opcję i eksperymentujemy.

– Walczymy – mówimy z Olkiem niemal jednocześnie. A właściwie krzyczymy.

Oczywiście, że walczymy.

Na trzy lekarstwa z tej chemii guz jest odporny. Ale na dwa nie. Spróbujmy. Zaryzykujemy.

Ola wyłysiała niemal natychmiast. Po trzech dniach.

Ale kto wymyślił, że włosy są do czegokolwiek potrzebne? Bez nich jest wy-

godniej i nie trzeba zastanawiać się nad wyborem szamponu.

KAROLINA

– Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego właśnie my? – spytała Karolina. Trudne pytanie dla kilkuletniej dziewczynki, ale Ola umiała sobie poradzić z każdym problemem.

– Może ktoś wybiera tych, którzy lubią lody malinowe?

Karolina uniosła ze zdumieniem brwi.

– No co ty?

Ola wzruszyła ramionami.

– Albo tych, którzy za długo sikali w majtki.

Roześmiały się obie.

– Możesz mieć rację. Bo zdecydowanie nie ma tu podziału na biednych czy bogatych albo tych grzecznych i złych. Więc muszą być inne kryteria. Może warto popisywać przyzwyczajenia ludzi chorych na raka i wtedy ułożyć się jakiś algorytm?

– Co to algorytm? – zainteresowała się Ola.

– No, pewien schemat zachowań, który koniec końców ma prowadzić do rozwiązania. Albo jakichś wniosków. To jakie lubisz lody?

– Truskawkowe.

– Ja też! Chociaż ostatnio cytrynowe smakują mi zdecydowanie bardziej. Ale to dlatego, że chemia wypaliła mi połowę kubków smakowych i najlepiej czuję wszystko, co kwaśne. Ale z tą truskawką, to mamy coś wspólnego. Co jeszcze lubisz robić?

Ola podrapała się po głowie.

– Lubię nosić sukienki.

– Z tym u mnie gorzej. Wiesz, że jako dziecko chciałam być chłopakiem? Nie znosiłam spódniczek ani sukienek, ale teraz nie czuję do nich aż takiego wstrętu. Tyle że w spodniach jest mi po prostu wygodniej. Niemniej jednak nie widzę tu większej zbieżności. Musimy szukać głębiej. O, czekaj, dzwoni mój brat, on z pewnością coś nam podsunie.

Wiktor dokładnie wysłuchał Karoliny i uznał, że obie dziewczyny najprawdopodobniej ogromnie się nudzą, wymyślając tego rodzaju historie. Co oczywiście bardzo mu się spodobało.

– Może jakieś znaczenie ma ułożenie waszych organów wewnętrznych?

– A one nie są ułożone u wszystkich ludzi podobnie?

– Owszem, ale z pewnością istnieją jakieś niuanse. Przekrzywiona w lewo nerka, serce bardziej pośrodku niż po lewej stronie, śledziona zepchnięta na tył jamy brzusznej, trudno to ocenić bez dokładnego zdjęcia.

Ola śmiała się tak głośno, aż cała poczerwieniała na buzi. Karolina pomyślała, że to najbardziej pogodne dziecko w całym szpitalu. Nigdy nie narzekała, nie

plakała, nie odwracała się od pielęgniarek, które szukały wolnych miejsc na jej ciele, w które mogłyby się wkluć. Patrzyła tylko na nie tymi swoimi wielkimi oczami i milcząco pozwalała robić ze sobą wszystko, co było konieczne. Czy miała duszę wojowniczkę?

Nie tylko duszę. Cała była jedną wielką walką z rakiem. Podchodziła go z różnych stron. Uśmiechem, zabawą, spokojem. Wyprowadzała w pole radością ducha i wytrącała broń z ręki normalnym, dziecięcym śmiechem. Pogodziła się z myślą, że żyje w dwóch światach. Że jej dziecięcy pokój ma białe ściany i szpitalne łóżko. Że czasem zamiast naleśników na śniadanie dostaje kroplówkę.

Jej mama była taka ładna. I widać było, że płacze tylko w ukryciu.

Karolina lubiła obserwować inne mamy. Żadna z nich nie była porcelanowa. Wszystkie miały stalowe kostiumy, które zakładały zaraz po przekroczeniu szpitalnego progu. Nawet jej własna mama zaczynała go powoli nosić. Coraz rzadziej płakała przy córce, nie patrzyła też tym straszonym wzrokiem kogoś, komu zabierają miłość jego życia.

Swoją drogą fajnie było mieć świadomość, że jest się aż tak kochanym.

Fajnie było również wchodzić na ścieżkę zakochanych, nawet jeśli nie do końca była usłana płatkami róż jak w podłych romansidłach.

Najwyraźniej Paweł też tak uważał i najwyraźniej w ogóle nie przeszkadzał mu jej brak włosów. A może to jednak jakieś zboczenie? W końcu włosy są dość dużym atutem każdej kobiety, choć pewnie nie tak istotnym jak piersi. A piersi ciągle miała i to coraz ładniejsze.

Poczerwieniała od własnych myśli.

I na wspomnienie ich ostatniej rozmowy. Tym razem nie mówił ani o Francji, ani o magnesach, ani o podziale komórki. Odwiedził ją bez zapowiedzi, na dwa dni przed pójściem Karoliny do szpitala. Usiadł obok niej na łóżku i popatrzył na fioletową chustkę, którą miała owiniętą wokół głowy.

– Zdejmij na chwilę – poprosił nagle.

Wystraszyła się.

Żadna, absolutnie żadna kobieta nie wygląda dobrze z łysą głową. Gdyby chociaż w porę zdażyła pomalować sobie rzęsy albo chociaż usta przeciągnąć błyszczkiem.

– Nie chcę – powiedziała tylko.

Paweł nie nalegał więcej, uśmiechnął się do niej miękko i spytał, czy go lubi.

Otak, po prostu.

Zmieszala się odrobinę, bo co innego kogoś lubić, a co innego powiedzieć o tym głośno. Słów raz wypowiedzianych nie da się cofnąć, przekreślić albo zastąpić innymi. Oczywiście można próbować, ale i tak będą wybrzmiewać w powietrzu, zdradzając uczucia drugiej osoby. Z drugiej strony, na tak prosto postawione pytanie nie można było odpowiedzieć wymijająco. Skręcić w boczną uliczkę i uda-

wać, że dopadł nas inny temat.

– Lubię. I lubię, kiedy tu przychodzisz i rozmawiamy choćby o Francji – powiedziała w końcu i nawet odważyła się spojrzeć mu w oczy.

Bardzo spodobała mu się ta odpowiedź i bardzo chciał ją przypieczętować czymś więcej niż tylko skinieniem głowy. Ale na to nie mogła sobie pozwolić.

– Nie wiem, ile mam czasu – spuściła wzrok.

– A to znaczy, że będziesz odpychać każdego, kto zechce cię przytulić? I pewnie jeszcze powiesz, że nie chcesz, żebym potem cierpiał?

Spojrzała na niego smutno.

– Ja sama nie chcę przeżywać wstrząsów pod tytułem „dlaczego właśnie teraz?”.

Wzruszył ramionami.

– Co to za życie bez wstrząsów?

– Nudne – zgodziła się.

I wtedy ją objął. Przytulił, pogłaskał po plecach i szepnął do ucha:

– Nie będziemy myśleć o czasie i dlatego wystartujemy z pozycji typowej dla ludzi w naszym wieku. Czyli umawiamy się na kolejne spotkanie, okej? Klasyczna randka, co ty na to?

Klasyczna randka.

No dobrze, ale dopiero po chemii.

Mama Oli zerknęła na nią ukradkiem i uśmiechnęła się, jakby wszystko rozumiała. A potem spytała:

– Podobno szukałyście algorytmu raka?

Karolina kiwnęła głową.

– Doszliśmy do wniosku, że musi być jakiś wspólny mianownik dla ludzi, którzy dostają go w prezencie. Nie wierzę, że to dzieje się tak wyrywkowo. Chyba wszystko na świecie ma swoje wytłumaczenie.

– Ola mówiła, że rozważałyście kwestię zbyt długiego sikania w majtki. – Mrugnęła do niej, ale na twarzy była jakaś smutna.

– Owszem, ale to upadło, bo ja nie pamiętam akurat tego aspektu mojego dzieciństwa.

Magda uśmiechnęła się.

– A ja przeciwnie. Moi rodzice byli ze mnie bardzo dumni, że tak wcześnie zaczęłam siadać na nocniku. Ale kiedyś mama przyłapała mnie, jak coś wycieram za firanką. No i okazało się, że robię siusiu pod oknem, a potem to wycieram, czym znajdę. Rajstopami, szalikiem, a nawet kiedyś beretem babci – przerwała na moment. – A wiesz, że ja też szukałam jakiś czas temu swojego algorytmu? A w zasadzie wzorca ludzi, którzy mają zostać wysłuchani.

– Przez kogo?

– Nie wiem. Wszechświat, Boga, Los. Zastanawiałam się, czyje próśby zo-

stają spełnione. Jak wygląda taka osoba, co je, jakie książki czyta. Ale też niczego mądrego nie wymyśliłam.

Karolina podciągnęła nogi pod brodę.

Pewnie ktoś gdzieś zna odpowiedź na te pytania.

Zamyśliła się.

Szkoda, że znowu musi większość czasu spędzać w szpitalu, z drugiej jednak strony, miała tu coraz więcej przyjaciół. Ola odwiedzała ją najczęściej, tyle że ona miała „złotą kartę” od siostr i lekarzy, i wolno jej było biegać niemal po wszystkich piętrach. Była absolutnym oczkiem w głowie całego personelu. Kiedy Magda nie mogła jej znaleźć w pokoju, schodziła piętro niżej do Karoliny, gdzie najczęściej przebywała jej córka.

– Algorytm sikania odpada raczej. Ale z pewnością jest coś, co nas wszystkich łączy. Coś jak prawo przyczyny i skutku. Każda przyczyna ma swój skutek, a każdy skutek ma swoją przyczynę. Nawet przypadkowość może być na swój sposób zaplanowana, choć brzmi to oczywiście nielogicznie. – Karolina popatrzyła na kroplówkę, która właśnie się skończyła, i spojrzała na Magdę.

– Ola to wszystko przetrwa. Nie wiem, skąd wiem, ale wiem. Choć nie rozumiem, jak to możliwe, że guz znowu wrócił...

– A ty? Przetrwasz?

Wzruszyła ramionami.

Co do własnej osoby nie miała jakoś żadnej pewności. A szkoda. Fajnie byłoby coś zaplanować, jak choćby zwykłą randkę z Pawłem, o której wspomniał, spacer po mieście albo głupie lody w kawiarni. Ale to Świniak planował jej przyszłość, a ona musiała na wszystko się zgadzać. Najwyraźniej nie lubił być spychany na boczny tor.

– Ciągłe nie ma dawcy?

Pokręciła przecząco głową.

– Ale jest Drużyna. Znajdą go – powiedziała Magda.

Karolina westchnęła i uniosła w górę kciuk. Każdy ma swojego szpikowego brata, tylko nie zawsze udaje się go spotkać. Czasem bliźniak się ukrywa, nie chce wychodzić na światło dzienne, a czasem po prostu nie wie, jak to zrobić.

Ale to fakt. Była Drużyna. Silną siłą tych, którzy za wszelką cenę chcieli pomóc.

MAGDALENA

Historia Nolana

Mam myśli kleiste jak syrop.

To nie są dobre myśli, choć staram się je wyrzucić ze swojej głowy. Znowu jestem całodobową matką szpitalną. Matką wszystkich chorych dzieci. Nie odsuwam się na bok, nie udaję, że jestem tu tylko przejazdem. Wszystkie stajemy do tej samej walki. I dobrze wiem, co dzieje się z nami, kiedy wychodzimy ze szpitala.

Ryk pod prysznicem. Wrzątek na ciele, którego nie czujemy, a potem lodowata woda, bo wrzątek właśnie się skończył. Bez znaczenia. I tak jest nam wszystko jedno.

Martwe spojrzenia na rozrzucone zabawki w dziecięcym pokoju. I ta paranoja, żeby niczego nie ruszać, niczego nie dotykać. Żeby nie wyprać sweterka, które ostatni raz miało na sobie nasze dziecko. Bo jeśli... to chociaż zapach nam zostanie.

Wizyty w kościołach i modlitwa, której same nie słyszymy. Modlimy się wszystkie, nawet te, które nie wierzą, zwracają się do kogoś, gdzieś tam, w innej rzeczywistości.

Przygryzanie warg i zaciskanie powiek tak mocno, że zaczynają boleć.

Prasowanie kilkadziesiąt razy tej samej koszulki.

Uderzanie pięściami o kierownicę samochodu albo framugę drzwi. Aż pęka skóra na kłykciach, a my nie czujemy bólu. Osunięcie się po ścianie w miejscu publicznym. Nagle, bez zapowiedzi, bo dopada nas tak obezwładniający strach, że może właśnie teraz, w tej minucie...

Dzieci lubią odchodzić same. Wszyscy lekarze to powtarzają. Bez mamy, bez taty, bez ulubionej pielęgniarki. Niedobrze mi z tą świadomością. Niepotrzebnie przeczytałam w sieci historię o Nolanie.

Okolo godziny 21 zapytałam Nolana, czy mogę wziąć szybki prysznic, bo nigdy nie powinnam pozwolić mu zostać samemu. Powiedział: „Okej mamó”. Stałam w drzwiach łazienki, odwróciłam się do niego i powiedziałam: „Wrócę za dwie sekundy”. Uśmiechnął się do mnie. Zamknęłam drzwi.

Powiedzieli mi, że w momencie zamknięcia drzwi zamknął oczy i zapadł w głęboki sen. Kiedy wyszłam z łazienki, cały zespół zebrał się wokół łóżka. Jeden z lekarzy powiedział: „Ruth, on jest bardzo silny, niczego nie czuje”. Jego oddech był ciężki, prawe płuco się zapadło, a zawartość tlenu spadła. Pobiegłam do łóżka i położyłam dłoń na jego prawym policzku. I wtedy to się stało. Moje słoneczko największe, moje szczęście czteroletnie zaczerpnęło tchu, otworzyło oczy, uśmiechnęło się do mnie i powiedziało: „Kocham cię, mamó”. A potem Nolan odwrócił głowę i o 23:54 zostawił nas na zawsze.

Nie chcę, żeby Ola zostawiła mnie na zawsze. Nigdy nie pogodzę się z tym, że dziecko może chcieć odejść. Nieważne z jakim uśmiechem na twarzy.

Jestem matką szpitalną. Żadna z nas tego nie chce. I dlatego po godzinnym płaczu, po marazmie, w który wpadamy, po balansie na linie i niekontrolowanych atakach hysterii uderzamy się silnie w policzki, ochlapujemy twarze lodowatą wodą i zaczynamy od nowa.

Guz znowu zaatakował. I co z tego?

Ziemia przestanie się kręcić, a my dalej będziemy nosić do szpitala słoiki z domowym jedzeniem, bo przecież pomidorowa na rosole z tłustej kury zawsze się sprawdza.

KAROLINA

To, co potrafiła zrobić Asia, było tak zaskakujące, że nawet Wiktorowi zabrakło słów, chyba po raz pierwszy w życiu. Co prawda, był on całkiem dobrze wykształcony magicznie (choć czysto teoretycznie), to jednak poziom, jaki prezentowała dziewięcioletnia dziewczynka, dał mu do myślenia. Oraz doprowadził do niemego zachwytu.

Bo nawet jeśli wyczarowanie czerwonej apaszki, równie czerwonej piłeczki oraz kwiatka z papieru może wydawać się banalne, to jednak zastanówmy się, ilu z nas to potrafi? Bez oszukiwania widza jakimiś tanimi chwytami.

– Mogłabyś dawać już profesjonalne pokazy! – zawołał z podziwem Wiktor, a Karolina chętnie by przytaknęła, tyle że musiała właśnie poprosić swój organizm o odrobinę paliwa, bo znowu zrobiło jej się jakoś słabo.

Podróż do Krakowa bardzo ją zmęczyła, choć oczywiście nikomu do niczego się nie przyznała. Starła się spać w samochodzie jak najwięcej, piła dużo wody i próbowała coś jeść. Tyle że z apetytem było coraz gorzej. Na nic nie miała ochoty. Ani na kanapkę, ani na czekoladowego batonika. Wiedziała jednak, że musi jeść, bo jeśli Edna zorientuje się, że coś jest nie tak, natychmiast zawróci i zawiezie ją prosto do szpitala.

Do Krakowa zajechali pod wieczór i chociaż bardzo korciło ją, żeby pójść jeszcze na Starówkę i zahaczyć o Sukiennice, wiedziała, że musi odpocząć.

– Mogę ci kupić korale? – spytał Wiktor.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– No takie drewniane, w malowane kwiaty. Moim zdaniem będą do ciebie pasować.

Nie chciała na razie koralu ani bajgli, ani obwarzanków. Musiała położyć się do łóżka i porządnie wyspać. Dzisiaj było już dużo lepiej, ale i tak miała wrażenie, że jej ciało tańczy, choć nigdzie nie słyhać muzyki. Patrzyła na tę magiczną dziewięcioletkę, która aż pojaśniała z dumy na dźwięk słów Wiktora. Najwyraźniej bardzo spodobało jej się uznanie kogoś starszego aż o rok, kogoś, kto miał fantastyczny, puchaty meszek na głowie, w odcieniu gorzkiej czekolady.

– Ja znam tylko sztuczkę z bananem, ale to bardziej oszustwo niż czary. – Puścił do niej oko.

Kiwnęła głową i podchwyciła pytający wzrok Karoliny.

– To taka wprawka dla początkujących iluzjonistów – wyjaśniła. – Wcześniej specjalnie przygotowujemy banana za pomocą dość długiej igły. Wbijamy ją w owoc i, nie poszerzając dziurki, operujemy nią w środku banana tak, żeby go przeciąć. Trzeba uważać, aby nie naciąć zbyt głęboko wewnętrznej skórki, bo potem przy obieraniu banan może się złamać i popsuć efekt. Jak już jest ponacinany, podajemy go publiczności do obejrzenia, a następnie zaczynamy powoli obierać.

I wtedy okazuje się, że banan jest już przekrojony! Fajne, nie? Ale to w sumie żadna magia.

– A chusteczka z rękawa? – spytała zaciekawiona Karolina. – Sztuczka czy czary?

Asia roześmiała się.

– Zdecydowanie sztuczka. Wymaga tylko odrobiny wprawy. Tak naprawdę chusteczkę masz cały czas przy sobie. Ważne, żeby była dość śliska i dała się zwinąć w tubkę. Potem chowasz ją w zgięciu łokcia i zakładasz marynarkę z długimi rękawami. Pokazujesz publiczności, że twoje ręce są puste i podciągasz prawy rękaw. Przez cały czas należy trzymać ręce zgięte, aby chusteczka nie wyleciała. Potem podciągasz lewy rękaw, ale robisz to w taki sposób, żeby prawą ręką szybko chwycić chusteczkę, którą zaciskasz w prawej dłoni. Oczywiście tak, żeby nikt niczego nie zauważył.

– I co dalej? – Karolina naprawdę dała się wciągnąć.

– Odsuwasz złączone dłonie od ciała i powoli ruszasz nimi w górę i w dół, pozwalając, żeby chusteczka zaczęła się rozwijać. Na koniec rozłączasz dłonie i pokazujesz chusteczkę. I wszystko wygląda tak, jakby wzięła się tam z powietrza.

– Sama się tego nauczyłaś?

Asia kiwnęła głową.

– Mój tata jest matematykiem i fizykiem, powiedział mi, że wiele sztuczek bazuje właśnie na wiedzy opartej o te przedmioty. Mam też dużo książek na ten temat. Mogę godzinami coś trenować i wcale mi się nie nudzi. Ale chciałabym zostać taką prawdziwą iluzjonistką. Taką, o której będzie mówił cały świat.

– Dlatego chciałabyś spotkać najpierw jakiegoś mistrza?

Skinęła głową.

– Tak, żeby go podpatrzeć. Poobserwować. Wiem, że niczego mi nie zdradzi, bo mu nie wolno, ale mnie wystarczy sama jego obecność. I jeszcze chciałabym, żeby przyszedł do nas taki prawdziwy klaun. Żeby wszystkie dzieci mogły się pośmiać.

Każdy szpital ma swoje dobre i złe duchy. Na onkologii zazwyczaj więcej jest tych dobrych, o czym Karolina przekonała się już niejednokrotnie. Pamiętała, jak kilka lat temu jej mama leżała w szpitalu po operacji wyrostka robaczkowego. Nie była wtedy Ewelina, tylko „tą od ślepej kiszki”, która „rzyga po narkozie”. Nie chciała, żeby tak mówiono o jej mamie, ale najwyraźniej nikt się tym nie przejmował. Tutaj Asia nie była tylko bezimienną pacjentką, ale Asią właśnie, cudownym dzieckiem, które potrafi czarować. Siostry często do niej zaglądały i prosiły o jakiś sztuczki. Czasem gotowały jej na zmianę zupę ogórkową, którą dziewczynka lubiła najbardziej. Nikt im za to nie płacił, nikt o to nie prosił. Kiedy Karolina tylko wspomniała, że załatwiła na niedzielę iluzjonistę, ale z klaunami poszło jej zdecydowanie gorzej, siostry oddziałowe klasnęły w ręce.

– Kochana, będziesz miała cztery klaunice, może być?

Karolina nie była pewna, czy Asi to wystarczy, ale nie miała innego wyjścia. Wszystkie terminy klaunów, którzy występowali w domach dziecka i szpitalach, były już zajęte, a ona miała wielkie szczęście, że udało jej się znaleźć magika, który zgodził się wystąpić w szpitalu. W zasadzie to znalazł go Paweł.

– Znam kogoś. Młody chłopak, ma na imię Patryk i jest synem znajomych moich rodziców. Oni oczywiście nie są zbyt szczęśliwi, że Patryk wybrał czarną pelerynę zamiast togi, chociaż to i to jest dość podobne.

– Miał zostać prawnikiem?

– Prokuratorem. Jak jego ojciec. Tymczasem on wyczarowuje jakieś motylki, kwiatki i sprawia, że krzesła unoszą się w powietrzu. To dość mocno wstrząsnęło jego rodzicami, ale ponieważ jest pełnoletni, nie mogą mu niczego narzucić. Patryk często występuje na ulicy, żeby zobaczyć, jak reaguje na niego przypadkowy przechodzień. Najczęściej występuje na Starym Rynku.

– Teraz też? Jest dość zimno...

– Zadzwońię do niego. Powiem, o co chodzi.

– Dziękuję. – Karolina zastanowiła się, czy może go pocałować w policzek na podziękowanie, ale Paweł był szybszy.

– To ja poproszę buziaka a conto, a potem drugiego, jak się uda.

Roześmiała się. Jeszcze trochę i te buziaki zmieniają się w bardziej intymne...

Patryk był zachwycony. Karolina nie wiedziała, co prawda, czy jest wielkim iluzjonistą czy też nie, czy Asia nie rozgryzie go już w pierwszej minucie, najważniejsze było jednak to, że zgodził się wystąpić dwa tygodnie później w krakowskim szpitalu. Edna opłaciła mu pociąg i nocleg, a Wiktor z Karoliną poprosili o bardzo, ale to bardzo wyrafinowane przedstawienie.

– Biały królik z kapelusza? – Puścił do nich oko.

– To chyba jakieś hasło wytrych – powiedział Wiktor. – Z drugiej jednak strony nigdy nie widziałem tej sztuczki na żywo. I zawsze frapowało mnie, gdzie magicy trzymają tego królika. W majtkach?

Patryk zapewnił go, że królik nawet przez moment nie znajduje się w okolicach krocza żadnego magika, ale więcej zdradzić nie zamierzał.

– Wiecie, za co kocham ten zawód? – spytał teraz wszystkie zebrane dzieci, którym stan zdrowia pozwolił na odwiedzenie szpitalnej świetlicy i udział w pokazie. Połowa z nich siedziała w maseczkach, część tradycyjnie była łysa, a kilkoro ledwo trzymało się na nogach. Ale i tak udało im się wymusić zezwolenie na udział w show.

Asia wpatrywała się w niego jak urzeczona.

– Bo w iluzji tkwi tajemnica i zagadkowość, dzięki którym zwykła rzeczywistość nabiera zupełnie innych barw. Każdy z nas kocha przecież baśnie i tę nierealność, która w nich mieszka. Tę odrobinę magii, której nie da się niczym wytłuma-

czyć. Iluzja to doznawanie wrażenia, że widzi się coś, czego w rzeczywistości nie ma. Ale czy rzeczywiście? A może po prostu uwierzmy.

Patryk wyczarował dzieciom płatki śniegu. Wyczarował bukiety kwiatów i kosz ze słodyczami, który jednak siostry, mimo głośnych protestów, skonfiskowały.

Wyczarował prawdziwe motyle i zapach morza. Pokazał stolik, który unosił się w powietrzu, i kolorowe piłeczki, które nagle się rozmnożyły. Talię kart, która pojawiła się dosłownie z powietrza, i znikającą różę. I na koniec gołębia, który musiał być prawdziwy, bo nagle rozpostarł skrzydła i wyleciał przez okno.

– To niemożliwe! – wołały dzieci.

– Wiecie, co kiedyś powiedział pewien ekonomista i politolog, niejaki Walter Bagehot? Że „największą przyjemnością w życiu jest robić to, o czym ludzie mówią, że jest niemożliwe”. To dotyczy zarówno ekonomii, magii, jak i medycyny właśnie. – Uśmiechnął się do stojących z tyłu pielęgniarek i puścił oko do Asi, która była dzisiaj najszcześliwszą dziewczynką na ziemi.

Koniecznik musi podziękować Mateuszowi za to, że jednak udało mu się spełnić jej marzenie. Bo nawet jeśli iluzjonista pojawił się tu dzięki Karolinie i Wiktorowi, to przecież nie zaprosiliby go tutaj, gdyby Mateusz nie powiedział im o jej marzeniu. Szkoda, że leży teraz w izolatce, że jest wyjałowiony nawet z uśmiechu. Ale on wróci.

– Czy ja też będę mogła się tego wszystkiego nauczyć? – spytała późnym popołudniem, kiedy dzieci wróciły już do swoich sal, a jej wolno było jeszcze porozmawiać z Patrykiem.

– Iluzja to nie tylko magiczne sztuczki, ale również wiara. Oczywiście także bardzo dużo pracy i ćwiczeń, ale z tym podobno nie masz większych problemów. – Uśmiechnął się do niej.

To był długi dzień. Kiedy wieczorem kładła się do łóżka, ciągle jeszcze chciało jej się śmiać na myśl o siostrach oddziałowych i pielęgniarkach, które przebrały się za czterech „bardzo smutnych klaunów” i robiły wszystko, żeby tylko nikt się nie roześmiał. Ze smutnymi minami związały więc sobie nogi i próbowały tańczyć walca, nałykały się helu i „surowym” głosem kazały dzieciom być cicho, jadły czekoladowe ciasta uszami i nosem, a na koniec puszczały bańki w taki sposób, że same się opluły.

– To niesamowite – powiedziała na ich widok Edna. – Jesteście dla mnie większym dowodem na magię niż Patryk wyczarowujący motyle.

MAGDALENA

Tu jest aorta, jeśli ją przetnę...

Każdy ma w swoim życiu datę, która ma dla niego jakieś szczególne znaczenie. Ja też mam takie. Dzień narodzin Mateusza, potem Oli. Dzień mojego ślubu. Dzień, w którym po raz pierwszy padło słowo neuroblastoma. A teraz mam kolejny.

16 listopada.

Dzień operacji mojego dziecka, po którym może już nie być kolejnych dni.

Patrzę na lekarza w okularach, na profesora, specjalistę od neuroblastomy, na fachowca i absolutnego guru w tym temacie. Wiele lat pracował w japońskiej klinice. Czy to dobrze? Odnoszę dziwne wrażenie, że on źle widzi, kiedy czyta wyniki Oli, bo ciągle marszczy nos i poprawia okulary. Jednocześnie wiem, że muszę mu w stu procentach zaufać. Spod białego fartucha wystaje mu kołnierzyk różowej koszuli.

Naprawdę różowej. Ale może to na cześć kwitnących kwiatów wiśni w Japonii. Albo może wyprał białą koszulę z czerwoną i teraz nie ma już białej. Ja też przecież jeszcze nie tak dawno zapomniałam o segregowaniu prania. Swoją drogą to naprawdę fascynujące, jakie myśli powstają u człowieka w mózgu w najważniejszych momentach jego życia.

Profesor w różowej koszuli przemówił:

– Podejmę się tej operacji. Mój syn będzie ją nagrywał i robił zdjęcia do swojej pracy dyplomowej, mam nadzieję, że to państwu nie będzie przeszkadzać.

Nam nie. Byle jemu nie przeszkadzało.

Spogląda na mojego męża, potem na mnie, pociera nos, znowu poprawia okulary i zaczyna nam pokazywać zdjęcia.

– Proszę zobaczyć, tu jest aorta. Jak ją przetnę, to jeszcze dam radę zszyć, ale widzicie tutaj takie małe żyłki? Jak je przetnę, to będzie raczej kicha. Więc nie będę ich ruszał. Czasem podczas operacji organizm próbuje się z nami bawić w kotka i myszkę i zamiast pomagać, przygotowuje mało zabawne niespodzianki. Na szczęście ja jestem na nie uodporniony i wiem, czego się spodziewać.

Mam nadzieję.

Bo sprawia wrażenie, że jednak jest inaczej.

Ale może to ja jestem źle nastawiona. Może strach obezwładnił mnie tak bardzo, że nie potrafię dostrzec żadnej nadziei. Pewnie niepotrzebnie skupiam się na różowej koszuli i poprawianiu okularów. Przecież to jest fachowiec, a ja nie mam innego wyjścia. Muszę mu zaufać.

Anestezjolog powiedział mi, że to będzie jedna z trudniejszych operacji.

Taki wóz albo przewóz. Ruletka. Czarne lub czerwone. Który kolor wybieram?

Olek patrzy na mnie i widząc, że mięknę, że zacynam się sypać, że rozpadam się na tysiące kawałków, chwytą mnie w ramiona i uspokaja:

– Magda, to jest jak z operą. Zobacz, taki *Don Carlos*. Cztery akty, tyle godzin muzyki. Nawet jeśli ktoś się pomyli, to ja jako dyrygent ciągle mogę to ogarnąć. Nawet jak coś się wymknie spod kontroli, to ciągle jeszcze jestem na posterunku. Skoryguję, naprawię, zrobię wszystko, żeby nikt nie zauważył błędu. Tak samo jak ten profesor. On jest tym kimś, kto będzie całość kontrolował. On ma w ręku skalpel, ja batutę. Nawet kiedy coś się sypnie, kiedy zabrzmi fałszywa nuta, to na końcu i tak słyhać oklaski i nikt się nawet nie zorientuje, że w międzyczasie mieliśmy małe wpadki. I tak też będzie z Olą. Może ten profesor coś przetnie, może coś uszkodzi, ale potem wszystko naprawi, bo wie jak. Uratuje każdą fałszywą nutę.

Płaczę. Wiem, że to, co mówi mój mąż ma sens, ale łzy najwyraźniej muszą ze mnie wypłynąć. Muszą upaść na podłogę, rozprysnąć się na tysiące mniejszych kropelek, oczyścić mnie, żebym mogła wreszcie się uspokoić.

16 listopada...

Olek ma dzisiaj premierę w operze i musi wracać. Jest zmuszony stanąć przed swoją orkiestrą i bez względu na wszystko poprowadzić występ do samego końca. Widzę, że teraz on ma moment zwątpienia. Przyjeżdża moja mama, on wraca do Poznania.

Czuję, że jest załamany.

Nie spytał mnie, czy widzi Olę po raz ostatni, ale przecież wiem, że tego właśnie się boi. Czy można w takim stanie dyrygować? A jeśli zupełnie niechący wybrzmi requiem?

Pojechał.

I pojechała też Ola. Na salę operacyjną, na której już za jakiś czas wszystko się wyjaśni.

Czy tym razem będą oklaski?

KAROLINA

Była słaba i kompletnie nie wiedziała dlaczego.

W poniedziałek poprosiła jeszcze, żeby ostatni raz przeszli się Sukiennicami. W końcu zdecydowała się na drewniane korale owinięte czarnym materiałem w kolorowe kwiaty. Były naprawdę piękne i długo za nie Wiktorowi dziękowała.

– No przestań, Rolka. – Zaczerwienił się. – Jestem twoim bratem, to normalne, że kupuję ci prezenty.

Bratem. Nie pamiętała od kiedy, ale już bardzo dawno nie pomyślała o nim „półbrat”. Ani nawet przyrodni. Był jak najprawdziwszy brat świata, ale taki bajkowy, z którym człowiek nigdy się nie kłóci, nie bije o lepsze miejsca i więcej uwagi ze strony rodziców. Zawstydziała się teraz tego, że kiedyś myślała o nim jak o konkurencji. I tego, że nie chciała go poznać. Że była zazdrosna. I zła.

– A z tym Pawłem, to uważaj. Facet ogólnie wygląda na porządnego, no i nawet się zaangażował w te nasze akcje, ale moim zdaniem macie jeszcze czas – oznajmił Wiktor poważnym tonem. – Wiesz, beczka soli i te sprawy, a nie od razu jakaś miłość.

Roześmiała się.

Jasne, że nie.

We wtorek obudził ją potworny ból głowy i suchość w ustach. Nie miała siły napić się wody, nie umiała nawet zawołać mamy, żeby pomogła jej wstać. Co chwila zapadała w półsen, a potem budziła się zlnana potem. Bała się, że to jakaś infekcja albo przeziębienie. W końcu był listopad. Ten miesiąc, o którym nikt nie mówi z uśmiechem na ustach. Kiedy mama do niej zajrzała, Karolina miała gorączkę i nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. Pół godziny później karetka zabrała ją do szpitala.

Edna nie czekała już na nic. Natychmiast zadzwoniła do Krzysztofa i powiedziała mu całą prawdę. Początkowo był trochę zły, że zrobili to za jego plecami, że nikt go nie poinformował, że przecież to jego sprawa, a oni się wmieszali, a potem decydowali za niego.

– To Wiktor ją odnalazł. I pewnie nic by z tego nie wyszło, gdyby nie okazało się, że twoja córka jest po prostu fantastyczna. Szkoda, że ją skreśliłeś.

– Nie skreśliłem! Oboje z Ewelina doszliśmy kiedyś do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli Karolina wychowa się beze mnie. Byłem wtedy nikim. Spłukanym gościem w depresji.

– Ale z niej wyszedłeś. Mogłeś wtedy nie tylko otwierać biznes i zakładać nową rodzinę, ale też pomyśleć o starej.

– Jakoś mnie wtedy nie namawiałaś.

Edna musiała mu przyznać rację.

– Nieważne. Jeszcze nie jest za późno, a Karolina cię potrzebuje. Jest chora

i...

– Chora?

– To nowotwór. Chemia nie pomogła, potrzebny jest przeszczep szpiku. Nie pasuje ani mój, ani Wiktora, ani Eweliny. Szukamy dalej.

– Przeszczep? Ale mówiłaś, że chodzi o twoją koleżankę.

– Kłamałam. Chodzi o twoją córkę. Wyjaśnię ci wszystko dokładnie, jak przylecisz.

Milczenie po drugiej stronie telefonu było dość wymowne.

– To twoje dziecko. Cudowna dziewczyna. Jest śliczna, mądra i uwielbia cytrynową tartę.

– Poczekaj, daj mi ochłonąć. Potrzebuję trochę czasu, żeby się z tym oswoić i wszystko sobie poukładać. Jezu, Edna, to był jakiś atak. Jakbyś rzuciła we mnie garścią kamieni. Daj mi czas.

– Nie ma już czasu.

– Edna. Nie stawiaj mnie pod ścianą.

– Nie mam wyjścia.

– Jezu, to nie twoje dziecko!

Edna przygryzła wargę.

– Nie moje. I bardzo żałuję. Bo nie mogłabym wymarzyć sobie lepszej córki.

Rozłączyła się, mając cichą nadzieję, że selekcja wiadomości i podjęcie słusznej decyzji nie zajmą jej mężowi więcej czasu, niż będzie to naprawdę konieczne. Wiedziała też, że źle zrobiły z Ewelina, nie kontaktując się z nim dużo wcześniej. Czasem niedotrzymanie słowa jest lepszym wyjściem niż dochowanie tajemnicy. Karolina była córką Krzysztofa i być może tu leżało rozwiązanie. Być może to on właśnie miał zostać dawcą. Karolina z trudem uniosła powieki. Czyżby jej organizm zaczynał się poddawać? Ale przecież było już lepiej!

– Jest tylko jedno wyjście. Ostatnie – powiedziała doktor Lucyna, ale mama tym razem była twarda. Nie zaczęła krzyczeć, zanosić się płaczem i załamywać rąk.

– Przeszczep? – spytała tylko.

Lekarka kiwnęła głową.

– To bardzo silna dziewczyna, wielokrotnie udowodniła nam, że choroba nie jest w stanie jej zniszczyć, odebrać prawa do normalnego życia. Ale tym razem musi u nas zostać. Koniec z wyjazdami gdziekolwiek. Nadal nie znaleźliśmy dawcy, ale Karolina i tak byłaby teraz zbyt słaba na przeszczep. Musimy ją wzmocnić, przygotować i, jak to ona sama mówi, dolać paliwa. Doszło do zajęcia węzłów chłonnych po obu stronach przepony.

– Ale to jeszcze nie jest najgorzej, prawda?

Doktor Lucyna próbowała się uśmiechnąć, ale z trudem jej to wyszło.

– W ostatnim stadium dochodzi do rozsianego zajęcia narządów pozalimfa-

tycznych, takich jak kości, wątroba czy płuca. Ale to Karoliny na razie nie dotyczy. Musimy być dobrej myśli.

Ewelina podziękowała. Dobre myśli nie uratują jej dziecka. Karolinę uratuje tylko nowy szpik.

A jednak ciągle nie namierzyli dawcy, nie znaleźli kogoś, kto mógłby podzielić się swoim szpikiem i tym samym zakończyć wreszcie tę cholerną walkę z nadprogramową ilością niedobrych komórek. Ostatnia chemia okazała się bardzo wredna. Zagotowała ją, poparzyła i doprowadziła do stanu, w którym straciła czucie w rękach i nogach. Chwilę to trwało, ale było paskudnym uczuciem. Jakby jej ciało nie należało już do niej, jakby odłączyło się od Karoliny i postanowiło żyć własnym życiem. Patrzyła na swoje dłonie i myślała, że należą do kogoś innego. Patrzyła na kolana i zastanawiała się, dlaczego są tak bardzo suche? Dlaczego nie czuje smaku wody? Dlaczego nie czuje smaku pasty do zębów? Pewnie nawet papryczka chili nie doprowadziłaby jej do łez.

Nos bolał ją od środka, bolały oczodoły, nawet kiedy ostrożnie ich dotykała. Chciała uciec myślami na polanę, po której Paweł chodził na rękach, chciała przypomnieć sobie jego dotyk, kiedy ją objął parę dni temu, ale nawet on bolał przez ciekłą piżamę.

Po dwóch dniach zaczęła powoli odzyskiwać dawną siebie, była tylko potwornie słaba. Dobrze, że nie będzie już żadnej chemii. Tylko co teraz?

– Mamo, opowiedz mi coś śmiesznego – poprosiła Ewelinę, która siedziała przy niej od rana.

– Nie bardzo...

– Mamo – przerwała jej córka. – Właśnie, że bardzo. Bardzo tego potrzebuję. Śmiech jest najlepszym lekarstwem, a ja chcę się pośmiać, a nie leżeć tutaj, patrzeć na ciebie i zastanawiać się, kiedy...

– Nie! – tym razem przerwała jej mama. – To ja jednak coś ci opowiem. Moja koleżanka wybrała się ostatnio do ginekologa i nawet użyła dezodorantu do higieny intymnej, bo zawsze te wizyty jakoś ją krępują. Teoretycznie zna swojego lekarza od ponad dwudziestu lat, ale ciągle powtarza mi, że to jednak facet, więc skrępowanie jest niejako naturalne.

– No i co z tym dezodorantem?

– Był fiołkowy i naprawdę przyjemnie pachniał. Tymczasem po badaniu lekarz mówi: „Miło mi, że się pani tak specjalnie dla mnie wystroiła”.

Karolina uniosła ze zdumienia brwi. Jak to wystroiła?

– No właśnie. Koleżanka dopiero w przebieralni odkryła, że wcale nie użyła dezodorantu do higieny intymnej.

– Tylko?

– Tylko brokatu do włosów w spreju.

Karolina wybuchnęła śmiechem, nie zważając na bolący brzuch i wszystkie

mięśnie.

– Mamo! To jest cudna opowieść. Cudna! I bardzo ci za nią dziękuję.

Następnego dnia obudził ją strach.

Strach, że nie zobaczy już Pawła. Ani mamy, ani Wiktora, ani Oli. Zresztą małej i tak nie było w szpitalu... Gdyby wiedziała, że dokładnie w tym samym czasie jest w Krakowie i czeka na operację! Ciekawe, dlaczego nie było jej na pokazie Patryka? Jest aż tak słaba?

Co z nią będzie?

Jeszcze przed obchodem podjęła decyzję. Chyba właśnie nadszedł ten moment, kiedy będzie musiała wstać, otworzyć okno i wypuścić balon. To była jej jedyna szansa. Spełniła już tyle marzeń, uruchamiając jednocześnie lawinę kolejnych. Na oddziałach onkologicznych zaczęli pojawiać się zdrowi ludzie i zauważać chorych. Lęk stopniowo topniał, topniała obojętność. To był dopiero początek, ale przecież każda lawina potrzebuje czasu. Zaczyna się od grudki śniegu, kończy na ogromnej kuli. Albo i całych masach schodzących w dół i zgarniających po drodze kolejnych uczestników.

Szkoda, że nie udało się z przeszczepem rodzinnym. Ale podobno tylko u dwudziestu pięciu, najwyżej trzydziestu procent osób znajduje się dawcę wśród bliskich osób. Z jednej strony to dużo, w jej przypadku okazało się zbyt mało. Wiktor okropnie płakał. Był przekonany, że jego szpik musi być idealny, bo on przecież kochał Rolkę najbardziej. A jednak nie było zgodności. Nie mógł w to uwierzyć i kazał sobie raz jeszcze przebadać krew. Ale wyniki były jednoznaczne.

Nie szkodzi. Nie szkodzi też, że nie pasowały antygeny Pawła, który wymusił na rodzicach zgodę na oddanie krwi. Nie szkodzi, że rodzice innych kolegów z klasy takiej zgody nie wyrazili. I tak wyła pół nocy w poduszkę, że tyle osób zdecydowało się podzielić z nią tym, co mieli najcenniejszego. Podobno nauczycielka od polskiego też się zgłosiła.

Nie szkodzi.

Najwyraźniej to ktoś inny miał jej podarować kroplówkę życia. Najważniejsze są rokowania. Statystyki mówią, że u dziewięćdziesięciu pięciu procent przeszczep przyjmuje się idealnie, a pacjent wraca do zdrowia. I to były bardzo dobre liczby.

A może już czas?

Może właśnie teraz przyszła pora, żeby pomyśleć o sobie?

Wstała, wzięła głęboki oddech i otworzyła szufladę.

Ostatni czerwony balonik.

– Kurwa, nie dam rady go nadmuchać – mruknęła pod nosem.

– Śliczne słowo, naprawdę śliczne! – Do pokoju weszła siostra oddziałowa i pogroziła jej palcem. – Co jest?

– Nie mogę nadmuchać balonika. Kompletnie bez sensu. Jeszcze tydzień

temu wszystko było okej, a teraz ktoś ukradł mi oddech. Moim zdaniem daliście mi złą chemię. Ta była dla dinozaura, choć podejrzewam, że nawet jego by zabiła.

Siostra pogłaskała ją po ręce.

Zabolało.

– Tak się czasem dzieje. Nasze ciało jest mądre i wtedy, kiedy musi odpocząć, odłącza niektóre funkcje. Widocznie masz teraz nie nadużywać płuc. Dawaj go. – Siostra wyciągnęła rękę i wzięła balonik.

Karolina patrzyła, jak pęcznieje, jak nabiera kształtu dorodnego jabłka i całkowicie zasłania twarz siostry.

– Proszę.

– Ale wypuszczę go sama. To absolutnie niezbędne, inaczej wszystko trafi szlag.

Siostra pomogła Karolinie podejść do okna i je otworzyć. Dziewczyna zamknęła oczy i chwilę stała w milczeniu.

– Pamiętaj, że jest listopad. I to ten z najgorszych. Zimny, mokry, wietrzny. A tobie z pewnością nie wolno się przeziębic – powiedziała siostra, narzucając na Karolinę koc.

– Jeszcze minuta – nabrała powietrza i spojrzała w niebo. A potem napisała coś na karteczce, doczepiła ją do sznurka i wypuściła z rąk balonik, który porwany przez wiatr, zatańczył w powietrzu *freestyle*, co chwila zmieniając położenie, by w końcu poszybować daleko w górę, aż stał się tylko maleńką, czerwoną kropczką.

Karolina uśmiechnęła się do niego i powiedziała głośno to, co napisała na kawałku papieru:

– Leć. Dla Oli. Bo ona musi być zdrowa.

MAGDALENA

Liczby

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć...

...tysiąc osiemset dwadzieścia siedem...

...pięć tysięcy...

Nie wiem, do ilu policzyłam... ale operacja ciągle jeszcze się nie skończyła.

Ktoś mnie o coś zapytał – nie odpowiedziałam. Ktoś podał kubek z kawą – nie wiem, czy ją wypiłam. Coś szumiało, dzwoniło, ludzie rozmawiali, szeptali, trzymali się za ręce. Ale może to wcale nie tutaj? Może przypominam sobie jakieś sceny?

Osiem tysięcy sześćset trzydzieści jeden...

Powietrze jest jakieś rozrzedzone. Czy ja jeszcze w ogóle oddycham?

KAROLINA

Wiktor stanął przy łóżku Karoliny i lekko szturchnął ją w ramię.

Obudziła się niemal od razu, choć oczy otworzyła z dużym wysiłkiem. To dziwne, jak z każdym dniem inna część ciała zaczyna szwankować. I zawsze jest to niespodzianka, co tym razem.

– Nie uwierzysz! Jest szpik dla Karola!

Usiadła na łóżku i to nawet poszło jakoś szybko.

– Naprawdę?

Kiwnął głową wyraźnie uradowany.

– Siostra Lilka mi powiedziała. To się dzieje prawie zawsze wtedy, kiedy myślisz, że nie ma już szans. Trochę jak z suszą. Wszystko wysycha, rośliny zaczynają znikać, a zwierzęta padać jedno po drugim. I kiedy wygląda na to, że nic już ich nie uratuje, nagle spada deszcz! I świat budzi się na nowo do życia!

Uśmiechnęła się, a Wiktor paplał dalej:

– Podobno Karol powiedział dzieciom, że jego sny stały się czarno-białe. I oczywiście wszystkie dzieci zaproponowały mu, żeby sobie wziął trochę kolorów z ich snów, ale on już nawet nie chciał. Siostra Lilka zabrała mu też kredki, żeby przestał rysować motyle. Zresztą i tak nie miał na nic siły. A dzisiaj rano szpital dostał wiadomość, że jest szpik!

– Gdzie?

– W Niemczech. I rozmawiali już z tym gościem, ucieszył się, że może pomóc. Oczywiście najpierw muszą Karola przygotować, trochę go wzmocnić, ale podobno jak się dowiedział, że jest dawca, od razu poprosił o dokładkę śniadania. I spytał, czy może go poznać. Ale siostra Lilka mówi, że to tajemnica.

Karolina skinęła głową.

Tajemnica na rok5.

5 Obecnie dawca i biorca mogą się poznać po dwóch latach.

Po tym czasie jeśli zarówno dawca, jak i biorca wyrażą zgodę, mogą poznać swoje dane i nawet się spotkać. Karolina pomyślała, że ona z pewnością chciałaby poznać kogoś, kto bezinteresownie odda jej swój szpik. Ciekawe, jak ten ktoś będzie wyglądał. Będzie mężczyzną czy kobietą? Kimś młodym czy raczej starszym? Czy będzie przystojny? Czy będzie lubił cytrynowe ciasta, a tartę najbardziej? Tyle że na razie ciągle nie było zgodności. Ale być może na wszystko jest czas. Karolek też już zwątpił, a tu proszę!

Szpik na śniadanie! Kroplówka życia, prosto z Hamburga. To lepsze nawet niż naleśniki z kremem czekoladowym. Być może dawcę znajdzie też Maciek, który tak bardzo chce zostać policjantem! I Amelka! Najwyraźniej wszystko jest możliwe!

W tym samym czasie Edna przestała rozmawiać przez telefon, a potem wzięła głęboki oddech i podeszła do Eweliny. Obie stały na korytarzu, bo Wiktor oznajmił im, że najpierw on porozmawia z siostrą. Bo inaczej zaczną się wtrącać albo, nie daj Boże, płakać i wszystko popsują.

– Rozmawiałaś z nim – stwierdziła matka Karoliny.

Edna przytaknęła.

– Przyleci za tydzień. Miał jeszcze zostać jakiś czas, ale przebukował bilet. Chce pomóc.

Ewelina uśmiechnęła się niewyraźnie.

– W innych okolicznościach pewnie kazałabym mu się wypchać futrem z dziobaka, ale czuję tylko wdzięczność. Bo przecież może akurat... No i wreszcie zobaczy Rolkę... Po tylu latach. Nie wiem jeszcze, co ona na to, pewnie stanie w poprzek i zabroni mu nawet przekroczyć próg szpitala, ale trudno. Będzie musiała stawić temu czoła.

Edna podeszła do niej i mocno ją objęła.

Obie poczuły, jak wielki ciężar spada im z ramion.

Uda się.

MAGDALENA

17:15

Sześć i pół godziny pod salą operacyjną spędziłam w totalnym milczeniu. Liczyłam i liczyłam. Nie odzywałam się do mamy, nie odzywałam się do samej siebie. Mijałyśmy się co chwila, patrząc tylko ponad swoimi głowami. Nie dzwoniłam do Olka, bo to nie miało sensu. I tak nie byłabym w stanie wykrztusić z siebie żadnego słowa. Myśli przelatują przez moją głowę, tworząc fascynujący kolaż opowieści, które nie mają żadnego sensu.

Jak głęboko mogą nurkować ryby?

Czy van Gogh naprawdę obciął sobie ucho, czy to tylko taka ciekawostka?

Podobno malował słoneczniki-mutanty...

Czy pająki odczuwają jakąkolwiek przyjemność? Mają nogogłaszczki, więc kto wie?

Zaśmiałam się w duchu do własnych myśli.

Mija czwarta godzina. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Ale chcę wierzyć, że dobrze. Że im dłużej, tym lepiej, bo to oznacza, że ona ciągle żyje, a profesor walczy. Dyryguje. Steruje całym zespołem i ma nad wszystkim kontrolę.

Zegar znowu przesunął wskazówki.

Jest godzina siedemnasta piętnaście.

Profesor wygląda na wykończonego, ale jednak na jego twarzy widać coś, co mi z kolei dodaje miniaturowych skrzydeł.

Czyżby...

– No i jesteśmy po. Otworzyłem małą, poprzesuwałem trochę to, co miała w środku, odsunąłem na bok nerczkę i zabrałem się do roboty. Wyciągnąłem nawet jelita na stół, żeby mieć idealną widoczność. Ale proszę się nie martwić, cały czas je nawilżaliśmy, żeby się nie odwodniły. I zacząłem ciąć. Usunąłem wszystkie węzły zaotrzewnowe, żeby ten sukinsyn nie mógł już nigdzie znaleźć sobie żadnego miejsca. Dorwałem absolutnie wszystko. Chociaż w zasadzie nie... Zostawiłem kawałek. Ale rezonans pokazał, że to dobrze. Bo ten kawałek zaczął sam niszczyć. Organizm Oli nauczył się sam walczyć z tym ścierwem. I to jest dobry objaw. Bo jest nadzieja, że nie będzie już więcej guza. Nie będzie żadnej wznowy.

Chcę go uściskać, przytulić, pocałować nawet, przeprosić za niepewne myśli, ale stoję tylko i trzęsę się cała.

Dzwonię do Olka.

– Możesz iść, możesz dyrygować. Udało się i twoja premiera też się uda.

Pojechał. Nieogolony, nieumyty, wczorajszo-przedwczorajszy. Ale z sercem przepełnionym dziką radością, zapisanym nutami słonecznego *allegretto*.

KAROLINA

Śmierć przyszła na palcach. Cichutko, jakby się trochę wstydziła. Przyszła o trzeciej nad ranem, żeby nie natknąć się na zbyt dużą ilość ludzi i nie musieć tłumaczyć, że czasem zabiera również ziemskich ulubieńców.

I było jej naprawdę przykro, kiedy następnego dnia zobaczyła skamieniałą twarz Wiktora i Ewelinę, która rozpadła się na tysiące kawałków. Kiedy siostry oddziałowe stały w milczeniu, a doktor Lucyna schowała się we własnych ramionach.

I potem również na widok Pawła, który siedział na szpitalnym korytarzu i płakał jak jeszcze nigdy w życiu.

Było jej wstyd. Więc odeszła jak najszybciej, potrącając po drodze Krzysztofa z cytrynową tartą w dłoni.

MAGDALENA

Pareidolia

Wróciliśmy po kilku dniach do Poznania. Na dobiecie. Na dobiecie skurczybyka chemią. Żeby już nic z niego nie zostało, żeby nie miał prawa wrócić do mojej córki.

Zaplanowano sześć chemii. Po dwóch szpik przestał pracować. Ciągłe dostawała nową krew, miała transfuzję za transfuzją, aż w końcu zaczęto dobierać krew jak szpik. Musiała być idealna zgodność, inaczej organizm mojego dziecka wszystko by odrzucił.

To niemożliwe, żeby po tak ciężkiej operacji chemia chciała nam zagrać na nosie.

Ola...

Wewnętrzne krwotoki, dziurawe jelita, krwotoczne zapalenie pęcherza, skrzepy. Cewniki zmieniali bez przerwy, bez żadnego znieczulenia, bo się zatykały. Na widok chirurga moja córka cała się spinała. Powinna być nieprzytomna od leków przeciwbólowych, a ona jednak ciągle wszystko czuła, była świadoma. Dlaczego nie ma Karoliny?

Dlaczego odeszła właśnie teraz? A może Ola chce być przytomna właśnie dlatego? Może boi się zamknąć oczy... Rolka była jej cudowną, szpitalną przyjaciółką. Nigdy nie zrozumieć, dlaczego śmierć wybrała właśnie ją.

A ja przecież miałam powiedzieć jej coś, czego dowiedziałam się od profesora. Że wiele dzieci przebywających na oddziałach onkologicznych ma specyficzne hobby – szukanie twarzy, dosłownie wszędzie. W każdym przedmiocie, w chmurze, w kanapce nawet. Podobno fachowo nazywa się to pareidolia i czasem jest bardzo śmieszna. Jak wtedy, kiedy jakieś dziecko nie chciało zjeść pierogów, bo na przysmażonej powierzchni dostrzegło twarz smutnego psa.

Profesor pokazał mi zdjęcie raka wątrobowokomórkowego. Kiedy się dokładnie przyjrzałam, zobaczyłam w guzie profil twarzy zwrócony w prawą stronę. To znaczy profesor mi go pokazał, a jemu wcześniej jakieś dziecko.

Czy Rolka widziała twarze w chmurach? W ciastkach? W pianie do kąpieli? Może to był ten algorytm?

Nie mogę uwierzyć, że już się nie dowiem.

Wyniki Oli maksymalnie się pogorszyły.

Jej szpik nie pracuje.

Jest w zawieszeniu. W strefie między śmiercią a życiem. Przytomna, ale daleko stąd. Patrzy na mnie, ale nie wiem, czy nie widzi również Karoliny. Nie chcę, żeby ją zobaczyła naprawdę. Żeby do niej poszła.

Czytam epikryzę. Czytam jak książkę, której nie lubię, która mi się nie podo-

ba i którą mam ochotę jak najszybciej odłożyć na półkę. Jak lekturę, którą mi zadali w szkole, nie pytając, czy to w ogóle jest moja bajka.

Chemioterapia powikłana długą leukopenią, niedokrwistością, gorączką neutropeniczną, małopłytkowością...

Obserwowano nasiloną skazę krwotoczną na skórze, masywny krwiomocz ze skrzepami...

Jednak nie mogę tego dłużej czytać. Gdzie jest Bóg?

MAGDALENA

Dziewięćdziesiąt jeden tysięcy

PLT, czyli płytki krwi.

80, 78, 73, 52, 34, 20, 19, 7, 7, 3, 2, 5, 4, 1, 1, 1, 1, 0, 1, 0, 0... 0... 0

Zero

Zero

Zero

Minęły dwa tygodnie. W drodze do szpitala widzę zaplątany w drzewie czerwony balonik. Od razu skojarzył mi się z Rolką i od razu wiedziałam, że muszę go jakoś z tych gałęzi wyplątać. Pewnie wyglądałam dość idiotycznie, podsuwając ławkę pod drzewo, a potem stając na jej oparciu.

– Wszystko w porządku? – pyta jakiś człowiek, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

– Tak, po prostu balon mi się zaplątał.

– Jasne. – Kiwa głową.

Nie szkodzi. Nie muszę się nikomu tłumaczyć. Jeszcze kawałeczek...

Urwałam jakąś suchą gałąź. Cholera, jestem ciut za daleko. Trudno, muszę wejść na drzewo.

– Czy pani jest kotem? – zainteresowało się mną jakieś dziecko. Do diabła, dlaczego właśnie dzisiaj tędy przechodzi tylu ludzi? I dlaczego tak bardzo wszystkich dziwi kobieta na drzewie w normalny, grudniowy poranek?

– Nie jestem kotem, ale muszę dostać się do tego balonika – wyjaśniam grzecznie. Moja Ola też pewnie chciałaby wszystko wiedzieć, gdyby zobaczyła dorosłego wspinającego się po drzewach.

– A może ja pomogę?

Jezu, czy ci ludzie poszaleli?

Spoglądam w dół na młodego chłopaka, który również z zaciekawieniem obserwuje moje poczynania. Dobra, ktoś chyba musi mi pomóc, w przeciwnym razie zjawi się policja albo inny diabeł i przestanie być zabawnie.

– Jestem wyższy, dosięgnę – proponuje.

– Tu jest jakaś karteczka – podaje mi balonik z doczepionym do niego sznurkiem i przywiązanym białym świstkiem. Niewiele z niej zostało. W połowie rozmoknięta przez deszcz, poszarpana na brzegach.

Ostrożnie rozwijam zwitek.

Dl... O...i

Bo ona... drowa

Balonik stracił sporo powietrza, ale to i tak cud, że nie przebiła go żadna gałąź. Nadmuchuję go raz jeszcze, ciasno owijam sznurkiem z karteczką i puszczam

w górę.

– Ale to bez sensu – protestuje mała dziewczynka. Chłopak, który mi pomógł, także jest zdumiony.

– On musi polecieć – wyjaśniam. – Tylko wtedy uratowanie go z tych gałęzi będzie miało jakiś sens. I bardzo wam dziękuję – dodaję jeszcze, a potem biegnę prosto do szpitala.

Czy one się śmieją?

Czy pielęgniarki się śmieją?

Czy siostra Lilka patrzy na mnie tak, jakbym była lukrowaną babeczką? Jakby chciała mnie zjeść w całości i oblizać się ze smakiem?

Możliwe jednak, że zwariowałam. Najpierw ten rajd po drzewie, teraz mam zwidy. Jestem przemęczona, jestem wykończona i chyba w ogóle nie wiem, czy jestem.

– Dziewięćdziesiąt jeden tysięcy! Dziewięćdziesiąt jeden tysięcy! Skurwielski ruszył! Ten cholerny szpik w końcu ruszył! – Tańczy przede mną taniec radości, a ja czuję, jak osuwam się na ziemię.

Dziewięćdziesiąt jeden tysięcy płytek krwi.

Nigdy nie słyszałam piękniejszej liczby.

Kilka tygodni później weszliśmy z Olkiem do gabinetu doktor Agnieszki. Zanim zamknęliśmy drzwi, powiedziała do nas na jednym oddechu:

– Dzień dobry, nie ma komórek rakowych, Ola jest zdrowa, napijemy się kawy?

I tak zostało do dzisiaj.

A czerwony balonik nadal widuję od czasu do czasu, jak tańczy w powietrzu, jak przeskakuje z chmury na chmurę, jak kręci piruety i łypie do mnie z wysoka niebieskim okiem Karoliny.

EPILOG

4 listopada 2009 roku
Film nakręcony przez Drużynę Szpiku
Do kołyski
Żyj z całych sił
I uśmiechaj się do ludzi
Bo nie jesteś sam
Śpij, nocą śnij
Niech zły sen Cię nigdy więcej nie obudzi
Teraz śpij

Niech dobry Bóg
Zawsze Cię za rękę trzyma
Kiedy ciemny wiatr
Porywa spokój
Siejąc smutek i zwątpienie
Pamiętaj, że

Jak na deszczu łza
Cały ten świat nie znaczy nic a nic...
Chwila, która trwa
Może być najlepszą z Twoich chwil...

Idź własną drogą
Bo w tym cały sens istnienia
Żeby umieć żyć
Bez znieczulenia
Bez niepotrzebnych niespełnienia
Myśli złych

6 Dżem: *Do kołyski*. Album: 2004. Słowa: M. Balcar. Muzyka: J. Styczyński. Pomaton EMI 2004.

Maciej Balcar: „Wiele osób podkreśla znaczenie tej «kołyski». Ta piosenka jest dla nich rodzajem przekazu, który pozwala funkcjonować w rzeczywistości, mimo choroby...”.

Aleksander Gref: „To nasz hymn. Każde słowo trafia w punkt. Ta piosenka jest o nas, o naszym życiu, o tym, co nas spotkało”.

Jurek Styczyński: „To niesamowite, że jesteś taka dzielna. A my możemy się tylko cieszyć, że pomagamy. Choćby piosenką. Siła, która jest w tobie, powinna być w każdym z nas”.

Magdalena Gref: „Cieszę mnie zwykle rzeczy. Zabawa każdego dnia. Wspólne jedzenie to, że kłócą się z bratem. To, jak im kroję pomidora – to jest dla mnie życie z całych sił”.

Beno Otręba: „Siłę daje miłość do dziecka”.

Film powstał przy współpracy muzyków z zespołu Dżem, którzy stali się przyjaciółmi i towarzyszami w nowotworowej wędrówce Oli.

OD AUTORKI

Ta książka nigdy by nie powstała, gdyby nie Dorota Raczkiewicz i Magda Gref. Z Dorotą znamy się jeszcze ze studiów i naprawdę historia myśli politycznej była naszym najgorszym egzaminem. Potem nasze drogi się rozeszły. Spotkałyśmy się ponownie, tak jak większość – na Facebooku. Dorota była już wtedy szefową Drużyny Szpiku. Ta fundacja to jej dodatkowe dziecko, które traktuje na równi z pozostałymi. A ma ich aż czworo!

Najpierw była Fundacja Dar Szpiku im. Anny Wierskiej, która przez ostatnie dwa lata swojego życia nie tylko walczyła z białaczką i próbowała znaleźć dawcę, ale jednocześnie uświadamiała innych, jak ważne jest oddawanie szpiku. 26 maja 2008 roku, wkrótce po powstaniu samej fundacji, grupa wolontariuszy założyła w jej ramach Drużynę Szpiku. Jej głównym zadaniem jest zwiększenie liczby rejestracji w Centralnym Rejestrze Niespokrewnionych Potencjalnych Dawców Szpiku i Krwi Pępowinowej, dzięki którym chorzy na nowotwór, dla których jedynym ratunkiem jest przeszczep szpiku od dawcy niespokrewnionego, mają większe szanse na wyzdrowienie.

Liczby mówią same za siebie. W 2008 roku w Centralnym Rejestrze Niespokrewnionych Potencjalnych Dawców Szpiku i Krwi Pępowinowej było około pięciu tysięcy zarejestrowanych dawców, pod koniec 2013 roku było ich już około pięciuset czterdziestu tysięcy. Dzisiaj – ponad milion. Celem Drużyny Szpiku jest stworzenie rejestru, w którym zarejestrowanych jest minimum dwa miliony potencjalnych dawców szpiku.

Szefową Drużyny jest Dorota i to ona podsunęła mi historię Magdy i Oli Gref.

Ola jest prawdziwą bohaterką mojej książki. Dziś ma piętnaście lat i jest przepiękną dziewczyną z włosami długimi do pasa. Chociaż już nie. Kilka tygodni temu Ola ścięła swoje włosy i przekazała je dzieciom chorym na raka. Oddała to, co było jej największym skarbem, zwłaszcza po tylu latach „łysej głowy”. W przyszłości chce zostać położną środowiskową i zawsze być dla dzieci i przy dzieciach.

Ola nie potrzebowała wprawdzie przeszczepu, chociaż przez moment też pojawiała się taka opcja. W wieku niecałych dwóch lat zachorowała na neuroblastomę, którą pokonała, mimo iż trzy razy miała wznowę, a lekarze nie dawali jej większych szans na przeżycie.

Karolina jest postacią wymyśloną, choć nie do końca. Jest ona zlepkiem wszystkich tych dobrych duchów, którym choroba nie przesłania całego świata, a staje się motywacją do walki o siebie i o innych. Moja przyjaciółka opowiedziała mi kiedyś o córce swoich znajomych, która mimo białaczki, próbowała spełniać marzenia innych dzieci. Nie jeździła wprawdzie po całej Polsce, ale i tak udało jej się uszczęśliwić niejednego szpitalnego malucha. Skontaktowałam się z nimi, a oni

„pożyczyli” mi imię ich córki.

Takich Karolin jest dużo. Są motylami, wojowniczkami i marzycielkami w jednym.

Książkę napisałam z punktu widzenia Magdy, mamy Oli, której siła i miłość stawiały czoła najgorszemu. Takich mam są tysiące. Naprawdę śpią na karimatach, naprawdę myją się w szpitalnych umywalkach. Walczą do końca. Magda udostępniła mi wszystkie badania, epikryzy i opisy choroby. Pokazała swój pamiętnik, zdjęcia, wycinki z gazet, kartki, które dostawała Ola podczas swojej choroby. Filmy, które nakręciła Drużyna Szpiku. Razem z mężem Aleksandrem (naprawdę jest dyrygentem w Operze Poznańskiej) opowiedzieli mi o strachu, bólu, łzach i tych najtrudniejszych kilku latach, kiedy razem walczyli o Olę.

W książce mogą wystąpić pewne nieścisłości czasowe, które musiałam zastosować ze względu na fabułę. W żaden sposób nie zmieniają one jednak całej historii.

Magdo, Aleksandrze, Olu i Doroto – dziękuję Wam za tę historię i mam nadzieję, że chociaż częściowo udało mi się ją opisać tak, że spełniła Wasze oczekiwania.

Wszelkie informacje dotyczące Drużyny Szpiku, przeszczepów oraz neuroblastomy pochodzą ze strony darszpiku.pl oraz neuroblastomapolska.pl, a także licznych medycznych opracowań.

Korzystałam też z książek dotyczących problemów śmierci i umierania.

E. Kübler-Ross: *Rozmowy o śmierci i umieraniu*. Media Rodzina. Warszawa 1998.

P. Stalfelt: *Mała książka o śmierci*. Czarna Owca. Warszawa 2008.

F. v. Stülpnagel: *Bez Ciebie. Wsparcie po stracie bliskiej osoby*. Studio Astropsychologii. Białystok 2013.

Nie obyło się też bez wykorzystania wątków z jednej z moich ulubionych powieści, czyli *Jonathan Strange i pan Norrell* Susanny Clarke.

Drużyna Szpiku działa coraz prężniej. Dorocie udało się zrealizować swoje projekty – Dni Mamy Onkologicznej oraz Metamorfozy Mam. Ale to nie wszystko. Jest jeszcze Szpikowa Paczka, czyli prezenty dla dzieci na święta, są mistrzostwa w maratonie, jest Szpiknik czyli święto Drużyny Szpiku. W pomoc zaangażowanych jest coraz więcej osób, również z pierwszych stron gazet.

Cały czas trwają prace nad projektem edukacyjnym Podziel się życiem. Celem Drużyny jest wyedukowanie młodzieży wszystkich klas trzecich poznańskich szkół ponadgimnazjalnych. Do tej pory wolontariusze odwiedzili już ponad czterdzieści szkół, gdzie opowiadają o tym, jak zostać dawcą lub krwiodawcą.

Na koniec przytoczę słowa Doroty, bo tak naprawdę lepiej nie można tego ująć:

Drużyna Szpiku to grupa ludzi, którzy chcą dzielić się z innymi tym, co mają,

co potrafią i do czego są gotowi, bo właśnie gotowość jest znakiem rozpoznawczym czerwonego teamu. A zakładając koszulkę, odpowiada on na wołanie chorych „podziel się życiem”.

Zadaniem Drużyny jest bycie głosem tych walczących. I może to właśnie Ty zatrzymasz lawinę śmierci.

PODZIĘKOWANIA

Raz jeszcze Magdzie i Olkowi – za spotkanie i opowieść o Oli.

Samej Oli – za odwagę.

Dorocie – za wszystko, co robi dla innych.

Magdzie Ratajczak – za wsparcie, motywację i pozytywną energię. Za to, że jest Czarownicą.

Ani Kasprzak – za grupę fejsbukową, w której ciągle jest mnie mało, ale ja naprawdę nie wiem, jak rozciągnąć dobę. Aniu, dziękuję Ci też za to, że zarażasz innych czytaniem. Oraz za wyłapanie literówek, jesteś mistrzynią!

Lilce Fabisińskiej – jak zawsze za nasze niekończące się rozmowy, których chyba nie przerwałyśmy nawet jednego dnia. Lilka, dziękuję za racuchy z jabłkami Twojej mamy, które zrobi mi na śniadanie (kiedy to piszę, jeszcze ich nie jadłam, ale wiem, że mam je dostać).

Dziękuję za przeczytanie książki i wyłapanie kilku błędów. I za wskazówki, co zrobić, żeby było jeszcze lepiej.

Heidi za przyjaźń i pytania: „A ty znowu piszesz?”.

No i Rodzinie, bez której niewiele rzeczy ma sens.

A na koniec wszystkim, którzy mnie czytają.

Skończyłam pisać 9 maja. Kiedy chodziłam do podstawówki, w krajach bloku wschodniego obchodziło się wtedy Dzień Zwycięstwa i przed lekcjami mówiliśmy wierszyk o dziadku, który usiadł na ławeczce koło krzewu bzu i wspominał wojnę. „Jak z radziecką armią sławną, w bój na wroga szedł”.

Ta książka też jest o Zwycięstwie.

Natasza Socha

Monschau, 9 maja 2017 roku

nataszasocha.pl

Błąd! Nieprawidłowy odsyłacz typu hiperłącze.

Błąd! Nieprawidłowy odsyłacz typu hiperłącze.

